

W. Palman

WIEŻNIOWIE KRATERU

ISKRY

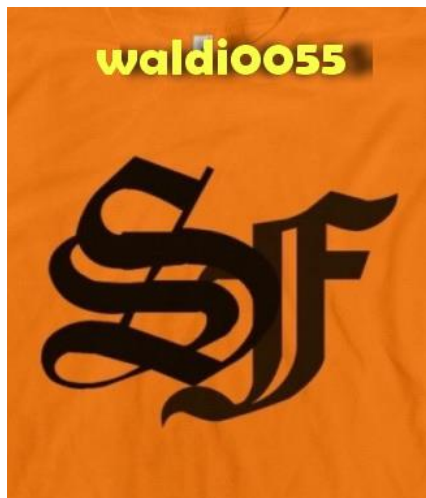
W. Palman

WIĘZNIOWIE KRATERU

PRZEŁOŻYŁA
MARTA OKOŁÓW-PODHORSKA

ISICRY

WARSZAWA · 1960



Ilustrował
ALEKSANDER WINNICKI

Okładkę projektował
MARIAN STACHURSKI

Państwowe Wydawnictwo „Iskry”, Warszawa 1960 r.
Nakład 10 000 +250 egz. Ark. wyd. 14,3. Ark. druk. 16
Papier dzieł. m/gł. kl. V, 70 g, 82X104 cm z f-ki Klucze
Oddano do drukarni w marcu 1960 r.
Druk ukończono we wrześniu 1960 r.
Łódzka Drukarnia Dzielowa, Łódź, ul. Piotrkowska **86**
Zain. nr 175/A/60. R-30. Cena zł 15.—

Część pierwsza

BIAŁA PLAMA NA MAPIE

ROZDZIAŁ PIERWSZY

bez którego czytelnik nie zrozumiałby wielu szczegółów w dalszym opowiadaniu

— A teraz daj mi strzelbę i uważaj...

Borys wziął dubeltówkę z rąk zmieszanego Pieti i zrzęcznie złożył się do strzału.

— Rzucaj! — krzyknął.

Skorupa stłuczonego garnczka wyleciała w powietrze, polewa błysnęła w słońcu. Rozległ się strzał — skorupa rozpadła się na drobne kawałki.

— Widziałeś? Tak się to robi! W tajdze nie ma czasu na celowanie. Myśliwy strzela do ptaków w locie i z przerzutu. Gdy zacznie się człowiek namyślać i mierzyć — sprawa przegrana... Wiesz, jaka jest szybkość lotu dzikiej kaczki?

— Zdaje się, że sto kilometrów...

— Właśnie: „zdaje się”. Do dwustu kilometrów!... Nie każdy samolot mógłby dogonić kaczkę. Spróbuj no teraz...

Pietia nabił strzelbę i podniósł.

— Raz, dwa, trzy! — zawołał Borys i druga skorupa wyleciała w powietrze.

Pietia wodząc lufą za rzutkiem gwałtownie nacisnął spust. Strzał! Śrut obrzucił skorupę już w chwili spadania. Chłopak się zaczerwienił.

— Znowu za późno — zmartwił się Borys. — Co prawda już trochę lepiej, ale daleko ci jeszcze do tego, co potrzeba. Nie bądź taki niezdecydowany! Ufaj we własne siły! Nie udało się za pierwszym razem, próbuj drugi. Jeśli znowu źle, jeszcze raz, póki się nie nauczysz. Brak ci uporu, chłopcze.

— Daj, spróbuję. Pozwól...

— Nie, dość już na dzisiaj. Skończyły się naboje. A zresztą pora do domu.

Poszli wolnym krokiem jak ludzie, którzy ukończyli trudną pracę. Ulice młodego miasta rozpoczynały się u podnóża łagodnej sopki, gdzie płynie mała, głośno szumiąca rzeczka Hamadanka. Od jej to imienia nazwano też miasto. Wyrosło w ciągu zaledwie dziesięciu czy dwunastu lat i teraz nie na darmo nosi szaczną i obowiązującą nazwę miasta. Tu i ówdzie sterczą kominy fabryczne, od zatoki, gdzie rozłożyły się zabudowania portowe, często

dobiegają przejmujące basowe sygnały statków morskich. Równe ulice zabudowano pięknymi domami z kamienia, tynkowanymi na biało i szaro, w tonie północnego nieba i szarych granitowych skał wznoszących się nad południową częścią miasta u stóp surowego masywu Ak-Czekana.

Jeśli pod jakimś względem Hamadan ustępuje innym, starszym miastom wschodnim to jedynie pod względem zieleni. Nie udaje się tu zazielenienie. Co roku mieszkańcy sadzili na ulicach i skwerach setki drzew, pielęgowali je z największą troskliwością, a jednak drzewa nie chciały się jakoś przyjąć w mieście! Czego im brakowało? Przecież na placyku w parku miejskim rosną modrzewie, a nawet brzozy. I to dość wysokie. Rzekomo niegdyś była tu gęsta tajga, a teraz ten cudem ocalały kawałek lasu jest jedyną zieloną plamą na surowym tle północnego nadmorskiego miasta.

Chłopcy, rozmawiając, szli pod górę ulicą Szosową w stronę domu Uskowa.

— Nie wystarczy nauczyć się trafiać do celu — mówił Borys. — W naszym zawodzie trzeba wszystko umieć: trzeba być radiotelegrafistą i myśliwym, rybakiem, kucharzem i woźnicą, a nawet w razie czego naprawić spodnie.

— No, wiesz, spodnie... — Pietia z niedowierzaniem spojrzął na starszego kolegę.

— Różnie bywa... Kiedy byłem na pierwszym roku, posłano nas na praktykę do oddziału geologicznego pod Wielki Newr. Myślałem wtenczas tak, jak ty. No i wpadłem... Pewnego razu jechaliśmy konno. Wiesz — gęstwina, tajga. Zagapiłem się, sęk zahaczył o moją kieszeń i spadłem z siodła. Szczęśliwie miałem mądrego konia, od razu stanął. Wszyscy się śmieli. A mnie było wstyd i przykro; ani igły, ani nici, a spodnie poszły od kieszeni aż do kolana — jakby rozcięte nożycami... Wskoczyłem na siodło, jedną ręką trzymam wodze, drugą szczątki spodni. Ale się rozlążą...

— Słuchaj — przerwał nagle Pietia ściszonego głosem — a jeśli wujek Wasia nie zgodzi się? Wy pojedziecie, a ja zostanę...

Borys milczał.

— Tak dziwnie mi odpowiedział — ciągnął Pietia — nie odmówił, ale i nie obiecał. Jak oddałem mu list mamy, przeczytał i westchnął. A potem zapytał: „Nie boisz się? W drodze bywa ciężko”.

— Nie — wtrącił Borys. — Powiedział „w drodze

jednak bywa ciężko”.

— Masz rację — Pietia roześmiał się. — Przecież co dwa słowa powtarza „jednak...” A ja powiedziałem: „Cóż, wujku, jeśli chcę zostać geologiem, muszę się do wszystkiego przyzwyczaić. Popracuję z wami, to potem łatwiej mi się będzie uczyć”. Wuj jakby poweselał. Rozmawiał jeszcze ze mną o rodzinie, wypytywał o Władywostok. Przecież to jego miasto rodzinne i mieszkał tam z babką i siostrą, czyli moją mamą aż do wstąpienia do instytutu. Właściwie podoba mu się to, że chcę zostać geologiem. Ale nie wiem... Wciąż milczy, obserwuje mnie...

— Ech, nie martw się! Porozmawiam z twoim wujem — obiecał Borys. — Znajdzie się dla ciebie praca w oddziale terenowym. I sił ci nie zbraknie.

Z uśmiechem spojrział na dziarskiego chłopaka:

— Pewnie jesteś piłkarzem? Obrona?

— Prawe skrzydło ataku — odpowiedział Pietia, z nie ukrywaną zazdrością patrząc na towarzysza: łatwo Borysowi mówić — jest studentem geologii, przyjechał na praktykę. Kiedy ojciec jego, geolog Tusimow, poprosił swego przyjaciela Uskowa, żeby wziął Borysa na wyprawę geologiczną, Uskow od razu się zgodził.

— Wezmę jednak studenta — powiedział. — Nawet bardzo chętnie. Potrzeba mi ludzi, a w drodze weselej, gdy jest młodzież...

Jeśli więc chodzi o Borysa, interes został, jak się to mówi, ubity. Ale Pietia... Uskow długo się namyślał, zanim się zdecydował.

— To jednak jeszcze dziecko — mówił do żony. — Co prawda chłopak dziarski, wysportowany, sprytny, nie żaden delikacik. Ale jednak — dopiero piętnaście lat.

Naprawdę nie wiedział, co zrobić. Chłopiec już trzeci raz spędzał u niego wakacje w nadziei, że wuj wreszcie zabierze go ze sobą na wyprawę. Marzył i śnił o szczęśliwej chwili, kiedy usłyszy: „No, Piotrze, jazda!”

Z każdym rokiem marzenie to stawało się gorętsze. Chłopiec błagalnie patrzył na wuja, ciotkę, na cioteczną siostrę, uczennicę dziesiątej klasy, Wierę, która nie wiadomo dlaczego zawsze nazywała go ironicznie „kuzynem”.

Wreszcie — i może to właśnie było najważniejsze — matka Pieti poprosiła brata, żeby przyjął chłopca do oddziału geologów. Przytaczała argumenty, których nie można było zlekceważyć. Wspominała, że ojciec Pieti zginął na wojnie i chłopiec wychowuje się pod opieką kobiet:

matki, babki, siostry... „A ja chciałabym — pisała — żeby się znalazł w warunkach, które budzą żądzę wiedzy i męstwo. Chciałabym, żeby został geologiem jak ty, jak jego ojciec, jak nasz ojciec, jak wszyscy w naszej rodzinie”.

— A więc — powiedział Uskow po długim wahaniu — będę jednak musiał zabrać chłopaka!

— Słusznie postąpisz — poparła go żona.

Jednakże jako człowiek rozważny i opanowany nie śpieszył z oznajmieniem Pieti swojego postanowienia. Co prawda szczerze mówiąc jeszcze nie bardzo mógł coś obiecywać: sam nie został dotąd wyznaczony. Był jednym z najbardziej doświadczonych i zasłużonych pracowników Zjednoczenia „Siewstroj”¹. Miał na swoim koncie niemało poważnych odkryć, za trzy z nich dostał ordery. W tym roku czekał na rzekomo niezwykle interesujący przydział, ale sprawa jakoś się przeciągała...

— Pocieszam cię — rzucił nagle Borys — ale co prawda sam nie rozumiem, dlaczego jeszcze nie jedziemy?

— Nie wiem. Wuj mnie nie informuje — mruknął Pietia.

Naprzeciw chłopców szedł wolno wysoki mężczyzna w szarym eleganckim garniturze i modnych półbutach. Od razu widać było, że to przyjezdny: miejscowi wolą swetry i wysokie buty. Nieznajomy często przystawał i uważnie przyglądał się drzewom, świeżo posadzonym

¹ *Siewstroj* — skrót do „*Siewiernoje Stroitelstwo*”. Dosłownie *Budownictwo Północne* — tu: „*Zagospodarowanie Północy*”.

wzdłuż chodnika. Brał do ręki gałązki, oglądał, dotykał pni...

— Wiesz, kto to? — szepnął Pietia. — Oroczo! Agronom, naukowiec, kandydat nauk. Pracuje u nas we Władystoku w oddziale Akademii Nauk. Wezwano go tu w sprawach sowchozów.

— Dzień dobry, towarzyszu Oroczo! — zwrócił się podchodząc do agronoma. — Powiedźcie proszę, czy to drzewo będzie rosło?

— Czy będzie rosło? Hm... Jeśli będzie troskliwie pielęgnowane, to wyrośnie. Nie tylko takie zwykłe drzewko, ale nawet inne...

— Na przykład, jakie?

— Powiedzmy, jabłonka. Przydałaby się, prawda? Wieczna marzłość i „Złota Reneta”...

Roześmiał się, przy czym twarz jego od razu odmłodziła. Wesoło poklepał Pietię po ramieniu i poszedł dalej ulicą.

— Też pomyśl... — powiedział Borys odprowadzając go wzrokiem. — O ileż bardziej południowy klimat jest u nas w Tomsku, a przecież dopiero zaczęto wprowadzać nowe gatunki jabłek. Tutaj nawet nie warto o tym marzyć... Wieczna marzłość, sześćdziesiąty drugi równoleżnik!...

Po chwili dodał:

— A zresztą, kto wie...

— Właśnie: „kto wie”? Byłeś w sowchozie „Sejmczan”? Tu niedaleko. Jeździłem tam kiedyś z Wierą. Co za kwiaty, arbuzy, dynie! Wprowadzcie w cieplarni, pod szkłem, ale jednak... Zajmuje się tym właśnie Oroczo.

Koło drewnianego domu przywitał ich energicznym machaniem ogona duży kudłaty pies, biały, podpalany. Widocznie nie chciał opuścić swego posterunku, oczekiwał przyjaciół przed bramą i teraz poszczekując niemal tańczył z radości.

— Tego to wuj zawsze bierze w podróż, a jakże, ale mnie — guzik! — pół żartem, pół serio poskarżył się Pietia.

Gdy chłopcy weszli do domu, praca była tam w pełnym toku. Żona Uskowa zawczasu przygotowywała już wszystko do odjazdu geologa. Szyła, cerowała, układała bieliznę. Pomagała jej Wiera przeglądając narzędzia, książki, naprawiając walizkę. W całym domu panowało podniecenie, jakie zwykle towarzyszy dalszym wyjazdom; wszędzie stały walizy, toboły, strzelby.

— Wreszcie raczyli się zjawić — z żartobliwą wymówką

powiedziała Uskowowa. — Do roboty! Dość już spacerów ze strzelbą!

W chwili, gdy gospodyni zapędzą naszych młodzieńców do pracy, opuścimy dom rodzinny Uskowa, żeby spotkać się z nim samym.

Do oddziału Zjednoczenia Geologicznego „Siewstroj”, w którym pracował Uskow, wszedł sekretarz.

— Dyrektor prosi, Wasiliju Michajłowiczu.

W poczekalni dyrektora siedziało jeszcze kilku interesantów. Jednego z nich, agronoma Oroczkę, Uskow już widywał.

— Was również wezwano?

— Tak... Zdaje się, że w tej samej sprawie.

Ledwie zdążyli zamienić parę słów, gdy obu zaproszono do gabinetu.

Dyrektor przywitał geologa i agronoma jak starych przyjaciół i mocno uściśnął im ręce.

— Proszę — powiedział wskazując krzesła. — Siadajcie, mamy poważną sprawę do omówienia.

Milczał chwilę, potem odwrócił się do ściany i odsunął białą zasłonkę. Ukazała się duża mapa całego kraju. Znane kontury! Uskow zaczął się przyglądać. Gdzież to nie był w ciągu ostatnich lat! Kręte linie rzek. Czerwone kropki baz geologicznych. Czarna wstęga drogi, na tysiąc kilometrów uchodząca w głąb kontynentu. Kółeczka wsi, kopalń, jakuckich i orockich kołchozów i koczowisk. Kropkowane linie samolotowe.

Ale oto w pobliżu lewego brzegu mapy — duża biała plama. Ani kółek, ani kropek, ani linii. Wielosetkilometrowy obszar przecinają ciemne pasma górskie masywu Terskiego. Niby macki olbrzymiej ośmiornicy ciągną się we wszystkie strony góry pełne tajemnic, nie znane. Przed wielu laty rosyjski podróżnik, Terski, z żoną, swoją wierną towarzyszką podróży, i z grupą tubylców przemierzył pustynne obszary dalekiej północno-wschodniej Syberii i dał światu pierwszą szkicową mapę tego terytorium. Odważny badacz dawno już nie żyje. Wielu podróżników chodziło potem jego śladami; uzupełniono i sprecyzowano pierwsze zarysy pasm górskich, dolin i rzeczek. Nad ciemnymi górami przebiegają linie lotnicze. Ale tu — w lewym rogu mapy — wciąż jeszcze widać białą plamę nieznanego pustkowia. Stopa ludzka dotąd nie przekroczyła granic tajemniczej plamy. Nawet miejscowa ludność jakucka unika tych dzikich gór, z którymi wiąże się wiele legend. Wystarczy wspomnieć tylko o masywie

Terskiego, aby Jakut pokiwał głową, cmoknął językiem i zasepił się: „Żle, bracie, bardzo źle... Nie trzeba tam chodzić...”

Dyrektor położył rękę na białej plamie.

— Zjednoczenie otrzymało rozkaz zorganizowania grupy geologicznej numer 14-bis, która będzie miała do spełnienia bardzo odpowiedzialne zadanie: w ciągu jednego sezonu, przed nadejściem zimy, musi zbadać ten masyw górski — otworzył szufladę i wyjął dokumenty. — Chodzi o to, że zjednoczenie niedawno uzyskało bardzo ciekawe materiały z archiwum w Wierchnie-Ałymsku. Prawie przed samą rewolucją zesłańcy polityczni i ich jakuccy przyjaciele przypadkowo odkryli w tej okolicy złotonośne rudy i diamenty. Pogłoski krążyły z ust do ust i wreszcie ktoś je spisał. Notatki zachowały się w archiwum. Nie poczyniono dotąd żadnych poważnych kroków w celu zbadania, a tym bardziej eksploatacji złóż. Poza tym w dotychczasowych danych pełno jest tajemnic i przesądów, trudno więc nawet powiedzieć, ile zawierają prawdy. Są jednak ogromnie zachęcające i ostatecznie może nawet autentyczne. Trzeba zbadać ten teren. Ale przejść trasę szybko, zrobić wywiad rozpoznawczy, nakreślić schemat geologiczny i wyciągnąć wnioski. Wasiliju Michajłowiczu, zostajecie kierownikiem grupy 14-bis. To praca bardzo trudna, ale wy jej podolacie.

— Jestem gotów...

— A więc doskonale.

Dyrektor napotkał pełen zdziwienia wzrok agronoma: rozmowa dotyczy spraw czysto geologicznych, co tu ma do roboty agronom?

— Dziwicie się, Aleksandrze Aleksiejewiczu, dlaczego was zaprosiłem? — zapytał.

— Muszę przyznać, że istotnie niezupełnie rozumiem...

— Zaraz wszystko wyjaśnię... Jestem jakoś dziwnie pewien, że nasze informacje są prawdziwe i towarzysz Uskow znajdzie wiele rzeczy ciekawych. A więc trzeba też myśleć o przyszłej eksploatacji tego terenu. Jakże moglibyśmy jednak zorganizować eksploatację w odległości trzystu czy nawet pięciuset kilometrów od dróg, w dzikich górach? Koniecznie musimy stworzyć bazę aprowizacyjną na miejscu. Tam, gdzie powstanie kopalnia, musi też wyrosnąć sowchoz. Trzeba więc już teraz zbadać możliwość uprawy różnych roślin i hodowli jeleni w tym rejonie, naszkicować mapę gleboznawczą, zebrać zielnik. Sami zresztą wiecie, towarzyszu... To byłoby chyba wszystko. Proszę pójść do głównego geologa i omówić szczegóły do-

tyczące wyprawy.

ROZDZIAŁ DRUGI

w którym czytelnik poznaje bohaterów powieści i wyrusza z nimi w drogę

Grupa geologów, z którą wyruszył Uskow, składała się tylko z sześciu członków.

Powiem od razu: był wśród nich nie tylko Borys, ale i Pietia.

Marzenie chłopca spełniło się: wuj Wasia wrócił ze Zjednoczenia w dobrym humorze i już od drzwi zahuczał basem:

— No, Pietruszka, zbieraj się, jedziemy!

Podarował mu nawet wspaniałą strzelbę — szesnastkę. Gdyby nie było przy tym tej wiecznie kpiącej Wiery, z pewnością Pietia pokazałby, jak umie fikać koziołki.

Oprócz znanych już czytelnikowi członków ekspedycji: geologa Wasilija Michajłowicza Uskowa, agronoma Aleksandra Aleksiejewicza Oroczi, Borysa i Pieti, wszedł też do grupy jako kierownik gospodarczy niejaki Łuka Łukicz o nazwisku Łapaj-Mucha, który sam o sobie mówił, że jest i szewcem, i zniwiarzem, i muzykiem. Pietia zobaczył go po raz pierwszy w chwili, gdy ładowano rzeczy na półtonówkę grupy terenowej. Krępy, niby wykuty z żelaza, trzydziestoletni mężczyzna z rudymi Wąsami bez trudności wrzucał na ciężarówkę trzypudowe skrzynie i worki. Szyja tego niezmordowanego siłacza zaczerwieniła się z napięcia, z czoła ściekały strumienie potu. Pracował z zapalem, pomrukując wesoło. Skończywszy ładowanie westchnął, stanął na wprost wiatru szeroko rozstawiwszy nogi i podolkiem koszuli wytarł twarz. Po chwili zapalił, zaciągnął się głęboko i energicznie wlażł na samochód. Wóz nie przejechał nawet pięciu kilometrów, gdy Łuka Łukicz już mocno spał oparłszy kędzierzawą rudą głowę na rękę.

Szóstym uczestnikiem wyprawy był przewodnik. Ale ten wsiadł do samochodu już po drodze, daleko za miastem.

Kawa oczywiście wskoczyła pierwsza. Doskonale rozumiała, co to za przygotowania odbywają się w domu i dlatego ładuje się ciężarówkę. Nie widząc potrzeby ukrywania swojej niecierpliwości, czekała tylko na chwilę, kiedy ładowanie będzie skończone i od razu usadowiła się na swoim zwykłym miejscu.

Wszyscy wreszcie usiedli, spuścili brezentową plandekę i zastukali w budkę kierowcy: jazda! Warknął rozrusznik, silnik parsknął i wóz ruszył. Postacie odprowadzających stawały się coraz mniejsze, oto już nie widać niebieskiej bluzeczki Wiery i białej chustki w ręku Warwary Piotrowny, migają domy i miasto zostaje w tyle. Spod kół samochodu wynurza się mostek, z boku przepływa szary budynek telegrafu i po kilku minutach przed kierowcą zaczyna się rozsnuwać bezkresna, pełna zakrętów i wzniesień, kamienista wstęga szosy przez tajgę...

Podróżni milczeli. Uskow chwilę pokręcił się w mrocznym pudle ciężarówki na skrzyniach i workach, przywołał Kawę i zamyślił się. Zmęczony przygotowaniami Oroczo drzemał oparty o jakiś toból. Borys co chwila głośno wzdychał. Ciężko przeżywał rozstanie. Z kim? Łatwo odgadnąć. Wszystko, o czym w tej chwili myślał, wiązało się w jakiś sposób z osobą Wieroczki — wspomnienie cienistych alei w parku, przytulnego domku jej rodziców, jasnej rozległej zatoki, dalekiego Tomska, w którym pozostawił przyjaciół i towarzyszy... Chwilami widział Wieroczkę grającą w parku w koszykówkę, wesołą i ruchliwą... Albo biegnącą po drobnych nadmorskich kamykach brzegiem zatoki, gdy fale łagodnie podpływają do jej nóg... Wreszcie wyłoniły się chwile pożegnania: czułe spojrzenie, sztuczna wesołość i długi uścisk dłoni... Borys wzdycha z żalem, ale dzięki warkotowi silnika nikt tego nie słyszy.

Pietia uspokoił się chyba dopiero w samochodzie. Wszystkie obawy zostały poza nim. Jest teraz takim jak wszyscy członkiem ekspedycji! Nie rozstaje się ze strzelbą, o której nawet Borys mówi, że to „wspaniały egzemplarz”.

Wygląda spod plandeki. Wóz mknie już przez tajgę rozpostartą wśród niewysokich okrągławych sopek.

Wiele trudu włożyli ludzie w budowę tej, tak ważnej dla kraju, drogi przez lasy i pasma górskie. Przed budowniczymi coraz to wyrastały góry, musieli przebijać drogę na ich stromych zboczach. Szara, wypolerowana oponami serpentyna wspinała się na kolejną przełęcz

i znowu kręto, ostrożnie biegła w dół koło przepaści, pod urwiskami i występami skalnymi, gdzieś aż do następnej doliny. A tam znowu były gęste lasy. Omszałe stuletnie modrzewie rosły na dole, wznosiły się na tarasy górskie, porastały zbocza. Na skraju lasu, w słońcu, tuliły się do siebie gibkie, wiecznie zielone cedry płożące. Na zimę kładą się one ufnie pod niezawodne okrycie śniegu, na samą ziemię, żeby wiosną, przy pierwszym ciepłe wstać z szumem i wyprostować się jak świece, otrząsając ze swojego lekko zmiętego igliwia zmarznięty, lodowaty śnieg.

I znowu wyrąbywano drzewa, karczowano, spuszczano na dół. Na obnażony grunt ludzie sypali żwir i piasek. I tak, krok za krokiem, przebijali się naprzód, płosząc zwierzęta i ptaki. Tam, gdzie kończył się las, ukazywały się ogromne polany. Dokoła wysoka trawa, wspaniały mech i całe gąszcza borówek, żurawin, moroszek. Ale niechby kto spróbował wejść na tę miłą łączkę! Bezdenne trzęsawisko tylko czeka na nieostrożnego śmiałka. Zakląska, pochłonie swą ofiarę i od razu zamknie się nad nią, tworząc brudne oleiste jezioro. Straszne miejsca! Na Północy, nazywają się „mariami”. Omijają je nawet niedźwiedzie, które przezornie, tylko z daleka, podziwiają smakowite jagody.

Budowniczych jednak nie odstraszały nawet bagna. Śmiało badali grzędzawiska, zsypywali do wody, do cuchnącego błota, tysiące metrów sześciennych kamieni i żwiru, robili tamy, wbijali pale. I oto zdradzieckie trzęsawiska przecięła w końcu prosta jak strzała szosa obramowana rzędami białoczerwonych słupków.

Droga odbiega coraz dalej od miast, skręca na północ od oceanu, potem na wschód i znowu na północ. Setki kilometrów w głąb lądu.

Samochody mkną szosą — wiozą wszystko, czego potrzeba do pracy i życia w tym surowym, ale bogatym kraju. Zaopatrują górników i drwali, cieśli i myśliwych, mechaników i łowców, geologów i rybaków — wszystkich członków ogromnego kolektywu budowniczych Północy. Wolno posuwają się przyczepy z rozmontowanymi koparkami, suną buldożery, ciężarówki wiozą dźwigi, czerpaki, kotły. Tu i ówdzie wozy skręcają na boczne drogi i giną w leśnych kotlinach. Tylko przybity gdzieś na słupie drogowskaz informuje, że w pobliżu odbywa się eksploatacja lasu, że jest fabryka albo kopalnia.

Dzielna półtoratonówka grupy terenowej Uskowa jechała prawie bez przerwy dwa dni i dwie noce. Kierowca Siemionycz zatrzymywał wóz nad jakimś strumieniem, spał w budce samochodu godzinę czy półtorej, potem wyskakiwał, oblewał się zimną wodą i ziłów na cały dzień zasiadał do kierownicy.

Pod koniec drugiego dnia podróży droga znacznie się pogorszyła.

Samochód jechał bardzo wolno. Kiedy stawał i Siemionycz wyłączał silnik, aż zdumiewała zalegająca dokoła niezwykła cisza. Nie szumiały gałęzie drzew, nie słychać było ptaków ani tego całego wesołego rozgwaru życia, który zwykle panuje w lasach. Głęboki spokój przyrody miał w sobie coś tajemniczego. Wszystkich ogarniało jakieś wzruszenie, mimo woli ściszano głos.

Pietia obudził się o świcie, gdy samochód stał. Z zewnątrz dobiegały przytłumione głosy. Jeden wyraźny, dobitny — to głos wuja Uskowa. Drugi głos — głęboki, powolny — i wymowa nadwołżańska wydały się Pieti nieznane.

— Dostałeś dobre konie? — pytał Uskow.

— Zdaje się, że dobre... Same nasze, półjakuckie. Nie-duże, ale wytrzymałe. I łatwe do żywienia. Nie wiem, czy mi nie nawymyślasz, Wasiliju Michajłowiczu, bo razem z tabunem wziąłem też ogierka. Podobno dobrze trzyma cały tabun. Narowisty, ale zły. Zadnemu koniowi nie pozwoli odejść — ugryzie, a nie pozwoli. Utrzymuje dyscyplinę niczym feldfebel za carskich czasów.

— Cóż, wziąłeś, to wziąłeś... Ostatecznie tylko ty będziesz miał z nim kłopot, a pewnie i Łuka Łukicz.

— To i on jest tutaj?

— Oczywiście! Znasz go przecie?

— Trzy sezony razem pracowaliśmy. Jeszcze kiedy budowano kopalnię Bałachaczańskie. Chciałbym go zobaczyć.

— Śpi w samochodzie. Odsypia...

— A kto poza tym jest w grupie?

— Agronom, dwóch chłopaków, no i moja nieodłączna towarzyszka — Kawa...

— Po cóż agronom? Może zaczniemy uprawiać pszenicę albo herbatę?...

— Będziemy badać glebę. Zjednoczenie ma zamiar zakładać kołchozy na nowych ziemiach.

— A... a... To bardzo słuszne. Kiedy ruszamy?

— Sam zdecyduj. Myślę, że jeden dzień wystarczy na

przygotowanie do drogi? Zapoznam cię z trasą i chyba pojutrze o świcie wyruszymy,

— Nigdy jeszcze nie byłem w tamtej stronie, zawsze jakoś obchodziłem bokiem. Miejscowa ludność źle mówi o tych górach — powiedział w zamyśleniu nieznamy głos.

— A co mówią?

— Wiesz, jak nazywają płaskowzgórze na prawo od doliny Kura-leh? Sałachan-Czintaj. To znaczy — „Siedziba złych duchów”...

— Ciekawe... Właśnie będzie nam po drodze. Zajrzemy też do siedziby złych duchów, dowiemy się, z czego są niezadowolone, dlaczego złe...

Rozmawiający odeszli, więc Pietia już nie słyszał dalszego ciągu rozmowy. Wyrżał. Było już jasno. Samochód stał na dużej mieliźnie. Ani przed nim, ani za nim nie było widać drogi. Widocznie jechali brzegiem rzeczki, po żwirze i piasku.

Na brzegu był las. Z lasu jakby wybiegła ku rzeczce chatynka o jednym oknie, widocznie nie zamieszкана, bez okiennic i szyb — zimowisko. Koło niej chodziły parszając konie i leżał czarny kudłaty pies ze sterczącymi uszkami i zabawnym krótkim nosem, typowa łajka, mieszkanka północy.

Pietia odsunął plandekę i zeskoczył na ziemię. Za nim wyskoczyła Kawa, zaczęła otrząsać się i oblizywać zmierzwione kudły. Czarny pies po chwili stał już koło niej, ostrożnie i podejrzliwie ją obwąchując.

Potem oba pokiwały ogonami, gwałtownie poderwały się i razem, w podskokach, pobiegły wzdłuż brzegu. Znajomość została zawarta.

Uskow podszedł do wozu. Obok niego szedł wysoki starzec z niedużą, mocno już siwiejącą brodą. Jego rumiana twarz i młode oczy jakoś nie pasowały do siwej brody i poważnej postaci. Ubrany był w podniszczoną skórzaną kurtkę, przepasany myśliwskim rzemieniem, na którym wisiała ładownica i torba z prochem. A może był tam tytoń i zapalki. Zwykle spodnie miał wpuszczone w porządne iczygi, mocno ściągnięte rzemykami w kostce i pod kolanem.

„Prawdziwy łowca z tajgi” — stwierdził Pietia, który przeczytał немало książek o tajdze i jej mieszkańcach.

— Oto nasz przewodnik, Mikołaj Nikanorowicz Lubimow. Przedstaw się, Pietia... To mój siostrzeniec, najmłodszy członek naszej grupy.

Pietia podał rękę, uśmiechnął się. Starzec wziął chłopca

za ramiona, przyciągnął do siebie i po ojcowsku, serdecznie pocałował w czoło.

Lubimow urodził się tu, na Północy, w rodzinie zesłańca z Niżniego Nowgorodu i od dzieciństwa przywykł do posępnej tajgi i zimnych rzek górskich, do komarów i strzelby, do wycia wilków i huku spadających lawin. Jako ośmioletni chłopak był już na wiosennym ciągu gęsi, gdy miał dwanaście lat chodził z myśliwymi na rysia i niedźwiedzia, a w wieku lat siedemnastu zaczął przeprowadzać przez tajgę ludzi uchodzących przed czujnym okiem carskiej policji. Kiedy podczas rewolucji po tajdze rozproszyły się resztki rozbitych band Kołczaka i Siemionowa, Lubimow z kawałkiem czerwonej wstążki na czapce tropił je razem z setkami takich samych jak on partyzantów. Kiedy zaś w Hamadanie powstało Zjednoczenie, został wyznaczony na etatowego przewodnika i stał się najlepszym przyjacielem poszukiwaczy-geologów.

Wkrótce wszyscy zebrali się i Uskow ogłosił:

— Jutro o tej porze ruszamy dalej!

W głuszy leśnej nad nie nazwaną rzeczka z pewnością po raz pierwszy rozbrzmiewało tyle odgłosów ludzkiego życia. Zdejmowano ładunek z samochodu, geolodzy wiązali toboły, dobierali i sortowali rzeczy starając się ułożyć je jak najwygodniej i najporządniej w brezentowych worach, przeznaczonych do transportu.

Słońce podniosło się, zaczęło przygrzewać.

— Czas by przekąsić, prawda? No, Pietia, zajmij się ogniskiem i kociołkiem — powiedział Uskow.

Pietia pobiegł do lasu. Szybko wyrąbał dwie żerdzie, jakie mu wpadły w ręce, okorował, wbił w piasek, położył na nich poprzeczkę i pobiegł po drwa. Nie miał czasu wybierać, chciał jak najszybciej spełnić polecenie. Ściął cienki modrzew, porąbał na szczapki, ułożył stos. Świeże drwa przyjemnie pachniały smołą. Ręce drwala lepiły się od żywicy i nie mógł nawet marzyć, żeby udało mu się odmyć je wodą. Ale za to — dzieło zostało dokonane. Pietia potarł zapalną. Kora zadymiała, zatliła się i... zgasła. Podpalił jeszcze raz i jeszcze. Zużył już prawie wszystkie zapalną, a efektu wciąż żadnego. Chłopiec zaczerwienił się i ukradkiem zerknął na starszych. Wszyscy zajęci byli swoimi sprawami, nikt nie zwracał na niego uwagi. Podszedł więc do ciężarówki i cichutko poprosił kierowcę:

— Siemionycz, proszę mi dać trochę benzyny...

— Masz... tylko pamiętaj, ostrożnie...

Benzyna zapaliła się i wesołe płomienie objęły całe ognisko. Drzewo potrzaskiwało, kopcilo się, potem zasyczało i... zgasło. Co za przykrość! Chłopiec zaczerwienił się aż po uszy.

Lubimow wolno podszedł do niego, wziął siekierę i cicho powiedział:

— Chodź no ze mną...

Weszli w głąb lasu. Przewodnik rozejrzał się. Sterczały tu suche drzewa o białych pniach. Wybrał gładki pień bez sęków i nie ścinając całego drzewa nastrugał długich, cieniutkich wiórów. Dopiero później ściał drzewo i porąbał na polana. Koło kopcącego „ogniska” Pieti narąbał długich szczap, ustawił z nich niby namiocik nad kupką wiorów, obłożył grubymi polanami, nachylając je ku środkowi i podpalił wióry. Ogień objął podpałkę, szczapy, wystrzelił w górę, ogarnął polana i zahuczał jak w porządnym piecu. Wszystko odbyło się bez słowa, bez objaśnienia, Pietia patrzył wytrzeszczonymi oczami.

— Teraz już będziesz umiał?

— Tak!... Dziękuję...

— Spójrz tylko. Jest maj, nawet smoliste drzewa są jeszcze wilgotnawe, nie chcą się palić. A kije, na których chciałeś zawiesić kociołek, też do niczego. Od razu rozgrzeją się, powyginają i czajnik rymnie w ognisko... Przynieś no suche kije...

Po chwili nad ogniskiem kipiał czajnik, a z boku, na węglach, stał kociołek, w którym apetycznie bulgotały konserwy mięsne. Psy — Kawa i jej nowy przyjaciel Tuj — leżały tuż obok, rozkosznie mrużąc oczy. Podróźni jedli na miejscu, przy ognisku, siedząc na skrzyniach. Dokoła, jak okiem sięgnąć, leżała tajga, ciemnozielona w jaskrawym słońcu ostatnich dni maja. Nie opodal rzeka cichutko coś szeptała kamyczkom, a jej leniwej, przygłuszonej pogwarki uważnie słuchał milczący las pochyliwszy nad wodą swoje strzępiaste uszy. Słońce przypiekało coraz bardziej. W południe, przy takiej pogodzie, modrzewie i różowe kwiaty bagna mocno pachną żywicą i terpentyną. Lekki wiaterek rozpędza nad rzeką roje dokuczliwych komarów. Czysta woda z potoku górskiego jest przejrzysta i chłodna jak lód. Taką wodę lubią piękne, wesołe lipienie...



Cały dzień zszedł na przygotowaniach. Łuka Łukicz sprowadził do bazy konie. Tuj pomógł mu szybko zebrać tabun. Konie obejrzano, przymierzono im juki i znowu puszczono na pastwisko.

Po obiedzie Uskow zatrzymał całą grupę.

— A więc tak! — powiedział rozkładając mapę. — Ruszamy o wschodzie. To długa i ciężka trasa, około siedmiuset kilometrów, jeśli liczyć tam i z powrotem. Skierujemy się na północny wschód, przetniemy trzy boczne odgałęzienia głównego pasma i wejdziemy na osławione płaskowzgórze Sałachan-Czinta j... Zbadamy minerały u źródeł rzek i zobaczymy, co rośnie i może rosnąć w dolinach. Pamiętajcie, że te okolice to niemal ostatnie „białe plamy” na ziemi. Mam nadzieję, że znajdziemy tam rzadkie metale, pastwiska i ziemię, na której mogłaby rosnąć kapusta, może kartofle czy coś innego. A teraz musimy się śpieszyć, w połowie października powinniśmy tu wrócić i sędzę, że Siemionycz...

Kierowca skinął głową:

— Na pewno będę czekał. Możecie być spokojni... Proszę tylko nadać depezę radiową, a zaraz wyjadę.

— Świetnie! Jeszcze tylko dwa słowa: cała troska o konie i żywność, całe gospodarstwo spada na Łukę Łukicza. Wszyscy jednak powinniśmy mu pomagać. Mamy strzelby, oczywiście trzeba będzie żywić się dziczyzną, a kon-

serwy zachować na wszelki wypadek.

„Ma rację! — pomyślał Pietia ściskając swoją szesnastkę. — Co tam konserwy! Mięso niedźwiedzi, dzikich gęsi — oto pożywienie w tajdze!”

— Odpocznijcie tymczasem — zakończył geolog — a jutro o brzasku — w drogę.

Dzień chylił się ku końcowi. Niepostrzeżenie zapadł zmierzch. Pogłębił się cień nad doliną, słysząc było, jak woda szemrze po kamieniach. Mgła okryła leśne dale i zapadła krótka noc, milcząca i dziwnie przejrysta.

Zdawałoby się, że dopiero co wszyscy zasnęli, a oto już pobudka.

Borys obudził Pietię, wstał, przeciągnął się i, trochę jeszcze rozleniwiony i zaspany, poszedł nad rzekę. Oblał się zimną wodą, a gdy po chwili wrócił zaróżowiony, żwawy, z zapalem zabrał się do pracy.

O mglistym świcie w milczeniu siodłano konie. Parskając i wierzgając opędzały się ogonami, kiedy Łuka Łukicz i Lubimow za mocno podciągali popręgi juków.

Wreszcie przygotowania zostały zakończone. Objuczone konie przywiązano do jednego długiego rzemienia, wierzchowce ustawiono w ustalonej kolejności. Na przedzie mieli jechać Lubimow i Uskow. W pewnej odległości za nimi — Borys. Łuka Łukicz jechał w środku. Na końcu Pietia i zamykający karawanę Oroczo.

— Na nas już czas — Uskow uściśniętą rękę kierowcy. — Do prędkiego zobaczenia, przyjacielu...

Wszyscy serdecznie żegnali się z Siemionyczem, który ze wzruszenia aż zaczął mrugać oczami. Onieśmielony Pietia podszedł ostatni. Siemionycz objął go mocno.

— Uważaj na siebie, chłopcze! — powiedział. — To przecież nie żarty... — i odwrócił się.

Wypoczęte konie raźnie ruszyły, nad brzegiem rzeki rozciągnął się długi łańcuch karawany. Wjeżdżając w tajgę, Pietia po raz ostatni spojrzął za siebie, a serce jakoś trwożnie mu się ścisnęło. Na opustoszałym brzegu stał samotny kierowca.

— Żegnaj, Siemionycz! — krzyknął chłopiec i głos mu się załamał.

Siemionycz machał ręką na pożegnanie.

Jeden zakręt, potem drugi i nie widać już miejsca postoju. Karawana zagłębiła się w tajgę.

ROZDZIAŁ TRZECI

Pierwsze przygody geologów. — Dziwne jeziora. — Ryś gotuje się do skoku

Jak ogromny i rozległy jest kraj radziecki!

Grupa geologów wędruje jeden dzień, drugi, trzeci. Ze szczytów, jak okiem sięgnąć, widać, niby zastygłe fale martwego morza, okrągłe niskie sopki — to pokryte szarym piargiem, to przystrojone w rzadką ciemnoszarą łuskę niskiego lasu, czy też troskliwie otulone jaskrawozielonymi zaroślami płożących się cedrów. Przyroda nie lubi jednostajności. Tu i ówdzie wznoszą się grzbiety gór. Ich czarne skaliste masywy przecinają podgórze i dumnie uchodzą za horyzont, kryjąc swoje alpejskie szczyty w białych obłokach.

Geolodzy schodzą z gór, znowu kilka dni idą wolnym krokiem poszukiwaczy przez rozpadliny i wzgórza... Wchodzą na następną górę, odpoczywają, rozglądają się dookoła. I znowu ukazuje się im znany widok: bezkresne, od krańca do krańca, rozlewisko sopek i wyrastające nad pagórkami surowe grzbiety skalne.

Rzadko, bardzo rzadko widzą przed sobą małe, wąskie pasy równin. To doliny rzek górskich. Bystre wody przebiły sobie drogę pośród gór, zburzyły ściany skalne, naściągały w niziny głazów, kamieni i piasku, i z grubsza wyrównały swoje łóżyska. Doliny porosły pachnącymi topolami, liliową wierzbówką i gajami krzewów jagodowych. Na piaszczystych wyspach kołysze się wysoka trawa, pomiędzy kępkami przemykają lisy i zające, na skraju lasu tokują głuszczki. Życie mieszkańców Północy skupia się w dolinach. Weselej tu jakoś i przestronniej niż pośród sopek.

Ale dolin jest mało. W wysokich górach, gdzie nawet wiosenny strumyk szemrze nie dłużej niż tydzień, rzadko spotyka się rzeki.

Im dalej, tym bardziej surowa i nieprzystępna staje się przyroda, tym trudniejsza jest droga i przejścia niebez-

pieczniejsze.

Gdzieś niedaleko znajduje się biegun zimna. Przyroda ubożeje, tajga jest tu rzadsza i niższa, trawa brzydka. Coraz częściej pod nogami zgrzyta nagi piarg, a na ognisko nocne musi wystarczyć nędzna brzoźka krzaczasta lub omszały cieniutki pieńek stuletniego modrzewia o średnicy najwyżej dziesięciu centymetrów.

Poziom krainy górskiej, przez którą wędrowała grupa badaczy, podnosił się wyraźnie: sopki zatraciły swą okrągłość i wyszczerzyły w niebo skalne iglice. W wąwozach panował istny chaos: kamienie, osypiska, głazy. Zwierzęta i ptaki opuściły te ponure miejsca i wędrowcy nie raz przez cały dzień nie słyszeli nawet krakania wrony — tej wszechobecnej, złowieszczej mieszkanki skalnych pustkowi.

Mijały dni. Geolodzy zagłębiali się W góry, tam, dokąd przed nimi nie dotarł jeszcze żaden poszukiwacz.

Lubiniów jechał na przedzie. Co pewien czas schodził z konia i szedł piechotą, według jemu tylko wiadomych znaków odnajdując dobrą i bezpieczną drogę. Od czasu do czasu wyciągał małą siekierkę i nacinał drzewa albo stawiał wysokie wiechy na kamiennych głazach. Te proste znaki miały wskazać drogę wracającej tędy wyprawie, a także innym wędrowcom idącym przez ten nieprzetarty szlak.

Nasi młodzi przyjaciele od dawna już mieli ochotę zapolować, dotąd jednak nie widzieli żadnej zwierzyny. Wprawdzie parę razy mignęły w oddali stada baranów górskich, ale płochliwe zwierzęta pasły się w kotlinach pod czujną strażą swoich przewodników, nieruchomo wartujących na pobliskich wysokich skałach. Wystarczyło, by człowiek ukazał się w polu widzenia — a wszystkie barany na znak przewodnika zrywały się i natychmiast uciekały do wąwozów.

Czasami zatrzymywano się na popasy w ciągu dnia.

— Przewidziany postój? — pytał w takich razach Łapaj-Mucha.



— Miejscowy rekonesans, przewidziany — padała odpowiedź.

Oznaczało to, że trzeba tylko rozjuczyć konie, wypuścić je gdzieś niedaleko na paszę i raz-dwa przygotować posiłek przy ognisku. Zwiadowcy terenowi natychmiast rozchodzili się w różne strony. Uskow i Borys, zaopatrzeni w młotki geologiczne i brezentowe torby na wzorce, szli do najbliższych wąwozów, badali odkrywki w skałach albo brzeg strumienia. Agronom i Pietia wyruszali ze strzelbami do rzadkiego, przezroczystego lasu lub w dolinie zbierali okazy do zielnika, badali glebę, mierzyli temperaturę wody w strumieniu i szkicowali zarysy okolicy.

Niekiedy jednak Uskow zarządzał postój „specjalny”.

Wtedy Łapaj-Mucha razem z przewodnikiem rozpakowywał duże juki i szybko rozstawiał brezentowy namiot — dom grupy numer 14-bis. Obok namiotu rozniecano „wieczny ogień”. Dwa suche kłocę, rozpalone od małego ogniska, mogą tlić się bardzo długo. Wystarczy tylko dorzucić trochę podsuszonych szczapek, a po kilku minutach ognisko buchnie płomieniem.

— Zupełnie jak prymus — mawiał wtedy Łuka Łukicz.

Na dłuższych postojach zdejmowano koniom pęta i puszczano je wolno pod opieką Kawy, Tuja i ogiera Dumnego. Należy przyznać, że Dumny całkowicie zasługiwał na okazywane mu zaufanie. Gorliwie, nawet może za gorliwie, pilnował swoich podopiecznych. Nieraz konie miały na grzbiecie ślady jego ostrych zębów. Łuka Łukicz, zmartwiony, oglądał i smarował rany dziegiem brzoźowym, strofując Dumnego:

— Cóż ty szkapiny kąsasz, niech cię gęś kopnie! Może to twój wujek rodzony albo brat, a ty z zębami! Awanturnik!

I dzielał Dumnego batem — zresztą dobrotliwie. W głębi serca przecież i kierownik gospodarczy, i przewodnik Lubimow szanowali Dumnego i byli mu wdzięczni: przy dobrym ogierze nie zginie ani jeden koń, można być tego pewnym.

„Specjalne” postoje oznaczały, że geolog „wymacał” ciekawe pokłady i chce zbadać je szczegółowiej. Wszyscy zabierali się do prac badawczych. Kopali wąziutkie rowy-szurfy, robili próbne płukania piasku i tłuczonej rudy. Uskow często korzystał z mikroskopu, przeprowadzał wstępne analizy chemiczne rud, zbierał materiał do kolekcji, a wieczorem zawsze ktoś go pytał:

— Co znaleźliście tam na dnie koryta, Wasiliju Michajłowiczu?

— Małeńki pokład — odpowiadał geolog. — Złoto. Wątpię jednak, czy ma znaczenie przemysłowe. Znowu tylko tu i ówdzie „kępki” w piasku, tylko tyle... To wciąż nie to, o co chodzi...

Towarzysze wzdychali. „Nie to”... Tak bardzo chcieli, żeby było „to”, czego szukali, czego kraj od nich oczekuje! Ale złoto samo nie wpada w ręce, ani mowy! Nie ma na to rady. Znowu nadawali do Zjednoczenia depeszę radiową, że praca trwa, wszyscy są żywi i zdrowi, zysyłają pozdrowienia. I ruszali dalej.

Pewnego razu musieli pokonać długą i ciężką drogę w górę przez nagie, kamieniste sopki. Prawie cały dzień szli coraz bardziej zwężającym się wąwozem.

Zaniepokojony Lubimow zatrzymał karawanę i sam pojechał naprzód na swoim żwawym koniku. Wrócił po godzinie z mocno zatroskanym wyrazem twarzy.

— Jakaś pułapka... — powiedział do Uskowa. — Dalej nie ma już przejścia. Musimy albo zawrócić, albo wdrapać się tą wąziutką ścieżyną... — wskazał na stromo wznoszącą się ścianę.

— Jak radzisz?

— Oczywiście, drapać się. Co prawda to niebezpieczne, ale przecież nie będziemy się cofać ponad dwadzieścia kilometrów. Czyż można? Poradzimy, nasze konie umieją chodzić po skałach. Ludzie będą musieli zejść, iść za końmi i trzymać się ich ogonów. Juki z lewej strony podciągnąć wyżej!

Wkrótce łańcuszek ludzi i koni wszedł na ścieżkę górską i wolno posuwał się opuszczając wąż. Konie chrapały, ale szły pewnie, z nisko pochylonymi głowami, obwąchując przydrożne kamienie.

Wszyscy wspinali się w milczeniu. Ścieżka wciąż biegła w górę. Oto Dumny już zarżał zwycięsko na szczycie. Za nim szedł drugi i trzeci wierzchowiec.

Nagle zaszło coś nieprzewidzianego. Skądś, z ciemnej szczeliny, tuż przed piątym koniem wyleciała jak kamień oślepiąca blaskiem dziennym sowa. Spłoszony koń szarpnął się, targnął wodze, którymi przywiązany był do innego konia i naciągnął je jak strunę; rzemień boleśnie uderzył Borysa. Chłopiec zachwiał się, potknął i straciwszy równowagę ześliznął się w dół.

— Ach! — krzyknął Pietia i z przerażenia zakrył twarz rękami.

Ale student zachował przytomność umysłu. Padając nie wypuścił z rąk końskiego ogona i zawisł nad przepaścią na rękach. Mądre zwierzę przysiadło na tylnych nogach. Jeszcze sekunda i Borys runie. Pietia przerażony stał obok nie wiedząc, co robić.

Lubimow, który znalazł się tuż za chłopcami, krzyknął gwałtownie:

— Trzymaj się!

Przepełznął pomiędzy nogami koni, obok drżącego Pieti, nachylił się nad Borysem i szybko złapał go za ramiona. Sił przewodnikowi nie brakowało! W sekundę potem pobladły Borys stał już na ścieżce ciężko dysząc i rozglądał się zakłopotany.

Uskow nie widział całej tej sceny, ale domyślił się, że zaszło coś złego i niespokojnie zawołał z góry:

— Co się stało?

— Nic, wszystko w porządku!... — odkrzyknął Lubimow.

Spokojnym głosem, jakby nic nie zaszło, zakomenderował:

— Idziemy!

Oddział gęsiego ruszył naprzód.

Po wyjściu z wąwozu geolodzy sprawdzili szkic marszruty i przyspieszyli kroku, żeby za dnia dobrnąć do jakiegoś leśnego strumyka, przy którym mogliby zrobić popas. Konie szły żwawo po równym kamienistym wale, zanim więc upłynęła godzina, stanęli na szczycie działu wodnego.

Ale cóż to nowego?

Oczom ich ukazuje się widok całkiem niespodziewany. W głębi doliny, oświetlona czerwonym blaskiem, płynie szeroka, burzliwa rzeka o brzegach porośniętych gęstą zielenią.

U podnóża góry, na której stoją, rzeka ta jednak ginie. Tak, ginie! Na próżno wpatrują się w szeroką kotlinę u swoich stóp, rozglądają się na prawo i lewo — rzeki już nigdzie nie można dojrzeć. Ginie w jakiś tajemniczy sposób. A gdy zaczynają wsłuchiwać się, uszu ich dobiega szum przypominający huk wodospadu.

— Co to może być? — w zadumie mówi geolog. — Rzeka płynie... Ale dokąd?

Mrok wieczorny już gęstnieje i wolno pełźnie naprzód, coraz bardziej przysłaniając ten jedyne w swoim rodzaju krajobraz północny, niby zazdrosny artysta kryjący swój obraz przed obojętnym okiem profana.

— Naprzód! — rzuca Uskow oprzytomniawszy i karawana rusza.

Łagodny stok góry prowadzi w dolinę. Im niżej schodzą, tym wyraźniejszy staje się szum dobiegający jakby spod ziemi. Przewodnik i Uskow przechodzą około stu metrów i wołają do pozostałych:

— Chodźcie tu!...

W dole, o jakieś dwieście metrów pod nimi, burzy się spieniona, jakby oszalała rzeka. Uderzywszy z całej siły o skalistą pierś góry, z gwałtownym wyciem i hukiem odbija się i znowu spada do koryta, tworząc olbrzymi lej, nad którym kłębi się strzępiasta biała piana i lśnią miriady kropelek. W środku leją woda wiruje z przerażającą szybkością: coś ją wciąga w głąb z dziwnym hukiem i szlochem.

— Potok spada w przepaść?! To naprawdę dziw przyrody! Jakaś anomalia! — wykrzykuje Uskow. — Niewiarogodne! Jeśli tak jest, znaczyłoby to, że mamy do czynienia z przepaścią wulkaniczną. Warstwy ziemi, podniesione w górę... Ery prehistoryczne wystawione przez przyrodę na widok publiczny... Tu właśnie czeka nas poważna praca. Nie możemy jednak marnować cennego czasu. Zejdźmy szybko w dół.

Grupa geologów zeszła do doliny i z zapalem zabrała się do roboty. Wśród gęstych krzewów czeremchy wyrósł namiot. Zadymiło ognisko.

Pietia nie chciał tracić na próżno ani chwili — zanim zmrok zapadł, wziął strzelbę na plecy i poszedł. Koło samotnej skały zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać.

W pobliżu coś zaszeleściło: na modrzewiu siedział wielki brunatnoczarny głuszec i, przechyliwszy głowę na bok, głupio patrzył na myśliwego swoimi okrągłymi, trochę zdziwionymi oczami. Kłapał i puszył się, jak zawsze robią głuszce, gdy chcą odlecieć.

Huknął strzał. Czarny ptak zaczepiając o gałęzie i tracąc pióra zwałił się na ziemię. Echo pochwyciło grzmot wystrzału — popłynęło we wszystkie strony, przetoczyło się i zamarło. Cała dolina przysłuchiwała się temu nieznanemu odgłosowi.

— Ehe-he! — rozległo się w obozie. — Kto to strzelał? Co się stało?

Podniecony i uradowany Pietia bez słowa położył swoją zdobycz przed Łapaj-Muchą.

Następnego ranka Oroczo wdrapał się na wysoką skałę i naszkicował rzekę i całą dolinę. Okazało się, że dolina ma około czterdziestu kilometrów długości i co najmniej trzydzieści szerokości.

— To Sałachan-Czintaj! — wyjaśnił Lubimow. — Jest tu gdzieś wielkie płaskowzgórze. Żle o nim mówią. Często zrywa się tam huragan, a jak się zerwie — to już gotowe nieszczęście! Czasami w środku lata wszystko zmrozi, nawet woda pokrywa się lodem, a modrzewie od razu czernieją i usychają.

— Ciekawa okolica — odpowiedział agronom. — Takie miejsce nazywamy „kuchnią pogody”. Tu właśnie „gotują” się huragany, opady śnieżne i tym podobne rozkosze.

— Nikt tu jeszcze nie był. Trochę straszno. A może te strony są naprawdę najbogatsze? Kto wie! — zakończył Lubimow.

W dzień dolina robiła wrażenie wesołej i pięknej. Pietia znalazł w lesie jezioro. Błyszczało, niemniej błękitne niż niebo.

Już podczas pierwszego wypadu w teren, Uskow natrafił jeszcze na kilka mniejszych jezior i stwierdził, że niektóre są bardzo głębokie. Na domiar wszystkiego okazało się, że woda w nich jest zupełnie ciepła. Było to bardzo dziwne w kraju, w którym grunt jest zawsze zamrznięty na głębokość kilkudziesięciu metrów. Jeziora były pełne ryb.

— Jazda, chłopcze, na rybki! — zaproponował Pieti Łuka Łukicz.

— Bardzo chętnie!

Zanim chłopiec zdążył zarzucić haczyk z przynętą, spławik

już zanurzył się w głąb, a po chwili na brzegu trzepotała się nie byle jaka rybka.

— Jest! — krzyknął rybak i z radością chwycił zdobycz. — Oho, lipień!

W ciągu kwadransa nałapali pół setki ryb. Stadka ciemnych lipieni i srebrzystych, z czerwonymi skrzelami nelm skupiały się koło haczyków, szły na nie z jakąś radosną chciwością i chwytaly nawet pusty haczyk, wprost przez ciekawość. A o zachodzie słońca nad gładką powierzchnią wody rozpoczęły się jakieś popisy akrobacyjne. Ryby, jak wyraził się Łuka Łukicz, „po prostu dostały bzika”. Bawiły się, figlowały. Dziesiątki zręcznych lipieni wciąż wyskakiwały z wody i, zgrabnie wyginając się w powietrzu, nurkowały, żeby po chwili znowu wzbijać się w górę.

— Tańczą! — zawołał Pietia. — Patrzcie, patrzcie, naprawdę tańczą!

— Zobaczysz, jak zatańczą na patelni...

Gdy Pietia opowiadał przy kolacji o połowie, Uskow uśmiechnął się i uderzył się w czoło:

— A myśmy się tymczasem zastanawiali, jak nazwać największe jezioro. Pietia, jako odkrywca ma prawo wyboru. Co proponujesz?

— Jezioro Tańczących Lipieni. Dobrze?

— Doskonale. Zgadza się? Więc postanowione. A dolinę?

Wszyscy zamyślili się. Borys podniósł głowę:

— Dolina Szalonej Rzeki. Jest przecież niezwykła. Wypływa ze źródła a nie ma ujścia.

— Dobrze! Zaakceptujemy? Niech będzie Dolina Szalonej Rzeki. Jest istotnie szalona, całkiem niezwykła. Zbiera wody górskie i natychmiast ginie, kryje się w głębi ziemi, a potem znów wypływa na powierzchnię w postaci źródeł czy też zdrojów... Ale nawet nie to jest najciekawsze. Spójrzcie, ile tu kwarcu! A w piasku kwarcowym można coś niecoś znaleźć... Musimy zbadać, skąd przyniosła go rzeka? Mam nadzieję, że tym razem trud nasz nie będzie daremny.

— I ja mam dobre wiadomości — wtrącił Oroczo. — Badałem dziś, na jaką głębokość taje tutaj wieczna marzłota. Wyobraźcie sobie, że w jednym miejscu przerąbałem ponad dwa metry i nie znalazłem warstwy marzłoty. Zmierzyłem temperaturę gleby: prawie piętnaście stopni ciepła! Woda w jeziorze — siedemnaście stopni. Wydaje się to

nieprawdopodobne, ale tak jest! Należy przypuszczać, że natrafiliśmy na swego rodzaju oazę w podbiegunowych górach. Jak myślicie, Wasiliju Michajłowiczu, czym można to wytłumaczyć?

— Sam już zadawałem sobie to pytanie — odpowiedział geolog. — Wydaje mi się, że znalazłem odpowiedź. Jeśli Szalona Rzeka przebiła sobie drogę do głębi ziemi i wpływa tam, czemu nie mogłoby też zachodzić zjawisko odwrotne: wystąpienie wody głębinowej na powierzchnię? Widzieliście, ile tu jest szczelin i rozpadlin w pokładach górskich? Pozwala to przypuszczać, że w niektórych miejscach ciepła woda głębinowa podnosi się wyżej i nagrzewa grunt. Możliwe, że w ciągu wieków zdołała ona roztopić wieczną marzłoc w dolinie i przekształciła zamrożone grunta w całkowicie rozmarzłe. Tym tłumaczę sobie istnienie ciepłych jezior i ciepłych gruntów na sześćdziesiątym szóstym równoleżniku.

— Ależ to prawdziwe odkrycie! Taką dużą dolinę można doskonale zaorać, uprawiać tu warzywa, kartofle, zboże. Wszystko, czego potrzeba! Naokoło posępne, nagie góry, a w centrum — takie skarby!

— Olbrzymi teren do działania dla agronoma. Musimy badać, sprawdzać, notować. Bardzo możliwe, że właśnie tu powstaną w przyszłości pola i ogrody.

Lubimow w milczeniu smarował swój stary karabin. Pietia uważnie obserwował jego pracę. Borys, zmordowany ciężkim dniem, zasnął. Łapaj-Mucha porządkował naczynia.

— Mikołaju Nikanorowiczu — cicho zapytał Pietia. — Tak starannie smarujecie broń... Czy karabin może się wam tu przydać?

Lubimow uśmiechnął się:

— No cóż... Kto wie, może się i przyda.

— Ach tak? — nadstawił ucha Pietia. — Dziś na piaszczystej mieliźnie znalazłem jakieś świeże ślady. Pięć palców i okrągła pięta. Czy to niedźwiedź?

— Ja też zauważyłem ślady niedźwiedzia. I jeszcze różne tam takie... Gdyby Borys nie zaproponował nazwy dla naszej rzeki, inaczej bym ją nazwał. Na przykład — Wilcza Rzeka. Dzisiaj widziałem jednocześnie dwie pary wilków. Teraz chodzą przeważnie parami, ale bliżej zimy zbiorą się w stada. A więc...

— Trzeba pilnować koni.

— O konie możemy właśnie być spokojni. Tymczasem

wilki ich nie ruszą. Ochronę zresztą mamy dobrą. Dumny nie da skrzywdzić swoich koni. Ale warto, żebyśmy wszyscy mieli dobry śrut w lufach.

Noc okryła dolinę. Ucichły rozmowy przy ognisku. Zwyciężyło zmęczenie. Geolodzy ułożyli się i wkrótce zasnęli. Ogień ledwie się tlił, dokoła panowała cisza i było jakoś nie tyle jasno, co przejrzyście, jak bywa na Północy w pogodne białe noce, kiedy zorza wieczorna niemal od razu przechodzi w jasną zorzę poranną.

Tuż przed świtem niespokojnie zarżał ogier. Natychmiast cały tabun przemknął przez łąkę i skupił się przy samym ognisku. Konie przyciskały się do namiotu, prychały i drżały. Kawa i Tuj poderwały się i z groźnie nastawioną sierścią wpatrywały się płonącymi oczami w pobliskie zarośla. Nie miały jednak odwagi skoczyć tam, nie czuły się widocznie na siłach do walki ze zwierzem. Niemal w tejże chwili obudzili się też ludzie i chwycili za strzelby. W nadbrzeżnych krzakach cicho trzasnęła gałązka. Chyba pod jakąś ciężką stopą... Sześć strzelb podniosło się. Znowu trzasnął chrust, tym razem już bliżej. Przewodnik swoim bystrym wzrokiem dostrzegł w zaroślach dwa czarne cieni.

— Patrzcie... — szepnął. — Tam, w krzakach. Wziąć na muszkę. Ognia!

Strzały gruchnęły jednocześnie. Kawa i Tuj pokonując strach skoczyły w zarośla. Dobiegł stamtąd głuchy, groźny ryk zwierzęcy, potem odgłosy zawziętej walki i zwycięskie szczekanie Tuja. Geolodzy weszli w zarośla.

Ogromny bury niedźwiedź rzucał się w przedśmiertnych konwulsjach. Tuj wczepił mu się w gardło. Mądry pies zmienił się nie do poznania. Na widok krwi zagrały w nim dzikie instynkty. Szarpał swoją ofiarę i wściekle szczekał. Ledwie udało się go odpędzić i z trudem uspokoić. Kiedy ktoś oświetlił zdeptane krzaki, ukazała się zakrwawiona dróżka uchodząca w las; drugi niedźwiedź, niewątpliwie również ranny, uciekł w zarośla.

Lubimow zabronił w nocy tropić rannego zwierza, zresztą nie było po co. Spokój został przywrócony, pogwałciciele jego ukarani, a mięsa starczy teraz na długo. Niedźwiedź ważył co najmniej trzy cetnary.

Podczas, gdy wszyscy omawiali zdarzenie, Łuka Łukicz nadszedł z nożem i sznurem.

— Potrzebna mi szynka... — oznajmił i zaczął szybko i zręcznie rozbierać tuszę. — Rano będą „kotlety wie-

przowe” z niedźwiedzia. Idźcie teraz spać.

Znowu minął tydzień. Namiot przeniesiono dalej od brzegu. Geolodzy wybijali w piaskowych warstwach głębokie szurfy, chodzili po stokach tarasów, przemywali próbki. Uskow był podniecony i wesoły:

— Będziemy posuwać się w górę rzeki. Jeśli tutaj znaleźliśmy coś niecoś, należy sądzić, że u źródeł rzeki przyroda zgromadziła dla nas solidne zasoby, a może nawet przygotowała jakąś dużą niespodziankę.

Pewnego wieczoru agronom ze swoim pomocnikiem Pietią wracał z kolejnego wypadu w teren. Obaj byli porządnie zmęczeni, mało więc rozmawiali. W pobliżu obozu Pietia nagle zatrzymał się i pociągnął towarzysza za rękaw.

— Co? — szeptem zapytał agronom.

— Tam ktoś jest...

Przed nimi, w świetle prostopadłych promieni słońca mignął jakiś cień. I znowu... Pietia chwycił strzelbę. Oroczko nic jeszcze nie widział, ale także zdjął strzelbę z ramienia. Cień ukazał się znowu. Nie, to już nie był cień. Sprężyste, silne zwierzę szybko przepelzało z gałęzi na gałąź. Oto bezszelestnie stoczyło się na ziemię, przebiegło po trawie do innego drzewa i zaczęło skradać się naprzód.

— Cicho — szepnął Pietia — on kogoś śledzi...

— Co za: on? — również szeptem spytał agronom.

— O, ten... duży kot.

Teraz i Oroczko zobaczył zwierzę. Ciemnorudy tułów i lekko spłaszczona mała główka. Krótki puszysty ogon, ruchy przymilne, miękkie.

— Ryś — powiedział cicho.

Zwierzę nie mogło widzieć ani słyszeć ludzi: wiatr wiał w stronę myśliwych stojących w cieniu dużego drzewa, a ryś kilkakrotnie przebiegał przez oświetlony słońcem rzadki las. Oto położył się na gałęzi, całkiem do niej przylgnął. Wolno skurczył tułów, stulił uszy, położył mordkę na gałęzi i cały się sprężył. Zaraz skoczył... Na kogo?

W tej chwili Pietia zobaczył Borysa. Siedział pod drzewem na dużym pnium. Obok, na rozelanym worku leżały odłamki skał. Student brał jeden wzorzec po drugim, oglądał przez lupę i coś notował w zeszytce. Był zatopiony w pracy.

Pietia nie namyślał się ani chwili.

Las zadrżał od podwójnego strzału. Chłopiec strzelił z obu

luf naraz. Ryś skoczył w górę jak na sprężynie, ale natychmiast zwał się na ziemię niby ciężki worek, sycząc i wściekle drapiąc ziemię przepelznął parę metrów i ucichł. Wystrzelony z odległości około pięćdziesięciu metrów gruby śrut przebił mu pierś na wylot.

Każdy, kto choć raz polował w lesie, wie, jakie wrażenie robi wzmocniony przez echo nagły strzał wśród ciszy łagodnej, spokojnej przyrody. Nic więc dziwnego, że Borys z przerażenia spadł z pnia na swoją kolekcję. Zerwał się i nie wiedząc, o co chodzi, zły i oburzony rzucił się na Pietię z pięściami:

— Co za głupie żarty, do licha!

Ale Oroczo przytrzymał go i bez słowa wskazał ręką nieruchomego rysia. Borys spojrział. Ach, to tak?! Teraz zrozumiał, jakie groziło mu niebezpieczeństwo i komu zawdzięcza ocalenie. Na wzruszonej twarzy studenta ukazał się nieśmiały, przepraszający uśmiech. Złapał przyjaciela w objęcia.

— Pietia! Zuchu! Że też znalazłeś się w pobliżu! Nawet nie wziąłem strzelby. Myślałem, że to niepotrzebny balast. A ten by mnie... Dziękuję przyjacielu! I nie straciłeś głowy? Żebyś krzyknął na mnie, albo co...

Pietia niemniej wzruszony opowiadał z podnieceniem:

— Wiesz, nie zdążyłem pomyśleć, co i jak... Strzelba jakby sama wypaliła z obu luf. Chyba nawet nie celowałem.

— Z przyrzutu?

— Tak, z przyrzutu. I, proszę, jak trafiłem!

— A więc lekcje strzelania do rzutków wyszły ci na korzyść?

— Jak widzisz

ROZDZIAŁ CZWARTY

zawierający jakie takie wiadomości o wiecznej marzłoci i o tajemniczym odkryciu Pieti

Grupa posuwała się w górę z biegiem Szalonej Rzeki, obok ciekawego usypiska, które znalazł tu Uskow z Borysem.

Oroczo i Pietia oddalali się od miejsca postoju o pięć albo nawet o dziesięć kilometrów i spędzali w tajdze całe dnie. Agronom notował stopień wzniesienia doliny. Wraz ze zmianą wysokości zmieniał się otaczający świat. Las wyraźnie stawał się rzadszy. Ginęły liczne okazy drzew liściastych, rzadziej widziało się czeremchę, jarzębiny i topole. Tu i ówdzie spotykało się też wśród lasu bagna z roślinnością właściwą tundrze. Pokrowiec grubego mchu zaścielał chlupoczącą torfową ziemię i niemal doszczętnie wypierał wesołą jedwabistą turzycę. Gdzieś pośród błot stały smutne modrzewie; z pni ich zwisały strzępy porostów, a wykrzywione sęki świadczyły o ciężkim życiu drzew. Wegetowały tu nędzne zarośla brzoź karłowatych, zupełnie już niepodobnych do zwykłych brzoź, które geolodzy widzieli w dolnym biegu rzeki.

— Widzisz, chłopcze, co to jest Północ! Odeszliśmy zaledwie jakieś dwadzieścia kilometrów od ujścia rzeki i taka różnica! Na początku doliny roślinność przypomina okolice podmoskiewskie, a tu już jest tundra. Ciekawe, jak głęboko sięga tu wieczna marzłość?

To mówiąc Oroczo wbił w grunt ostry żelazny świder. Prawie dwie trzecie metrowego trzonu z łatwością weszło w wilgotną ziemię. Głębiej jednak w żaden sposób nie można go było wbić. Próbował jeszcze w kilku miejscach, ale zawsze bez skutku. Wszędzie na głębokości sześćdziesięciu czy siedemdziesięciu centymetrów zaczynała się nieprzenikniona warstwa wiecznej marzłoci.

— No, proszę! Warstwa tajania jest tu bardzo mała. Jeśli wierzyć przypuszczeniom Uskowa, dolina w tym miejscu już nie jest ogrzewana wewnętrznym ciepłem ziemi i dlatego ziemia tu nie rozmarza prawdopodobnie od pradawnych er geologicznych. Wciąż tylko marzłość pozbawiona wszelkiego życia...

— Proszę mi wytłumaczyć, Aleksandrze Aleksiejewiczu, w kilku słowach — poprosił Pietia — dlaczego jest tu wieczna

marzłość? Skąd się wzięła?

— Tego nie da się wytłumaczyć w kilku słowach — odpowiedział agronom. — Istnieje cała nauka o wiecznej marzłości. Zrodziła się w Związku Radzieckim, co zresztą jest zupełnie zrozumiałe. Pod ogromnymi połaciami ziemi, przede wszystkim w azjatyckiej części kraju, za Uralem, leży warstwa wiecznej marzłości. Uczeni sądzą, że w granicach Związku Radzieckiego wieczna marzłość zajmuje ponad dziesięć milionów kilometrów kwadratowych, czyli prawie połowę całego obszaru państwa.

— Ojej! A na jaką głębokość ziemia przemarza?

— W różnych szerokościach — rozmaicie. Są miejsca, w których warstwa wiecznej marzłości osiąga ponad dwieście metrów. Głębokość kopalni szczyrgińskiej w Jakucku wynosi sto szesnaście metrów. I wciąż marzłość. Moim zdaniem tutaj jest taka sama, jeśli nie grubsza warstwa marzłości. W innych miejscach cieńsza — metr, pół metra... Czasami marzłość nie tworzy jednolitej warstwy, ale jakby wyspy otoczone odtajalymi gruntami. Niekiedy, przeciwnie, jednolitą warstwę marzłości przecina pas ziemi odtajalej, na przykład wzdłuż koryta jakiejś dużej rzeki, jak Lena czy Jenisiej. W naszej dolinie również, jak widać, istnieje warstwa odtajalej ziemi, ale na ograniczonej przestrzeni. Największym wrogiem marzłości jest woda. Nigdy nie ma marzłości tam, gdzie jest dużo wody. Szczerze mówiąc, to zjawisko ciekawe, ale dla nas, agronomów, bardzo, ale to bardzo niewygodne. Korzenie uprawianych roślin nie mogą pracować w gruncie, którego temperatura jest bliska zeru. Rozumiesz? Wyobraź sobie: nadziemna część rośliny znajduje się w ciepłej warstwie powietrza, wygrzewa się na słońcu. Lipiec, upał, zdaje się, że wszystko w porządku, można tylko oczekiwać urodzaju. A tu rośliny zaczynają marnieć. Dlaczego? Czyżby miały za sucho? Sprawdza się — nie, nie jest za sucho; grunt zawiera dużo wody. I pożywienie mają. A jednak więdną w oczach. Okazuje się, że w ziemi jest chłodno. Korzenie nie pracują, nie podają roślinom wody. Co robić?

— Jak w inspektach, tylko odwrotnie — zauważył Pietia. — Tam ziemia jest cieplejsza od powietrza, a tu zimniejsza.

— Zupełnie słusznie! I właśnie my, agronomowie, wciąż szukamy sposobu, żeby pojednać w takich warunkach roślinę z wieczną marzłością.

— Czyż to możliwe? Przecież przyroda... — płątał się

w rozważaniach Pietia.

Ale Oroczo przerwał:

— Przyroda sama podsuwa drogę do „pojednania”. Miejscowe rośliny zwane „tubylcami Północy” same zdobywają umiejętność pobierania wody i pożywienia z ziemi przy temperaturze bliskiej zeru stopni i tylko w górnych warstwach gruntu. Te modrzewie, na przykład, albo żurawiny czy moroszki żyją sobie i nie znają biedy. Oto, czym powinni zająć się nasi selekcjonerzy. Rośliny o korzeniach odpornych na zimno... Jakże ułatwiłoby to przeniesienie na północ cudownej flory południowej! Tymczasem jednak musimy przygotować grunt. Rolę uprawiać w ten sposób, żeby wierzchnia warstwa gleby odmarzała możliwie najszybciej i najgłębiej. Dlatego właśnie tak cieszy mnie wasze odkrycie. Przecież dolina Szalonej Rzeki to miły wyjątek na Północy. Ciepła ziemia! Czegóż więcej potrzeba rolnikowi?

Pietia zamyślił się. Przypomniał coś sobie i uśmiechnął się:

— Pamiętam, jak to w Hamadanie ze smutkiem oglądaliście małe drzewka na ulicach! Żal ich było, prawda? Ktoś je posadził, pielęgnował, a one nie mogą żyć i usychają. Czyż i tam zawiniła marźłość?

— Tak! Tam również zawiniła marźłość. Wtedy właśnie też o tym myślałem, ale nie widziałem rady. A teraz...

— Co teraz?

— Teraz widzę.

— Jakaż to rada?

— Wydelikacone, hodowane w szkółkach, sadzonki drzew nie nadają się do sadzenia w surowych okolicach, do „zazielenienia” tutejszych miast. Zmiana warunków z lepszych na gorsze, zwłaszcza pod względem temperatury ziemi, odbija się na roślinach zabójczo. Więdną, przestają rosnać. Należy brać sadzonki, które wyrastały w najsurowszych warunkach, w tajdze, w małych dolinkach; tam drzewo od pierwszej chwili uczy się znosić wszelkie trudności, przyzwyczaja się do zimnej gleby, przystosowuje swój organizm, potrafi opierać się mrozom i gwałtownym zmianom temperatury. Gdy takie drzewko znajdzie się w lepszych warunkach, od razu rozwija się i zaczyna szybko rosnać.

— O cóż więc chodzi? Tak właśnie róbmy.

— Tak też zrobimy. Zobaczysz, że zadrzewimy miasto.

— I jak ładnie!

Agronom i Pietia, wciąż rozmawiając, doszli do małego, przejrzystego jeziora. Pływały po nim spokojnie dwie gęsi. Wystrzelili prawie jednocześnie. Jedna gęś przewróciła się. Ale druga, ranna, wyskoczyła na brzeg i od czasu do czasu podfruwając pobiegła po błocie.

— Nie uciekniesz! — krzyknął Pietia i szybko zrzuciwszy plecak pobiegł za gęsią.

Oroczo został. Ranny ptak dobiegł do rzeki i wypłynął na wodę. Rzeka zataczała w tym miejscu szerokie półkole, nurt uderzał prosto o brzeg. Pietia podbiegł i w porę się zatrzymał. Niebezpieczne miejsce! Brzeg nie jest wysoki, ale stromy i urwisty.

Pochwycona przez silny prąd gęś była już daleko, płynęła, niespokojnie gęgając i oglądając się. To ci niepowodzenie! Ale przecież nie popłynie za nią! Westchnął, powstał chwilę i zawrócił. W tej chwili zobaczył to, czego nie dostrzegł w zapale pogoni. W odległości dwudziestu metrów od brzegu stała jakaś budowla przypominająca szkielet dużego szałas. Po prostu kilka cienkich żerdzi stożkowato wbitych w ziemię i umocowanych na górze obręczą z wierzby. Żerdzie szerniały od starości, pokryły się szarym mchem. Dawno widocznie tu stają.

— Prędko, prędko! Tutaj! — zawołał chłopiec.

— Idę, idę — odkrzyknął agronom. Uśmiechając się szeroko, ciągnął za łapy ciężką ciemnoszarą gęś.

— Proszę spojrzeć, co to jest? Czyżby przed nami byli tu już ludzie?!

Oroczo rozejrzał się uważnie. Tak, nie ulegało wątpliwości. Znajdowali się na miejscu dawno porzuconego osiedla. Oto naga plama wypalanej ziemi. Zachowały się jeszcze kamienie paleniska. Dokoła sterczały na pół zgniłe pnie, szczątki wyrąbanego lasu, wały się drwa ze śladami siekiery.

— Dawne obozowisko Jakutów albo Ojrotów — stwierdził agronom. — Szkielet jest z żerdzi, więc była tu jaranga. Widocznie ludność miejscowa od dawna zna tę dolinę. Hm... To zmienia postać rzeczy. Wobec tego nie jesteśmy tu pierwsi. Jednakże ludzie odeszli stąd i chyba już nie wracali. Co zmusiło ich do porzucenia obozowiska? Przecież mieli tu dobre warunki do polowania, no i co za pastwisko! Ładniejszej doliny nie znalazłoby się w całym kraju. Tak! To ciekawe... Bardzo ciekawe!

Petia czubkiem buta rozgrzebał popiół, kamienie i potłuczone skorupy.

— A musiało to być dobre obozowisko. Mądrze wybrane miejsce — wciąż rozmyślał na głos agronom. — Spójrz, przecież stoimy jakby na kurhanie. To wzniesienie porośnięte mchem reniferowym jest doskonałym pastwiskiem dla jeleni, a przy tym blisko, tuż na oczach. Z prawej strony las, pełno suchych drzew, zdatnych na drwa. I rzeka pod bokiem.

— Rzeka mocno rozmywa brzegi — wtrącił Pietia. — Wali wprost tutaj i odrywa wielkie kawały darni.

— No, to jeszcze nie powód, żeby porzucić takie obozowisko. Ludy koczujące często zmieniają miejsce zamieszkania, ale nieraz powracają do starych obozowisk, nawet o wiele gorszych niż to.

— O, jeszcze jedna jaranga — wykrzyknął Pietia, który trochę się oddalił. — I jeszcze jedna, a nawet dwie.

Istotnie, na skraju lasu widniało kilka na pół rozwalonych stożków z żerdzi, otoczonych wysoką trawą i liliowymi kwiatami wierzbowki, rośliny, która upodobała sobie właśnie jałowe pustkowia. Całe osiedle. I to spore.

— Powinniśmy się tym zająć — powiedział agronom po namyśle.

— Może zrobimy jeszcze jakieś odkrycie! — ucieszył się Pietia. — Przecież ci ludzie także mogli wiedzieć o pokładach złota, których szukamy.

— Wątpię. Jakuci są dosyć obojętni jeśli chodzi o złoto. W każdym razie byli obojętni przed zetknięciem się z rabusiami-poszukiwaczami.

Obeszli całe wzniesienie, znaleźli kilka dużych kości jelenich, zaostrzoną na jednym końcu kość niedźwiedzia, widocznie służącą za jakieś narzędzie, postali chwilę i wrócili na brzeg. Agronom uważnie obejrzał pionową skarpe i pokazał Pieti granicę wiecznej marzłoci.

— Widzisz, jak głęboko przebijają się korzenie drzew i trawy? Poniżej tej linii już nie ma szczątków korzeni. W strefie marzłoci nie istnieje życie. Zbadanie korzeni, ich załamania, pozwala oznaczyć głębokość odtajania ziemi.

— A co to takiego? — ze zdumieniem zapytał Pietia wskazując stary, ciemny przedmiot wystający z szarego piargu urwiska.

— Zobaczymy... — Oroczo szybko poszedł wzdłuż brzegu.

Z osypiska wystawał róg jakiejś skrzyni. Zbita z szerokich, ale cienkich, obciosanych zrzynów, szернаła ze starości skrzynia więcej niż w trzech czwartych wisiała nad wodą i



mogła lada chwila wpaść do rzeki. Widocznie długo leżała w zamarznętej ziemi, zanim woda się do niej dobrała.

Oroczo zdumiał się. Co to za skrzynia? Kto ją tu zakopał? Co zawiera?

Wystarczyło jednak choćby pobieżnie ją obejrzeć, żeby pożegnać się z myślą o uzyskaniu odpowiedzi na to pytanie. Marzłoć mocno trzymała swoją zdobycz i nie zamierzała oddać jej bez walki.

— Wiesz co, Pietia — zapytał Oroczo — znajdziesz

drogę do obozu, nie zabłądzisz?

— Oczywiście. — Chłopiec poczuł się urażony. — Przecież znaczyliśmy drzewa. Zresztą to nawet nie jest tak daleko. Myślę, że chyba najwyżej pięć kilometrów.

— Tak — potwierdził agronom. Zrozumiał przebiegłość chłopca i, uśmiechając się pod wąsem, dodał: — Najwyżej pięć... Albo dwa razy po pięć... W każdym razie bierz, jak to się mówi, nogi za pas i goń jednym tchem do obozu! Sprowadź tu wszystkich. Niech zabiorą oskardy i łopaty. Jazda!

Pietia nie kazał sobie tego powtarzać dwa razy. Zerwał się i, zanim minęła minuta, już go nie było widać.

Wrócił wieczorem. Zobaczywszy z daleka ognisko, które rozłożył Oroczo, z radości włożył palce do ust i łobuzerski gwizd wstrząsnął tajgą.

— Chodźcie, chodźcie! — wołał.

Kawa i Tuj biegly za nim szczekając.

Wkrótce nadszedł Lubimow z Uskowem, Borysem i Łapaj-Muchą. Wszyscy uzbrojeni w łopaty, oskardy, sznury i latarnie. Ale w tejże chwili od brzegu odpadła i zsunęła się podmyta wodą bryła.

— Prędeż, brzeg się usuwa! — krzyknął agronom.

Wspólnymi siłami wydobyli skrzynię i ostrożnie przenieśli bliżej ogniska, do światła.

— Przypomina trumnę — powiedział Lubiniow.

— Sądzę, że to jest trumna — potwierdził Uskow.

— Trumna, trumna, na pewno! — z głębokim przekonaniem zawołał Łapaj-Mucha.

Przewodnik wyciągnął z za pasa siekiere i ostrożnie podważył wieko. Od razu puściło: trzymało się tylko na drewnianych czopach. Powoli zdjął je i wszyscy obnażyli głowy. Tak, to trumna. Na posłaniu z suchego mchu leży człowiek. Twarz ma wyraz spokojny, oczy są zamknięte, lekko pociemniałe policzki zapadły. Ciemna, szpakowata broda okrywa pierś. Długie siwe włosy są starannie rozczesane. Jakby człowiek ten spał złożywszy na piersi spracowane dłonie. Wieczna marźłość okazała się niezawodną ochroną przed rozkładem. Pod głową zieleni się pęk świeżego, jak gdyby dopiero co zerwanego mchu. Zmarły ubrany jest w obszerną sukienną bluzę, starannie zapiętą na wszystkie guziki, zwykłe spodnie i jakuckie iczygi.

Kim był ten Rosjanin, gość jakuckich koczowników? Jaka niemoc złożyła go na ostatnim łożu z miękkiego

mchu, usłanym rękami przyjaciół? Jak długo tu leży?

Milczące zwłoki nic nie odpowiedzą...

Geolodzy długo, bez słowa, przyglądają się zmarłemu. Potem Lubimow, widocznie zauważywszy coś niezwykłego, ostrożnie unosi zamarznięte ręce starca i wyciąga spod nich cienki zeszytek. Zdmuchuje z niego okruchy mchu i podaje zeszyt Uskowowi:

— Proszę, może tu wycytacie coś ciekawego...

ROZDZIAŁ PIĄTY

w którym czytelnik poznaje treść znalezionego zeszytu

Papier mocno zwilgotniał i dosyć trudno było czytać notatki. Zwłaszcza, że ktoś pisał je ołówkiem. Poszczególnych wyrazów, a nawet całych stronice na początku zeszytu nie udało się odcyfrować.

Ale data wypisana była wyraźnie:

1817 rok, październik (jeśli się nie mylę)

A dalej:

...słusznie mówiono, że zbyt duże ryzyko, ale jednak uciekliśmy. Tak rozpoczęła się nasza wędrówka i oto już dziesięć miesięcy bląkamy się po tajdze... My — to znaczy dwaj zesłańcy polityczni, członkowie socjaldemokratycznej partii bolszewików, zbiegli w grudniu 1916 roku z Krest-Alżanu, dokąd wyrokiem sądu wojskowego zostaliśmy zesłani w jesieni 1914 roku.

Potem następowały dwie nieczytelne stronice, a dalej znowu można było odczytać:

...spotkaliśmy kupca-przemysłowca, dążącego do Kołomy. Z początku przestraszył się nas, myślał, że go ograbimy, ale kiedy dowiedział się, że jesteśmy polityczni i uciekliśmy ze zsyłki, a teraz wędrujemy do Rosji, roześmiał się nam prosto w twarz i powiedział:

— Ech... Już pół roku temu w Rosji zrzucili cara!

Myśleliśmy, że dokucza nam po prostu przez złośliwość, żeby znęcać się nad biednymi ludźmi. Ale wetknął nam w rękę strzępek starej gazety i przeczytaliśmy, że w Rosji wre rewolucja i że w Piotrogradzie wszyscy oczekują przyjazdu Lenina. Wówczas rozplakaliśmy się jak dzieci — ja i mój towarzysz Włodzimierz Sperański (pseudonim partyjny „Brzoza”). Spełniło się wielkie dzieło, o które walczył proletariat rosyjski! Nie ma cara, zniechęconego ciemnicy Rosji! Niech żyje Rewolucja! Niech żyje towarzysz Lenin! Jeszcze bardziej zapragnęliśmy wrócić do Rosji! Ale pomyśleć tylko, uciekliśmy w końcu grudnia 1916 roku i tyle już miesięcy bląkamy się po tajdze, omijamy wszystkie osiedla, boimy się spotkać człowieka, tracimy resztki sił, a teraz kiedy w Rosji rewolucja, kiedy wszyscy zesłańcy polityczni otwarcie wracają do domu, nie sążone nam tego widzieć. Leżę z odmrożonymi nogami i pustką w sercu w jarandze przyjaciela Jakuta, Gawriły Protodiakonowa. Mój towarzysz, mój przyjaciel Włodzimierz Sperański, już nie żyje. Mnie też pozostało niewiele życia. Wiem to z całą pewnością. Na próżno mój dobry wybawca sprowadził do mnie najznakomitszego szamana z dalekiego Ojmiakonu i z szacunkiem stał w kącie czekając, aż stara bestia wygna ze mnie złe duchy. Bezskuteczne są twoje zaklęcia, Tarsalinie, najstarszy i najmądrzejszy z Jakutów, który na prośbę Gawriły przybyłeś do Złotej Doliny znad brzegów Omołonu. Nic już nie zdoła mnie uzdrowić... Rozumiem to doskonale i dlatego śpieszę zanotować, że Włodzimierz przypadkowo dokonał odkrycia, które może okazać się niezwykle cenne dla wolnej Rosji. Proszę Gawriłę, aby postarał się coś zrobić, żeby notatki dostały się w ręce nowej władzy. Ale Gawriła mnie nie rozumie i nie wiem, jaki los spotka ten zeszytek.

Uskow zamyka zeszyt i bez słowa patrzy na towarzyszy smutnym wzrokiem. Wszyscy milczą, jakby nie chcąc rozwiać wrażenia wywołanego czytaniem notatnika.

Geolog przerzuca kartki zeszytu i zagląda na koniec, gdzie widać wyraźny podpis:

Nikita Piotrowicz Iwanow, mieszkaniec miasta Piotrogradu. Kowal Zakładów Putilowskich. Członek RSDPR(b) od 1903 r. Urodzony w r. 1876. Zmarł w...

Lubimow siedzi naprzeciw Uskowa. Oparł łokieć na kolanach, zamyślony gładzi brodę.

— Tak — mówi. — Wszystko jest całkiem jasne. Kiedy

Iwanow umarł, Jakut zmałstrował, jak potrafił, trumnę, przy pomocy ognisk ogrzał zamarznąłą ziemię i wykopał grób. Nie wiedział, co zawiera zeszyt, nie ośmielił się go sobie przywłaszczyć. Jakuci są uczciwi. Włożył więc zeszyt nieboszczykowi do ręki...

Wszyscy wyczekująco patrzyli na Uskowa. O jakich to odkryciach pisze Iwanow?

— Co dalej? — niecierpliwił się Borys. — Gdzież zniknął drugi zeszyt? Przecież było ich dwóch?!

Uskow otworzył zeszyt i wolno, z trudem odcyfrowując zamazane wyrazy zaczął czytać.

Kilka wierszy było zupełnie zatartych, a dalej znowu pismo stawało się czytelne:

...Wówczas zaczęliśmy prosić tego kupca, Wedernikowa, żeby podwiózł nas do najbliższego miasta. Ale roześmiał się nam prosto w nos mówiąc, że najbliższe miasto to Kireńsk, do Kireńska jest dwa tysiące wiorst, a zresztą on jedzie do Kołomy, czyli w przeciwną stronę... Znowu zostaliśmy zdani na własny los. Co prawda nabraliśmy nowych sił, wyrosły nam skrzydła, kiedy dowiedzieliśmy się o Rewolucji i teraz nie baliśmy się już spotkania z ludźmi, ale jednak... Dwa tysiące kilometrów piechotą w zimie, przez tajgę, bez mapy, bez kompasu... Pomimo wszystko Sperański ciągle powtarzał: „Nie poddamy się! Zwycięzimy! Dojdziemy!”

Ach, co to była za droga! Spuszczaliśmy się na sznurach do wąwozów, przedostawaliśmy się ze skały na skałę, wciąż zrywając się i padając, ale pokonywaliśmy górę za górą i dobrnęliśmy gdzieś pod samo niebo, gdzie już trudno było oddychać, gdzie brakowało powietrza. Co dziesięć minut musieliśmy odpoczywać. Potem zaczęło się równie trudne schodzenie. Dni i noce płątały się w mojej świadomości...

Zapasy były na ukończeniu, jednocześnie traciliśmy siły. Widziałem, jak mój przyjaciel zatacza się, sam miałem zawroty głowy, drżały mi nogi. Włodzimierz nocami jęczał w swoim worze, rzucał się. Staraliśmy się ze wszystkich sił podtrzymać się wzajemnie na duchu. Gdy próbowałem żartować, niekiedy zmuszał się do śmiechu, ale co to był za śmiech! Jedliśmy po parę kartofli dziennie.

Surowe kartofle chronią od skorbutu, stwierdziłem to na sobie. Zdaje się, że Wołodia miał w torbie jeszcze jakieś nasiona. Przez wiele lat na zsyłce przyjaźnił się ze starym selekcjonerem, który próbował wyhodować albo już wyhodował własne gatunki warzyw i zbóż.

Szliśmy przez skaliste góry, pozbawione wszelkiej roślinności. Wkrótce zabrakło drewna. Teraz już nie mieliśmy możliwości rozgrzać się przy ognisku, odpocząć na posłaniu ze świeżych gałęzi choiny. Musieliśmy spędzać noc w swoich śpiworach u podnóża skalnych głazów. Zasypialiśmy przytuleni do siebie. A po kilku godzinach ciężkiego pójścia zaczynaliśmy w przedświtowym mroku dalszą wędrówkę. Wdrapując się na coraz to nowe przełęcze, widzieliśmy wciąż tylko nagie, posępne góry — coraz wyższe. Pomiedzy skalami wyla wichura, szalała zamieć.

I oto, kiedy zdawało się, że jesteśmy już zgubieni, w jasny mroźny dzień daleko w dole zobaczyliśmy las. Tak, czarny las pokrywający ogromną dolinę, której końca nie było widać. Las! Przecież to ogień, ciepło, życie... Przecież to możliwość odpoczynku!

Resztkami sił narąbaliśmy suszu i rozpaliliśmy olbrzymie ognisko, przy którym mógłby się ogrzać cały szwadron. Rozleniwiło nas ciepło, od razu ogarnęła senność. Przemogliśmy jednak pokusę. Kiedy ognisko wypaliło się, napiliśmy się gorącej herbaty, potem, zgarnawszy rozżarzone węgle na bok, przykryliśmy ogrzaną ziemię gałązkami i dopiero wtedy położyliśmy się w swoich śpiworach na ciepłej, pachnącej choinie.

Jak długo spaliśmy — nie wiem. Obudził mnie bliski wystrzał. Obejrzałem się, zdziwiony, i zobaczyłem, że Wołodia biegnie dźwigając głuszca. Świeże mięso! Sama myśl o bulionie budziła nowe siły.

Odpoczywaliśmy dwa dni. Bardzo nas podreperowało dobre polowanie, jedzenie, sen i na nowo zdobyta nadzieja szczęśliwego zakończenia wędrówki. Ruszyliśmy na południe równie szybko jak wtedy, z Krest-Alżanu. Jeszcze jeden, drugi dzień, jeszcze tydzień marszu...

Szliśmy naprzód trzymając się za ręce i nawet pamiętam, że zaśpiewaliśmy „Warszawiankę”: „Śmiało podnieśmy sztandar nasz w górę, choć burza groźnych żywiołów wyje...” Najgorsze już minęło. Żegnaj, groźne, ale pokonane pasmo górskie! Zaczęliśmy wracać do zdrowia. Teraz żyjemy!...

Nawet w nocy nie przerywaliśmy marszu. Grzęznąąc w śniegu, schodziliśmy coraz niżej. Oto już ukazał się zagajnik i zarośla bagna. Byle naprzód, byle naprzód. Z każdą Wiorstą modrzewie stawały się wyższe, las gęstniał. Ale to nas nie przerażało...

Stare jak świat przysłowie: „Przyjaciół poznaje się

w biedzie” było całkowicie uzasadnione, jeśli chodzi o mojego towarzysza. Sperański był człowiekiem o wielkim sercu. Pelen otuchy, nieugięty. Zawsze płonął jasnym ogniem jak Danko¹ Gorkiego i gdyby nie absurdalny wypadek... Ale o tym dalej.

Pewnego razu przechodziliśmy przez zamarznięty strumień, gdy nagle Sperański stanął i zaczął nasłuchiwać. Nic nie słyszałem, tylko dudnienie pod nogami, ale to właśnie zwróciło uwagę towarzysza. Wyciągnął siekiere i począł rąbać lód. Przerąbał. Okazało się, że pod lodem była pustka. Natychmiast wlaźł do rzeki. Ja za nim. Cóż zobaczyłem? Między lodem a dnem strumienia na przestrzeni

¹ Z opowiadania „Starucha Izergil”.

prawie trzech arszynów — pustka i zupełnie sucho. Sperański powiedział, że na Północy tak bywa. W jesieni jest dużo wody, a kiedy mróz ściśnie, powierzchnia szybko zamarza. Potem, gdy źródło zasilające rzeczkę zamarznie w górze, woda przestaje napływać i nad pustką zawisa dach z lodu.

Pod lodem było zacisznie i mniej zimno. Wleźliśmy w nasze śpiwory.

Noc minęła spokojnie. Rano Sperański wziął do ręki garść piasku z dna rzeczki i aż krzyknął. Spojrzałem — to było złoto! Spaliśmy na złocie. Sperański ucieszył się. Powiedział, że jeśli władza przeszła w ręce ludu, to przywieziemy niezły podarek: złoto przyda się władzy ludowej.

Należało naznaczyć to miejsce. Postanowiliśmy wejść na najbliższą górę i na jej szczycie ułożyć znak z kamieni. Zaczęliśmy się więc wspinać. Sperański szedł przede mną i ciągle czegoś wypatrywał. Nagle podniósł jeden odłamek skalny, po chwili drugi i wymieniając nazwy naukowe różnych minerałów wciąż wykrzykiwał: „To diamenty! Jestem skończonym osłem, jeśli to nie są diamenty! Słyszysz, niech mnie Ucho porwie, jeśli to nie diamenty!”

Muszę w tym miejscu napomknąć, że Sperański bardzo lubił żartować i używać mocnych wyrazów. Był to jednak człowiek wykształcony i nie można lekceważyć jego słów.

Wreszcie dotarliśmy na szczyt i z kamieni zbudowaliśmy wysoki słup. Jego zwężona część wskazuje kierunek do Złotego Wąwozu, w którym znajdują się diamenty.

Potem znowu ruszyliśmy na wschód. Tego właśnie dnia i zobaczyliśmy barany górskie. Wiatr wiał w naszą stronę.

Sperański wystrzelił i ranił jednego barana. Stado uciekło, ale ranny baran odłączył się. Biegł coraz wolniej, a potem zeskoczył do wąwozu i zniknął. Zeszliśmy również do wąwozu, barana jednak już nie było, przepadł jak kamień w wodzie. Obszukaliśmy wszystkie zakątki, zajrzeliśmy we wszystkie szczeliny! Uciekł. Nagle Sperański wskazał mi plamę krwi: baran znikł w jaskini. Mój towarzysz poszedł za nim. Zostałem przy wyjściu. Ale wkrótce wrócił:

— Przejście jest dosyć głęboko — powiedział. — Potrzeba mi jakiejś pochodni. Bardzo ciemno...

Ściąłem pęk gałązek, związałem i podpaliłem. Sperański wszedł do jaskini, straciłem go z oczu. I już go więcej nie zobaczyłem, bo w chwilę potem z jaskini dobiegł wystrzał, a następnie łoskot walącej się skały. Stało się coś okropnego, nieodwracalnego. Ale co? Zrobiłem sobie pochodnię i wszedłem. Jaskinia ciągnęła się na przestrzeni trzystu czy trzystu pięćdziesięciu sążni. Zagradszała ją monolitowa ściana skalna — bez żadnej szparki ani szczeliny. Dalej nie było przejścia. Mój przyjaciel został po tamtej stronie. Zrozumiałem: ściana skalna zawałiła się. Widocznie Sperański dopędził barana, wystrzelił i sam odgłos wystrzału wystarczył, żeby sklepienie runęło.

Mój towarzysz zginął albo został żywcem pogrzebany. Poczulem chłód w nogach, w głowie mi się zmąciło, straciłem przytomność.

A jednak w ten okropny dzień śmierć jeszcze nie przyszła po mnie. Żyłem. Zupełnie wyczerpany, goniąc resztkami sił, obchodziłem góry i uparcie szukałem drugiego wyjścia z jaskini. Nie znalazłem.

Nie będę opisywał swojej rozpacz. W końcu musiałem ruszyć dalej.

Wkrótce góry skończyły się. Znalazłem się na rozległej dolinie, przez którą płynęła rzeka nawet zimą nie zamarzająca do dna, i poszedłem w dół z jej biegiem. Straciłem wszelką nadzieję. Na domiar złego stanąłem na cienkiej pokrywie lodu i wpadłem z nartami po kolana w wodę. Odmroziłem sobie nogi. Ogarnęła mnie rozpacz... Siadłem na śniegu i chyba się rozplakałem.

W tej chwili zobaczyłem przez lzy dobrą, współczującą twarz starego Jakuta. Był to Gawriła Protodiakonow, w którego jarandze piszę ostatnie słowa... Gawriła wiele zrobił, żeby mnie uratować, ale straciłem zupełnie chęć do życia, nogi mam odmrożone i gangrena odbiera mi resztki nadziei.

Może kiedyś notatki moje dostaną się do rąk towarzyszy. Chcę, żeby śmierć nasza nie była jednak daremna. Przecież wydarliśmy przyrodzie jakąś ważną tajemnicę. Niechże odkrycie nasze służy zwycięskiemu ludowi wolnej Rosji Socjalistycznej.

Szukajcie kamiennego słupa na górze na północ od Złotej Doliny. Szukajcie jaskini Sperańskiego. Żegnajcie, towarzysze! Niech żyje klasa robotnicza!

30 października 1917

Nikita Iwanow

Uskow skończył. Geolodzy milczeli. Wszystkich wzruszył los dwóch bolszewików, tragicznie zmarłych z dala od ludzi w tym właśnie czasie, kiedy nad krajem wschodziło słońce Rewolucji. Nie sądzone im było ujrzeć na własne oczy zwycięstwa ludu, za którego wolność oddali życie. Ognisko dopalało się. Pokrył je szary popiół i wkrótce zagasło.

— No cóż, musimy go pochować — powiedział ktoś cicho.

— Tak! Niech śpi w spokoju...

Borys i Pietia narwali świeżej trawy i obłożyli ciało. Lubimow zamknął trumnę wiekiem, wziął łopatę i odszedł na bok, żeby wykopać grób. Towarzysze pomogli mu i szybko, pracując na zmianę, wykopali dół, przenieśli do niego trumnę, spuścili na sznurach i rzucili po garstce ziemi. Zadzwończyły łopaty. Wkrótce na miejscu porzuconego koczowiska wyrósł świeży pagórek. Z kilku leżących w pobliżu pni geolodzy sporządzili pomnik w kształcie piramidy. Lubimow ociosał jeden pień i na gładkiej powierzchni wyrzył napis :

NIKITA IWANOW robotnik Zakładów Putiłowskich w Petersburgu, wierny syn klasy robotniczej, członek Partii Bolszewików od roku 1903. Urodzony w 1876 r.

Umarł w październiku 1917 r.

Pochowany tutaj 20 lipca 1947 r.

Spij w spokoju, drogi towarzyszu!

Grupa geologiczna 14-bis Zjednoczenia „Siewstroj”.

Wszyscy obnażyli głowy. Zaśpiewali „Padliśmy w boju” i „Warszawiankę”. Lubimow przyłożył strzelbę do ramienia i skierował lufę w górę. Inni poszli za jego przykładem. Huknęła salwa pożegnalna, a echo jej rozbrzmiało wśród dzikich gór.

Wędrowcy chwilę postali, potem obrzucili mogiłę ostatnim spojrzeniem i ruszyli w dalszą drogę.

Szli w milczeniu, każdy pochłonięty własnymi myślami.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nowa trasa wyprawy

Las milczał, zalany bladym, północnym słońcem. Koło obozu płynęła rzeka, potężna w swojej utajonej mocy. Nie poruszała się wysoka trawa na jej brzegach. Pograżone w tajemniczej ciszy, ośnieżone grzbiety górskie dymiły na horyzoncie i topniały w błękitnej mgle. Uroczyista, rozmarzona przyroda otaczała ludzi, namiot, ognisko.

Uskow siedział głęboko zamyślony i patrzył gdzieś w dal — na szare, jakby zadymione góry, na obłoki wolno płynące w błękitach. Kierownik grupy nie mówił o swoich planach. Długo nie spał, przewracał się na posłaniu, wstawał, chodził tam i z powrotem koło namiotu. Coś rozważał. Nie spał także Lubimow. Powtórnie, już sam, przeczytał notatki Iwanowa, zestawił poszczególne fakty i również zamyślił się, jakby analizował każde przeczytane słowo.

Geolog i przewodnik siedli wreszcie na trawie przed namiotem i spojrzeli na siebie.

— A więc? — spytał Uskow.

— Co najmniej sto, sto dwadzieścia kilometrów stąd — odpowiedział Lubimow, zrozumiawszy od razu, co kierownik wyprawy ma na myśli.

— Tak sądzisz?

— Szedł na południe od jaskini cztery albo pięć dni. Człowiek nawet najbardziej wyczerpany przejdzie na nartach najmniej dwadzieścia czy dwadzieścia pięć kilometrów dziennie. Zwłaszcza w mróz, chociażby dlatego, żeby nie zamarznąć. Śnieg w górach jest mniej głęboki, więc Iwanow szedł prędzej. A w dolinie było więcej śniegu i trudniej iść. Poza tym nie miał już sił. Widocznie

odległość piętnastu czy dwudziestu kilometrów od gór do rzeki przeszedł w dwa a może nawet w trzy dni i gdzieś tutaj upadł.

— Radzisz więc szukać?

— Oczywiście.

— Ja też tak myślę. Przy ujściu Szalonej Rzeki znaleźliśmy metal. I to w dużej ilości. Prawdopodobnie gdzieś w górnym biegu są złoża, z których potoki wody brały w swoim czasie te ciężkie metale i wlokły tutaj, na dół. Zwróć uwagę... Na przykład — Uskow wyciągnął z kieszeni i położył na dłoni trzy kawałeczki bladożółtego złota — małe samородki. Są już wystarczająco obtoczone przez wodę, piasek, kamienie. Ale nie tutaj wydostały się z głębi ziemi. Zasadnicza żyła znajduje się gdzieś w pobliżu.

— Otóż właśnie. Musimy zmienić trasę i skręcić na północ.

— Tak też zrobimy. Ale chciałbym ustalić jeszcze jeden szczegół. Rzeka płynie z północnego zachodu na południowy wschód. Iwanow mówi przecież wyraźnie: „Szukajcie słupa kamiennego na północ stąd”. Czy oznacza to, że powinniśmy wyjść z doliny brzegiem jakiegoś dopływu, wpadającego z północy, czy iść do źródeł samej rzeki, skręcając na północny zachód? Sto kilometrów to ogromna odległość. Nie wystarczy nam nawet roku, żeby zbadać taki obszar.

— Posłuchaj... Iwanow nigdzie nie wspomina, że przewożono go przez rzekę. Znalazł się na tym brzegu, a sam też się nie przeprawiał... Widocznie lód załamał się pod nim, kiedy przechodził przez jakiś dopływ. Sądzę, że powinniśmy iść w górę rzeki, przeciąć jeden czy dwa dopływy i potem skręcić wprost na północ, w góry.

— Nie wolno nam się pomylić. To najważniejsze. Wy albo za mało, a będziemy błądzić po górach na oślep. Wówczas nie zobaczymy naszego celu jak własnych uszu.

— Spróbujmy zbadać, jaki jest ten dopływ. Nie wszystkie rzeczki i strumienie zamarzają do dna.

Wschód już rozgorzał purpurą, kiedy geolog i przewodnik zdrzemnęli się dopiero na chwilę. Ukryte jeszcze za górami słońce ozłociło najpierw ośnieżone iglice, potem blask jego spłynął niżej, zaśnił na graniach górskich i oto starczy, abyśmy przeszli kilkanaście kilometrów za dużo

cały ciemnozielony gąszcz doliny zatonał w czerwonym świetle.

Posępny las modrzewiowy przywitał słońce w milczeniu, powściągliwie. Ciszę tę może naruszyć chyba tylko sójka, ten słowik Północy. Wszystkim się interesuje, do wszystkiego się wtrąca. Siedzi na jakimś wierzchołku suchego drzewa i bacznie obserwuje. Ruchliwa sójka nie lubi ciszy. Ni stąd, ni zowąd zatrzepoce skrzydłami i nagle wrzaśnie przenikliwie, jakby się czegoś przestraszyła, potem zaskrzeczy histerycznie, znowu ucichnie wytyężając słuch

i przeleci na inne miejsce, aby swoimi wykrzykami znów spłoszyć na chwilę martwą ciszę lasu. A tam — patrzcie proszę — w głuszy leśnej zatokuje głuszec, zabełkocze coś po swojemu, ponury, niezadowolony i zaraz da nura w krzaki, schowa głowę pod czarne skrzydło i będzie odspiać ten niespokojny czas świtania. Sucha gałązka cichutko zatrzeszczy pod łapą niedźwiedzia, bury miś wyjdzie zza kupy chrustu, powęszy dokoła i przewalając się z boku na bok pójdzie szukać na polanach słodkich jagód zeszłorocznego agrestu i borówek.

Obóz obudził się jak zwykle o wschodzie. Łapaj-Mucha brzęcząc wiadrem i przecierając oczy poszedł do rzeczki. Wkrótce nad ogniskiem zaczął unosić się lekki dymek, zapachniała smażona ryba, głosy zabrzmiały weselej, zaszczekały psy i całe obozowisko ożyło. Żartując z niewyspanego kucharza wszyscy siedli do stołu.

Po śniadaniu Uskow poprosił o chwilę uwagi.

— Zmieniamy kierunek — oznajmił. — W ciągu czterdziestu, a najwyżej pięćdziesięciu dni, które dzielą nas jeszcze od nadejścia mrozów, musimy jednak odnaleźć jaskinię odkrytą przez Sperańskiego i Iwanowa. Jutro ruszamy. Dziś obaj z Aleksandrem Aleksiejewiczem zakończymy nasze prace tutaj, Pietia i Borys zajmą się polowaniem i łowieniem ryb: trzeba zrobić zapas żywności. Łuka Łukicz i Mikołaj Nikanorowicz przygotowują konie i sprzęt. Czekają nas długa i z pewnością trudna droga przez góry. Konie muszą być w dobrej formie.

W godzinę potem obóz opustoszał, wszyscy rozeszli się do swoich zajęć.

Zaledwie w oddali ucichło szczekanie Tuja i Kawy, które pobiegły za przyjaciółmi na polowanie, gdy coś zaszeleściło w trawie koło namiotu i w pobliżu ogniska ukazał się nastroszony pyszczek zwierzątka. Szybko rozejrzało się na wszystkie strony swoimi dużymi okrągłymi oczami, zabawnie poruszyło wąsikami, mrugnęło parę

razy i zręcznie wskoczyło na worek z owsem. Pasiasta wiewiórka azjatycka, pomagając sobie łapkami, szybko naładowała swoje worki żuchwowe owsem. Ze zgrubiałym, jakby spuchniętym pyszczkiem zeskoczyła i zniknęła w trawie. Sójka widziała złodziejkę i widocznie nie darzyła jej sympatią. Przyjrzała się uważnie i jak kamień spadła na dół, splanowała nad trawą i głośno wrzasnęła nad samą głową zwierzątka. Wiewiórka przestraszyła się, stanęła słupka, błyskawicznie wypłuła cały zapas owsa, pisnęła żałośnie i skryła się w gęstej trawie.

Sójka chyba na to tylko czekała. Z miną zwycięzcy siadła dumnie koło kupki porzuconego owsa, długo skrzeczała, widocznie potępiając złodzieja w swoim ptasim języku, a potem dziobnęła parę ziarenek i płochliwie odskoczyła. Po chwili nabrała odwagi, znów podsunęła się boczkciem do owsa i już nie odrywając się zjadła wszystko, do ostatniego ziarnka.

...Pada drobny, gęsty deszczyk jesienny, jakby przesiany przez sito. Ciemne, poszarpane obłoki płyną nisko, goniąc się wzajemnie, a przemknąwszy nad lasem kłębią się chmurami na grzbietach gór, obficie zraszając wodą czarne skaliste urwiska. Wydaje się, że ta niepogoda nigdy się nie skończy. Tylko patrzeć, jak z zielonych modrzewi opadnie poźółkłe igliwie. Ledwie zaczyna żółknąć, ale już zapowiada jesień, wszyscy rozumieją, że to początek... wkrótce poźółknie cała tajga, na ziemię spadną roje igiełek, ogołocą się drzewa, zrzednie i pociemnieje las. Płożący cedr, który pod wpływem pierwszych mrozów staje się bardzo giętki, rozłoży się na ziemi, a potem ani się człowiek obejrzy, jak wtargnie nieoczekiwana, zuchwała zima.

Po smutnych lasach na deszczu tuła się zmoknięty niedźwiedź. Nudzi mu się w takie dni. Leniwym krokiem bezszelestnie chodzi swoimi ścieżkami, obwąchując trawę i krzaki. Czasami zrywa przejrzałe, pachnące winem jagody, zatrzymuje się i sennie mlaska przechyliwszy na bok głowę. Jest syty, więc rozleniwiony. Pod burą, zbitą sierścią nagromadził przez lato sporą warstwę tłuszczu i nie interesuje go teraz polowanie. Jesienny deszcz i zimny wiatr zapędzają go w zaciszne ustronia. Czas pomyśleć o zimowym legowisku.

Niedźwiedź zatrzymuje się koło wywrotu ogromnego zwalonego modrzewia, na którego rozwidlonych korzeniach zawisła ziemia i darń. Uważnie obwąchuje nie namokłą

jeszcze ziemię, pachnącą latem. Tego właśnie szuka. Zręcznie rozgrzebuje piaszczystą glinę pod korzeniami, wywraca kamienie i postękując zaczyna je odrzucać. Przednimi łapami energicznie, coraz głębiej, wygrzebuje ziemię pod wywrotem. Sucho tu i ciepło... ściemnia się. Deszcz nie ustaje. Niedźwiedź włazi w wilgotne leże, kręci się jeszcze trochę i układa. Żółte oczy leśnego samotnika jeszcze raz spoglądają w mrok i zamykają się, tylko wilgotny nos o czujnych drżących nozdrzach węszy leśne zapachy. Ale w przejmującym powietrzu nie czuć nic groźnego, wszystko jest znane i zwykłe. Pachnie mokrą choiną, zgnilizną, a oto wiatr przyniósł ostry, przypominający terpentynę zapach rozmokłego bagna, grzybów, gnijącego pnia. Można spać spokojnie. Ustronna dolina zasnęła już przy jednostajnym szumie deszczu.

A jednak nozdrza śpiocha drgnęły, poruszyły się. Wiatr nagle przywiał dziwne, obce zapachy. Niedźwiedź od razu otworzył oczy i czujnie podniósł łeb. Następnym powiew wiatru wzbudził już niepokój.

...Prawie cały dzień szli wzdłuż Szalonej Rzeki i dopiero nad wieczorem zobaczyli pierwszy duży dopływ.

— Tutaj? — niepewnie zapytał Uskow i spojrzał na Lubimowa.

Przewodnik zwlekał z odpowiedzią. Dopływ niewątpliwie był głęboki. Nawet w przezroczystej wodzie nie można było dojrzeć dna. Brzegi strome, urwiste. Czy to nie tutaj przed trzydziestu laty Iwanow wpadł do wody? I co robić dalej — iść na północny zachód? Czy od razu skrócić i brzegiem tego dopływu iść na północ?

— Nie wszystkie rzeki zamarzają do dna — powiedział Lubimow po namyśle. — Najczęściej płytkie. A tutaj...

— Tu woda jest głęboka, a poza tym brzegi są strome. Rzeka długo nie zamarza. Ale jak już zamarznie, to na dobre. Czy o tym myślisz? — przerwał Uskow.

— Właśnie. Moim zdaniem tutaj nie może powstać pokrywa lodowa. O to mi chodzi.

— Wszystkie rzeki w rejonie wiecznej marzłoci mogą w zimie zamarznąć do dna. Tak przynajmniej uczą podręczniki — wtrącił się do rozmowy Borys i wyczekująco spojrzał na Lubimowa.

— Wygląda to nieco inaczej... — wyjaśnił przewodnik.

— Jeśli rzeka jest mała i prąd wolny, zamarzanie następuje szybko. Lód narasta z wierzchu i zwierza się z wiecznie zmarzłym podgruntem. Rzeka zamarza całkowicie. A często gdzieś z góry, od źródła, nadal dopływa woda. Szuka sobie

ujścia, płynie w dół, wypływa na wierzch, pokrywa lód, znowu zamarza i znowu płynie po wierzchu. W rezultacie powstaje wielowarstwowy pokład lodu, złożony z cienkich płatów pomiędzy którymi płynie woda. To bardzo niebezpieczne dla podróżnych. Ale głęboka rzeka o stromych brzegach nie zamarza całkowicie, a w każdym razie nie w pierwszej połowie zimy.. Jeśli takie zjawisko zachodzi, to tylko w marcu, w końcu zimy, kiedy mróz obejmuje również głębokie warstwy wody. A więc... Iwanow szedł jesienią. Nie, to jest inna rzeka... Mogę powiedzieć z całą pewnością. Inna.

— Wobec tego naprzód! — rozkazał geolog i oddział ruszył dalej.

Następnego dnia, przed wieczorem znowu napotkali burzliwy i kapryśny strumień. Spływał na łeb na szyję skądś z góry, jak by śpiesząc się, żeby wpaść w powolny nurt wielkiej rzeki i znaleźć tam długo oczekiwany spokój. Strumień rozdzielał się na mnóstwo odnóg, opływał wyspy porośnięte wierzbiną i topolami, zakręcał, wracał, tworzył na połączonych brzegach łachy, jeziora i zatoki, szumiał na skalnych porohach.

Stanęli. Przewodnik dokładnie obszedł całe ujście rzeki. Tak! Tutaj zimą na pewno będzie wszystko na raz: i lód, i woda, i tamy, i jeziora... Zimą niełatwo przejść przez tę cudaczną, wesołą dolinę. Pełno tu wtedy zdradzieckich kałuż. Niewątpliwie koryto zamarza już w pierwszym miesiącu zimy, a na wierzch napływa woda i tworzy ogromną cienką pokrywę lodową.

— Zapobiegliwa rzeka — żartował geolog. — Przed końcem zimy potrafi zamrozić niejedną tamę na swojej drodze. A potem z pewnością wyleje. Właśnie w podobnych dolinach widziałem pokłady lodu tak grube, że nie mogły stajać nawet w lipcu. Lato, upał, a w dolinie leży gruba warstwa lodu. I jednak nie taje...

— Skręcimy tu na północ — Lubimow wyciągnął rękę w stronę gór, których bliskie kontury ostro rysowały się na tle wieczornego nieba.

— Ta?

— Tak. Na tej właśnie rzece lód mógł się załamać, gdy Iwanow przechodził.

— Istotnie. To bardzo prawdopodobne. Pójdziemy na północ. Ale teraz — postój i nocleg.

Grupa zatrzymała się na odpoczynek, gdy było już całkiem ciemno. Na deszczu rozstawiono namiot, puszczono konie na paszę, zapłonęło ognisko.

Niedźwiedź, gospodarz doliny Swawolnego Strumienia,, przestraszył się właśnie dymu tego ogniska.

Rankiem Łuka Łukicz wyciągnął z tobołów sztywne jak blacha brezentowe płaszcze i gumowe buty na grubych podszwach.

— No, chłopaki, zrzucajcie letnią odzież. Rozkazem naszego oddziału z dnia dzisiejszego zostaje wprowadzona dla szeregowych i dowództwa odzież zimowa. A letnie kurtki schowamy, przydadzą się na wiosnę.

Wszyscy wyglądali niezdarnie w płaszczech i gumowych butach. Uskow robił wrażenie atlety. Nowa odzież jednak spodobała się Pieti. Przede wszystkim dlatego, że była sucha. A że dość ciężka, to nic, można się przyzwyczaić.

Rano geologowie wyruszyli w drogę. Teren się podnosił. Chmury pędziły tuż nad głowami.

Wkrótce rzeka ostro zakręciła na zachód, a potem na południowy zachód. Grupa zatrzymała się. Lubimow podjechał do Uskowa:

— Teraz powinniśmy wyjść z doliny i skrócić na północ. Stok nie jest tu specjalnie urwisty, można będzie się wspinać.

W godzinę potem stanęli na wysokim wzgórzu. Wyrosły przed nimi, zupełnie już blisko, skaliste góry. Poniżej została dolina, lasy, połyskujące rozlewiska. Nikt nie miał ochoty opuszczać tych okolic, z którymi wszyscy jakoś się zżyli.

Czarne góry budziły niepojęty lęk.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

z którego wynika, że drzewo może czasami służyć za źródło ważnej informacji

Dnie mijały, grupa 14-bis posuwała się naprzód.

Płaskowzgórze... Wysoko wzniesione, ogromne, zajmujące kilkadziesiąt kilometrów kwadratowych. Stosunkowo równa płyta zavalona kamieniami i odłamkami zwietrzałych skał. Żadnej roślinności. Ani drzew, ani trawy. Gdzie rzucić okiem, wszędzie dokoła wysokie ciemne góry. Skalne łańcuchy piętrzą się z trzech stron. Geolodzy idą dokładnie w kierunku północnym, na spotkanie ponurych masywów skalnych.

Oroczo rozgląda się i zatroskany kręci głową.

— Robi to wrażenie — mówi — jakby pierwotny chaos zachował się tutaj w stanie nie naruszonym. Spójrzcie — skały bazaltowe i granitowe prawie nietknięte wietrzeniem. Ani śladu gleby. Co tu zresztą mówić o glebie, jeśli nie ma nawet krzty ziemi. Tak zapewne wyglądała nasza piękna planeta w pierwszych dniach istnienia świata.

— Możliwe, możliwe — powiedział z roztargnieniem Uskow i przez lornetę zaczął wpatrywać się w jakiś punkt, który go zainteresował. — Możliwe — powtórzył znowu, podał lornetę agronomowi i wskazał coś ręką.

Oroczo zobaczył kotlinę, niby małe wyschnięte jezioro pomiędzy skalnymi usypiskami. Dojrzał tam ciemną plamę, ze zdziwieniem opuścił lornetę i nie wierząc własnym oczom powiedział:

— Widzę tam coś zielonego... Tak, chyba — krzaki. Na tych kamieniach nagle taka roślinność?

Podjechali bliżej. Na płaskiej równinie, której poziom nieco się tylko obniżył w tym miejscu, rosła mała północna brzoźka, tuż obok bagno o mięsistych, jakby skórzanym listkach i — o dziwo — czarne porzeczeki! Prawdziwe czarne porzeczeki!

— Dojrzałe! — krzyknął Pietia i rzucił się na krzak. — A jakie smaczne!...

Obiema rękami zaczął zrywać owoce.

Borys poszedł za jego przykładem. Ale co to? Zobaczył, że ręce ma czarne i lepkie.

— A to pięknie! Smoła. Ciekawe zjawisko, patrzcie smoliste porzeczeki! Naprawdę! Jak modrzew albo cedr. Patrzcie! Co to? Skrzyżowanie porzeczeki ze świerkiem?

Oroczo zerwał liść, roztarł, powąchał. Ostry, przyjemny zapach, tak bardzo przypominający ojczyste sady podmoskiewskie. Nie ulegało wątpliwości — były to prawdziwe czarne porzeczeki.

— Ale skąd smoła? — nie mógł nadziwić się chłopak.

— Smoła jest w tym wypadku pewnego rodzaju obrońcą. Porzeczeki same ją sobie wyrobiły w ciągu wielu pokoleń. Zimą grunt zamarza tu szybko i całkowicie, korzenie więc nie mogą dostarczyć łądy ani grama wody. Ale niektóre wieloletnie rośliny na Syberii znalazły sposób, żeby się zabezpieczyć: gromadzą w komórkach zapas wody w postaci smoły. Smoła jest substancją koloidalną, z trudem oddaje związaną wodę, zachowując ją do pierwszych dni lata. Gdy następuje ocieplenie, roślina szybko rozwija liście i zaczyna żyć, chociaż korzenie jeszcze pewien czas drzemą w zamrzłym gruncie. Wszystkie wieloletnie rośliny są na Syberii smoliste: cedry, topole, modrzewie, bagno...

Dnie są krótkie. Szereg ciężkich dni.

Konie długim łańcuszkiem idą jeden za drugim. Pasma górskie szczelniej otaczają płaskowzgórza, są coraz bliższe. Wydaje się, że ciemne ściany skał rozstępują się przed ludźmi, wpuszczając ich głębiej do swojego tajemnego wnętrza, i natychmiast zwierają się znowu.

Wieczorem na wysokim ciemnym niebie zaśniły wielkie czyste gwiazdy. Powiał zimny wiatr. Podróżnym od razu zmarzły uszy.

Przewodnik z niepokojem spojrzął na towarzyszy i westchnął:

— Pierwszy mróz! Pierwszy zwiad zimy.

Przed nocą rozbito namiot. Brzegi umocniono kamieniami. Wszyscy zebrali się w namiocie. Ciasno tu, ale przynajmniej ciepło.

Rano wędrowcy krzyknęli zdumieni: płaskowzgórza, dalsze i bliższe pasma gór, juki a nawet namiot — wszystko było białe. Szron obficie pokrył ziemię.

— Musimy się śpieszyć! — pośepnie powiedział Uskow widząc ten bajeczny krajobraz. Zamyślił się: geologowi potrzebne są otwarte miejsca, nagie zwałiska, świeże złomy skalne. A teraz? Chcąc dostać się do gruntu, trzeba odgarniać śnieg. — Popracujemy tu najwyżej trzy dni — oznajmił — i wracamy. Widocznie w tym sezonie nic już nie zrobimy. Koniec września. Do bazy głównej mamy co najmniej dwadzieścia dni drogi. Musimy więc te trzy dni uznać za decydujące... Dokąd dziś pójdiesz? — zwrócił się

do Lubimowa.

— Zbadam z Borysem jeszcze dwa wierzchołki w kierunku wschodnim. Jest tam ogromny płaskowyż na wysokości ośmiuset metrów, który następnie się obniża. Obejrzymy go.

...Geolodzy wyruszyli jeszcze przed świtem. Już w południe stanęli na brzegu stromego, niemal pionowego urwiska. O jakieś sto metrów poniżej płynęła bystra rzeczka, przy brzegach skuta już pierwszym lodem.

Borys zmarszczył czoło:

— Proszę mi dać zeszytik Iwanowa. Jakoś mi się wydaje...

Uskow odwrócił się gwałtownie i chwilę patrzył na chłopca szeroko otwartymi oczami.

— Że to jest rzeka Iwanowa? Masz rację! Ja też myślę, że jesteśmy na dobrej drodze.

Zeszli na dół. Idąc brzegiem znaleźli się koło małego lasku. Uskow zatrzymał się. Pośród cienkich, młodych modrzewi zobaczył pień. Czemu zdziwiło to geologa? Czyż w tajdzie mało jest takich pni? Ten był jednak niezwykły. Drzewo już na pół zgniło. Ale jeszcze można było dostrzec, że nie przewróciło się ze starości czy też od wiatru, że zostało zrąbane... Tak, zrąbane siekierą, i to w taki sposób, jak robią to Rosjanie: od strony, na którą miało być zwalone, widać nacięcie, a z przeciwnej — szeroką ranę od siekiery.

— Ciekawe! Jednak to naprawdę bardzo ciekawe! — powiedział. — Ano, zobaczymy, kiedyż to byli tutaj drwale?

Szybko wyciągnął zza pasa siekierę. Zręcznie, dwoma uderzeniami zrąbał wierzchołek pnia i uważnie obejrzał świeży przekrój.

— Trzydzieści pierścieni. Rozumiesz, trzydzieści.

Uśmiechnął się, oczy mu zabłyśły.

— To oni zrobili, na pewno nikt inny! Masz rację. Przez tę właśnie dolinę biegła droga Iwanowa i Sperańskiego. Wszystko jest jasne! Jeszcze dziś przeniesiemy tu obóz. Prace nasze przeciągną się.

Tej samej nocy, zaledwie obóz zasnął, nad górami poływały sine chmury. Obniżały się coraz bardziej. Nad ziemią przemknął zimny wiatr. Wolno, niczym spadochron, zaczął spływać samotny płatek śniegu, krążył chwilę, upadł i stajał. Za nim spływały następne. Śnieg zawirował szybciej, płateczków wciąż przybywało. Teraz już, pędzone wiatrem, posypały się obfitym rojem z niskich szarych

chmur. Powiało prawdziwą zimą, a po godzinie na skały, góry i doliny zaczął walić prawdziwy, gęsty, wspaniały śnieg.

Głęboki śnieg — to nowe trudności, nowe przeszkody.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Złoty Wąwóz. — Jaskinia Sperańskiego

Wczesnym rankiem geolodzy, wciąż trzymając się blisko strumienia, skręcili na południowy wschód.

Uskow szedł skrajem. Od czasu do czasu wchodził do wody, żeby szybko zaczerpnąć piasku z dna, a Borys od razu płukał próbkę.

— Zaledwie ślady! Kilka odrobinek...

— Jazda dalej! — mówił Uskow rozczarowany.

Po pewnym czasie znowu zatrzymanie.

— Również ślady. Jeden samorodek. Ziarenko...

— Pokaż. Hm... Mało obtoczony, widocznie od niedawna tu leży. Jazda dalej!

Lubimow konno wyprzedził całą grupę. Kotlina skręcała to w prawo, to w lewo, a poziom jej wciąż się podnosił aż do miejsca rozszerzenia. Robiło wrażenie, że góry cofnęły się i stały teraz z boku, chmurne i czujne. Strumień już nie pędził. Płynął wolno, jak by się woda zatrzymała.

I znowu próby, wciąż próby... Siedząc w kucki Borys ostrożnie obraca skrzynkę geologiczną na prawo, na lewo, w dół i znowu od początku. Drewniane korytko napęlnia się minerałami, chłopiec czerpie nim wodę, potrząsa — to, co cięższe, opada na dno, wszystko lżejsze woda zmywa. Stopniowo wybiera ze skrzynki piasek, drobne odłamki, na dnie zostają tylko odrobinki ciężkiego metalu.

— Patrzcie! — nagle wykrzyknął Borys.

Oddał skrzynkę geologowi i zmieszany zamilkł nie wierząc własnym oczom. Całe dno skrzynki pokrywała warstwa

matowożółtych ziarenek. Złoto lśniło mętnym, zielonkawym odbłaskiem.

Geolog wyjął chustkę i wytarł spocone czoło. Aż mu się zrobiło gorąco...

— A więc tu mamy radzieckie Klondike! — zawołał zwycięsko. — Spójrz tylko, przecież na dnie strumienia piasek miejscami zawiera chyba jedną dziesiątą metalu. Pamiętasz: „spaliśmy na złocie!” Teraz wszystko się wyjaśniło. To właśnie ten strumień, pod którego lodem spędzili niegdyś noc Sperański i Iwanow.

Oczy geologa załśniły.

— Zatrzymamy się tu na dłużej — oznajmił. — Musimy bardzo uważnie zbadać to usypisko i całą okolicę. Możliwe, że uda się nam znaleźć owe skały diamentonośne, które widział Sperański. W każdym razie Złoty Wąwóz, o którym wspomina Iwanow, jest w pobliżu.

Podczas gdy rozstawiano namiot, przygotowywano drzewo i rozjuczano konie, Borys zdążył ukończyć oznaczanie próbek. Siedział na dużym kamieniu i z roztargnieniem obserwował grę światła na wierzchołkach sopek. Jeden pagórek różnił się jakoś od pozostałych. Borys wziął lornetę. Na samym wierzchołku sopki rozrzucone były wielkie głazy a wśród nich sterczał kamienny słup.

Przypomniał sobie: „Wreszcie dotarliśmy na szczyt i z kamieni zbudowaliśmy wysoki słup. Jego zwężona część wskazuje kierunek do Złotego Wąwozu...”

— Tam, na sopce, wprost na południe! — zawołał. — Widać będzie przez lornetę. To przecież ten słup!

Wszystkie lornetki skierowały się na sopkę. Nie było wątpliwości. Przyroda chyba nie tworzy takich budowli.

— A więc gdzieś w pobliżu jest Złoty Wąwóz. Kto pojedzie? — zapytał Uskow.

— Ja! Ja! — wykrzyknęli Pietia i Borys jednocześnie.

— Doskonale! Ale chyba i wy pójdziecie razem, Aleksandrze Aleksiejewiczu? — zaproponował Uskow. — To będzie pewnie pięć czy sześć kilometrów. Zabierzcie Tuja.

U podnóża góry poszukiwacze dostrzegli dziwną plamę. Na dużej dziesięcio- czy piętnastohektarowej płaszczyźnie nie było śniegu. Zielone borówki i szary mech jakby nigdy nic pokrywały ziemię. Rosły też tutaj niskie, ale dosyć gęste cedry płożące. Pełno na nich było dojrzałych szyszek z orzechami.

— Dziwne! — mruknął Oroczo. — Bardzo dziwne. Rozumiałbym, gdyby to był południowy stok. Ale północny?!

Czemuż tutaj stopniał śnieg? I nie ma zimy...

W pobliżu spływał ze stoku mały strumyczek. Gdy geolodzy wspięli się wyżej — znikł. W tym miejscu zaczynała się granica śniegu.

— Gdzież jest woda? — ze zdumieniem spytał Pietia. — Dopiero co była tutaj i nagle jej nie ma?!

Tak, strumień zniknął. Agronom zszedł trochę niżej. Nagle usłyszał słaby szmer pod skałą. Kiedy zerwał płat mchu i rozgrzebał kamienie, odkrył, że strumień wydostaje się z głębi góry. Sprawdził — woda była ciepła. Wszystko się wyjaśniło.

— Ciepłe źródło! O to chodzi! A więc tutaj powtarza się to samo zjawisko, jakie obserwowaliśmy w dolinie Szalonej Rzeki. Raz jeszcze potwierdza się, że Uskow ma rację: znajdujemy się w centrum jakiegoś ogniska wulkanicznego. I ognisko to dotąd nie ostygło. Pierwszym dowodem tego są ciepłe strumienie. Gdzieś pod olbrzymią masą granitu i wiecznie zamrożonej ziemi żyje i czuwa Wieczny Ogień. Trudno powiedzieć, czy jest to podziemne morze niewystygłej lawy, czy nieustanne wydzielanie się ciepła na skutek rozpadu jakiegoś ciała promieniotwórczego. Ale wystarczy, aby taki marny strumyczek przebił się na zewnątrz, a zima od razu się cofa. Patrzcie, ciepła woda zmyła śnieg i ożywiła rośliny. Co za cuda może zdziałać energia podziemnego ciepła! Nie wątpię, że jeszcze tu wrócimy. Wrócimy do Złotego Wąwozu i na miejsce naszego pierwszego postoju nad Szaloną Rzeką. Wrócimy z przyrządami, z ludźmi, założymy kopalnie i poważnie zajmiemy się tą tajemnicą północnej przyrody.

Jakieś półtorej godziny później geolodzy osiągnęli wreszcie cel podróży: zobaczyli słup.

Tak, widać było wyraźnie, że zbudowali go ludzie. Kamienie zostały dobrane nieduże, równe, ułożone prawidłowo. Słup miał około trzech metrów wysokości i zwężał się ku górze.

— Teraz już wszystko rozumiem — odezwał się Oroczo. — To właśnie słup Sperańskiego i Iwanowa! Stąd poszli dalej, o tam...

Wskazał na południowy zachód. Wszyscy mimo woli spojrzeli w tę stronę. Ostre iglice skał niby stare gotyckie świątynie tkwiły w obłokach, które wolno krążyły i tłoczyły się wśród tego chaotycznego skupiska.

— Tam gdzieś zginął Sperański — szepnął Pietia.

— Wasilij Michajłowicz mówi, że na pewno będziemy badać jaskinię — wtrącił Borys. — Pamiętacie dziennik

Iwanowa? Wąwóz rudonośny...

— Czy to nie tam? — spytał Pietia wskazując jakiś punkt w dole, trochę na uboczu.

Istotnie, widniał tam ciemny, dosyć głęboki wąwóz.

— A gdybyśmy tak wrócili nie tą samą drogą, ale przez wąwóz?

— Możemy — odpowiedział Oroczo. — Chyba tu nie zabłądzimy.

Wąwóz miał prawie pionowe zbocza, jakby górę przerażano olbrzymią siekierą. Ale poszukiwacze znaleźli drogę. Wszyscy trzej ostrożnie zeszli po skałach, lękliwie zerkając na posępne góry.

Borys coraz częściej chował do plecaka próbki minerałów.

— To są rudy! Spójrz!... A to znowu złoto, po prostu w skale. Oho! Są i większe ziarnka. Bierz. Pietia...

Wrócili o zapadającym już zmierzchu.

— Zdobyliśmy coś! — zameldował Oroczo. — Cały stos próbek. A najważniejsza wiadomość, że słup na szczycie sopki postawili ludzie. Z całą pewnością. Poza tym przeszliśmy przez Złoty Wąwóz. Nic nadzwyczajnego, jeśli nie mówić o nieprzebranych skarbach. Ale do tego zaczynamy się już chyba przyzwyczajać.

Następnego dnia Lubimow i Pietia wyruszyli na poszukiwanie jaskini. Tuj pobiegł za nimi.

— Nie denerwujcie się, jeśli nie wrócimy przed nocą — uprzedził Lubimow. — Będzie to znaczyło, że nocujemy w jaskini.

Dosyć szybko weszli na płaskowyż, który Pietia uprzednio dostrzegł z góry.

Wąwóz prowadził coraz głębiej, gdzieś w samo serce gór. Strasznie było w tej głębokiej, niezwykle cichej szczelinie skalnej.

Lubimow szedł powoli. Milczał i w skupieniu, bacznie przyglądał się skałom. Pietia, przeciwnie, pogwizdywał, bawił się z Tujem i dużo mówił. W pewnej chwili przez nieostrożność zaczepił lufą strzelby krzak przylepiony do stromego urwiska i natychmiast groźnie zagruchotały osypujące się kamienie.

— Prędej!

Lubimow szarpnął Pietię do siebie i obaj odskoczyli na bok. O dno wąwozu uderzył pierwszy duży kamień, potem drugi i trzeci, wreszcie posypał się cały gęsty grad. Po paru minutach w poprzek wąwozu wyrósł pagórek żwiru

i kamieni.

— Widzisz, co może się stać, jeśli się nie uważa? Zbocza wąwozu są strome i bardzo niebezpieczne. Na każdym kroku czyha tu nieszczęście. Wystarczy wystrzelić — zaraz posypią się i zahuczą lawiny kamieni. Ostrożnie, chłopcze, ostrożnie!

Usiedli na krótki odpoczynek, Lubimow wyjął kapciuch i zapalił.

Nagle zobaczyli jaskinię!

Przewodnik szybko wstał. Tak, to jaskinia. Wejście do niej nie było na dnie wąwozu, ale mniej więcej na wysokości dwóch metrów nad ziemią.

— To ta! — szepnął Pietia. — Drugiej takiej na pewno nie ma! Tak! To jego jaskinia!

Szybko wdrapali się przez otwór wejściowy. Zapalili latarki. Po chwili, gdy oczy przyzwyczyły się, żółty krąg światła zaczął się rozszerzać i ujrzeli szare ściany i wysoki strop.

Naraz Lubimow zatrzymał się i podniósł coś z ziemi:

— Spójrz. Opalona gałązka... Może gałązkę tę miał w rękę Iwanow szukający tutaj Sperańskiego? A oto i ślady stóp...

Wkrótce dno jaskini zaczęło się obniżać. Potem jaskinia zwężała się i — stop! Da lej *nie* ma przejścia. Na sterczy ogromny masywny *zwał granitu*.

— Rozumiem, wszystko teraz *rozumiem!* Za ścianą grób Sperańskiego. *I niczego więcej nie dowiem* o nim. Okrutny koniec!...

Petia umilkł, *zjął* czapkę i chwilę *stal* przed *milczącą* ścianą jak przed mogiłą.

Kiedy wychodzili, wiał gwałtowny, *mroźny wiatr*. *Śnieg* wściekle krążył i zasypywał wąwóz tak, że nawet przeciwnielego zbocza nie było widać. *Zamieć... Szalona* październikowa *zamieć...* Zerwała się *nagle i teraz przybierała* na sile.

Nie mogli nawet marzyć o powrocie do *obożu*.

— Zanocujemy tutaj, prześpimy się. A *potem zobaczymy*. Jak to się mówi „sen to *dobry doradca*”! *Coś wymyślimy*.

Jednakże rano też nie mogli nic *wymyślić*. *Zamieć nie* ustawała. Ani mowy o wyjściu z jaskini. *Na szczęście* było w niej dosyć ciepło. Nie czuło się *przeciągu*, co również świadczyło o tym, że nie ma drugiego wylotu.

Dzień włókł się powoli, *dlugo*. *Lubimow palił prawie* bez przerwy.

Ale wróćmy do obozu.

Ogier Dumny pierwszy *zauważył, że nadciąga burza* śnieżna. Podniósł głowę, spojrzął na góry i *niespokojnie* zarżał.

Płótno namiotu nagle zatrzepotało. Wtedy kierownik gospodarczy także zrozumiał, że *nadchodzi burza*.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

w którym rozpoczynają się najważniejsze przygody tej powieści. — Tabun zniknął. — Wilki. Początek katastrofy

Zaczęło się ściemniać. Zamięć nie słabła.

— Prześpimy się, Pietia? — zaproponował.

Po dziesięciu minutach zaczął się istny koniec świata. Burza szalała jeden dzień. Drugi. I jeszcze następną noc.

— Gdzie oni mogą być? — niepokoił się Borys. Co się z nimi dzieje?

— Całą nadzieję pokładam w Lubimowie — cicho odpowiedział Uskow.

W niepokoju o Lubimowa i Pietię minął jeszcze jeden dzień. Wszyscy wcześniej położyli się spać. Wiatr wył, Płótna namiotu trzepotały.

Łuka Łukicz co pewien czas wyłaził ze śpiwora, zapinał płaszcz i trzymając się sznurów mocujących namiot wychodził, żeby spojrzeć na konie. Leżały spokojnie, na pół zasypane śniegiem.

Czy jednak spokojnie?

Głęboką nocą z dala od obozu rozległy się nieznane odgłosy.

Gdyby któryś z członków wyprawy mógł widzieć, jak Dumny nagle nastawił uszu, jak niespokojnie zachrapał,

z przerażeniem oglądając się dokoła, na pewno nie doszłoby do katastrofy, która stała się przyczyną wielu dalszych nieszczęśliwych przygód... Ale ludzie spali, zmęczeni długą niepogodą.

Ogier jednak czuwał. Podniósł ośnieżoną głowę i ostrzegawczo zarżał — cicho, ale niespokojnie. Cały tabun obudził się, wszystkie konie zaczęły strzyc uszami. Poruszyły się głowy — ciemne, ledwie widoczne w śnieżnej zawierusze. Zadrżały czujne nozdrza.

Co się stało?

Wciąż zawodził wściekły wicher, szalała burza, było ciemno i strasznie.

Ogier nie przestawał się wsłuchiwać.

Cyt... Oto znowu poprzez wycie wichru dobiegł go przeciągły, wstrząsający odgłos, zrodził się i natychmiast utonął w szumie zawiei. Po pewnym czasie rozległ się taki sam, ale dwukrotnie silniejszy. Były w nim: gniew, smutek, okrucieństwo i jeszcze coś, co mroziło krew w żyłach, co sprawiało, że zwierzęta drżały ze strachu, i uciekały nie oglądając się na nic, byle dalej, gdzie oczy poniosą, dalej od tego złowrogiego wycia.

To wilki krążyły koło obozu, coraz bardziej zacieśniając pierścień...

Ogier wstał chrapiąc i cały tabun poszedł za jego przykładem. Wycie głodnego stada wilków znowu przecięło wściekły huk zawiei. Wówczas Dumny stracił już nadzieję pomocy ze strony ludzi, nie zdołał opanować przerażenia i uciekł od strasznych odgłosów z pogrążonego we śnie, na pół zasypanego śniegiem obozu. Za nim, wciąż przyspieszając kroku, pociągnął cały tabun. Huk wiatru i wycie wilków poganiały oszalałe zwierzęta. Teraz już ogier pędził na końcu. Grzywa i ogon rozwiały mu się na wicherze, biegł za końmi, popędzając maruderów niecierpliwym, gniewnym rzeniem, a czasami nawet puszczać w ruch swoje ostre zęby.

Ciemna noc wkrótce pochłoneła tabun.

Lubimow nie zamykał oczu. Wsłuchiwał się w odgłosy i burzy, w posapywanie śpiącego Pieti.

Oto już dwie noce siedzą uwięzieni w jaskini. Z żywnością słabo. Zostało trochę konserw i pół kilograma sucharów. Chłopiec nie domyśla się, że przewodnik nie jadł cały dzień i wyrzekł się kolacji. Któż to może wiedzieć, ile jeszcze mają przed sobą takich dni i nocy?

Wreszcie burza ucichła równie nagle jak się rozszalała.

Łagodnym blaskiem załśnił nów. Duże, jakby wyczyszczone gwiazdy mrugały jaskrawobłękitnym blaskiem na ciemnym tle nieba.

— Pietia! Pietia! — cicho zawołał Lubimow.

— Co? Już ranek?

— Nie, jeszcze jest noc. Ale burza ucichła, możemy iść...

— Ach tak, iść!... Dokąd iść?

— Wstawaj, wstawaj! Idziemy do obozu. Co się tam z nimi dzieje?...

— Zaraz, zaraz!

Wreszcie Pietia rozbudził się.

Wydostali się na płaskowyż. Oto już jeden zakręt oznaczony przez Lubimowa, dalej drugi, a na wprost biała dolinka, na której stoi gdzieś ich zasypany śniegiem namiot.

— No, jesteśmy prawie w domu.

W tej chwili Tuj gwałtownie zaszczekał. Sierść zjeżyła mu się, oczy gniewnie zabłysły. Lubimow chwycił karabin.

O jakieś osiemdziesiąt czy sto metrów czerwono kwieciło osiem par oczu.

— Wilki!

Chwilę trwała wzajemna obserwacja. Potem cztery wilki oddzieliły się i wolno, parami, odeszły na prawo i na lewo w dalszy obchód. Pozostałe dreptały na miejscu. Tuj szczekał coraz groźniej. Poznał swoich dawnych braci, a teraz największych wrogów.

Lubimow obejrzał się. Na lewo sterczała samotna skała.

— Na górę, szybko! — szepnął.

Trzema skokami znaleźli się pod osłoną.

— Stań z tej strony. Strzelaj do upatrzonego, nie śpiesz się.

Wilki zacieśniały pierścień. Lubimow wziął na muszkę szary kształt. Huknął strzał. Zwierz podskoczył i zwałił się na bok. Trzy pozostałe z głuchym wyciem rzuciły się na zabitego.

— Wal, Pietia! — spokojnie rozkazał przewodnik.

Dwa strzały: suchy karabinowy i dźwięczny z dubeltówki gruchnęły niemal jednocześnie. Pietia zobaczył, jak jego kula zerwała wilkowi kępę sierści z grzbietu. Zbój zawył, ale skoczył naprzód. Na jego spotkanie jak rozkręcona sprężyna wyskoczył Tuj i starł się z rannym zwierzem. Znowu strzał — i następny wilk miota się na śniegu. Pozostałe szczerząc zęby wskoczyły na skałę. Pietia dwa razy wystrzelił całkiem z bliska. Przestraszone błyskiem ognia i gorącym od kul wilki przyłgnęły do

ziemi. Zaraz się rzuca...

W tej chwili rozległy się strzały gdzieś na zaśnieżonym płaskowyżu. Jeden, drugi, trzeci... Czterech ludzi biegło po białej równinie, wymachując dubeltówkami i strzelając w biegu. Pięć wilków, które dotąd ocalały, nagle znikło, jakby ich wcale nie było. Walka zakończyła się równie gwałtownie jak rozgorzała.

— Ehe — he — he! — dobiegło od strony obozu.

Kawa wielkimi susami pędziła na przedzie. Jeszcze parę chwil i poszukiwacze radośnie uściskali swoich zagubionych towarzyszy.

— Znaleźliśmy jaskinię Sperańskiego! Tam właśnie przeczekaliśmy niepogodę.

— Jakże wygląda?

— Są ślady. Znaleźliśmy szczątki latarni. To wszystko... Na końcu jaskini jest zawalona ściana. Z pewnością człowiek został tam zamurowany.

Świtało. Niebo zbladło na południowym wschodzie, gwiazdy pogasły i księżyc jakby spłowieł, wstydliwie zlewając się z pobladyłym horyzontem. Czerwonawe światło trysnęło na wszystkie strony, w promieniach jego zagrały szczyty gór i dzień natychmiast, jakby w obawie, aby się nie spóźnić, na krótki czas objął panowanie.

Rozmawiając i żartując geolodzy poszli w stronę obozu.

— Jeden dzień poświęcimy na zbadanie jaskini i wąwozu, i jutro wyruszymy z powrotem — powiedział Uskow. — Nie będziemy powtórnie prowokować losu w taką burzę. Konie odpoczęły i myślę, że w ciągu dwudziestu dni dostaniemy się do końcowego punktu trasy. Siemionycz pewno czeka już na nasze wezwanie.

Uskow uśmiechnął się szeroko, oczy mu promieniały.

— A na wiosnę wrócimy tu z maszynami, z ciągnikami i z amonalem!

Gdy byli już w pobliżu namiotu, idący na przedzie Lubimow nagle zbladł:

— Gdzie są konie, Łuka Łukicz? — zapytał.

Konie zniknęły.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Huragan. — Grupa 14-bis spada w przepaść

Uskowa jakby piorunem raziło.

Cała grupa stała również w ponurym milczeniu. Tuj kręcił się koło namiotu, obwąchał wszystkie kąty, prychnął, w pewnej chwili pobiegł głośno szczekając. O sto metrów od namiotu zatrzymał się, rozgrzebał śnieg i znowu zaszczekał: pod śniegiem znalazł podartą na kawałki uzdę.

— Tabun uciekł — powiedział Lubimow. — Dumny poczuł wilki i uprowadził konie. Teraz z pewnością pędzi je z powrotem tą drogą, którą myśmy przyszli.

Łapaj-Mucha stał w milczeniu, ze spuszczoną głową. Cóż mógł powiedzieć na swoje usprawiedliwienie? Nigdy nie przywiązywał koni, bo liczył na Dumnego. I nie było wypadku, żeby chociaż jeden koń oddalił się od tabunu. A teraz, proszę! Kierownik ekspedycji ma wszelkie podstawy, aby zarzucić mu niedbalstwo.

Ale kierownik ekspedycji nic nie powiedział. Słyszał przez sen, jak Łuka Łukicz nie zważając na szalony mróz kilka razy wychodził nocą z namiotu, żeby zajrzeć do koni. Widocznie tabun uciekł już o świcie. Nie mógł więc za bardzo się oddalić.

— Natychmiast na poszukiwanie! Lubimow, Łapaj-Mucha i Oroczo wezmą psy i zaraz ruszą po śladach tabunu. Daję wam dobę. Jeśli w tym czasie nie znajdziecie koni, wracajcie nie zwlekając. A my tymczasem przenieśmy bazę do jaskini Sperańskiego. Pietia wskaże nam drogę.

— No, a jeżeli... — niepewnie powiedział Oroczo.

— Powtarzam: po upływie doby wracajcie do bazy. Jeśli nie uda się wam odnaleźć tabunu, wszystko przenieśmy do jaskini Sperańskiego i nadamy radiogram, żeby nam przysłali inne konie. Cóż więcej możemy zrobić? Przecież sami wszystkiego nie udźwignemy.

Kiedy Lubimow i jego towarzysze odeszli, a wszystkie rzeczy ukryto w jaskini, Uskow, Borys i Pietia, ukończywszy tę męczącą pracę, mogli wreszcie odpocząć. Jaskinia wydała im się bardzo przytulna — można by w niej nawet zamieszkać na stałe.

— Niczym w granitowym pałacu na Tajemniczej Wyspie — powiedział Borys. — Brakuje tylko kapitana Nemo.

— Jest jednak mała różnica — z uśmiechem odpowiedział Uskow. — Wyspa Jules Varne'a leżała, o ile się nie mylę, na trzydziestym piątym stopniu szerokości, a my jesteśmy na sześćdziesiątym szóstym... Tu jednak jest bardzo ciepło. Wyjmij no termometr, Pietia. Tak...

Uskow aż gwizdnął ze zdumienia: rtęć skoczyła do czternastu stopni.

— Proszę! To naprawdę ciekawa jaskinia! Wiecznie zamrażłe grunty zwykle na dużych głębokościach wskazują od dwóch do sześciu stopni mrozu, a tu czternaście stopni ciepła. Znowu reakcje podziemne!...

— Jakie reakcje? — zainteresował się Pietia.

— Pamiętasz dolinę Szalonej Rzeki? Ciepłe jeziora? Tu jest to samo. Widocznie gdzieś w głębi ziemi działają jakieś siły wulkaniczne albo...

Nie dokończył zdania. Borys podniósł z ziemi odłamek skały. W białym kwarcu błyszcząły żółte nici złota. Ale teraz złoto nikogo już nie dziwiło.

— Ta-ak, tu też jest ruda złota. Tak... Korzystając z wolnego czasu, zapalmy wszystkie trzy latarnie i chodźmy w głąb jaskini. Co tam znajdziemy?

W żółtym świetle latarni ściany blado połyskiwały. Na załomach skał w wielu miejscach wyraźnie widać było kruszce. W miarę zagłębiania się, temperatura wzrastała. Szesnaście stopni, dziewiętnaście! W głębi jaskini już przy dotyku czuło się ciepło ścian. Wreszcie ślepy zaułek. Poszukiwacze uważnie obejrzeni zamykający dalsze przejście wielki głaz monolitowy. Tam gdzieś za nim, w dusznym grobowcu spoczywają szczątki Sperańskiego...

Petia spojrzął pod nogi: w świetle latarni zobaczył na zaschniętej glinie wyraźne ślady stóp człowieka...

Ogier pędził tabun. Dwa konie, które zdołały zerwać uzdeczki, wysforowały się naprzód, osiem spętanych jednym sznurem tłoczyło się w środku, a ogier popędzał zostających z tyłu maruderów. Dokładnie pamiętał drogę i na zakrętach, kiedy biegnące na przedzie zaczynały niepewnie dreptać na miejscu, przecinał im drogę, sam biegł przed nimi, a potem znowu zostawał na końcu. Tabun nie zatrzymywał się. Przełącz, za nią dolina górską, a dalej szeroka rzeka, wysoka i gęsta trawa, ciepłe jeziora... Zmęczone konie, posłuszne swemu przywódcy, biegły resztkami sił i natrafiły wreszcie na pierwsze bezśnieżne

pastwisko. Tu odpoczęły, pochodziły po suchej trawie i następnie wolno skierowały się wzdłuż rzeki do znanego miejsca pierwszego postoju.

Wieczorem, kiedy konie całkiem już spokojne szły przez las, w gąszczy mruknął zaniepokojony niedźwiedź. Konie skoczyły na odsłonięty brzeg. Trzymająca się cały czas osobno, zuchwała siwa klacz z rozpędu wskoczyła do rzeki, jakby nawołując zarżała i popłynęła. Tabun stłoczył się na brzegu.

Czując niebezpieczeństwo ogier zarżał alarmująco, ale klacz wyciągnęła głowę do przodu i płynęła coraz dalej. Wkrótce prąd zaczął ją znosić. Wtedy ogier zdenerwował się, wpędził do rzeki cały tabun, a sam popłynął na ratunek klaczy. Konie płynęły chrapiąc przeraźliwie i prychając. Na środku rzeki pochwycił je bystry prąd i natychmiast poniósł. Płynąca na przedzie klacz wreszcie zrozumiała niebezpieczeństwo. Przejmująco zarżała i żałośnie obejrzała się za siebie, odpowiedział jej równie strwożony, ale jeszcze pełen siły i wiary w życie głos przewodnika. Prąd znosił tabun coraz szybciej. Szalona Rzeka śpieszyła się, żeby dokonać swojego ponurego dzieła. Prąd obracał konie, rzucał nimi. Po raz ostatni, zagłuszając szum bliskiego wodospadu podziemnego, nad doliną, nad rzeką, nad cichymi górami rozległo się trwożne, żalosne, pełne przedśmiertnego smutku rzenie.

Ogromne, spienione bałwany bez trudu pochwyciły konie, wyniosły na brzeg, odbiły się od mokrych skał, zakręciły i z wyciem umknęły w głąb ziemi...

Zginęły wszystkie, co do jednego, konie grupy terenowej 14-bis.

Znowu płynie nad doliną nie milknący szum uchodzącego w bezdnię wodospadu, pluszczą mętne fale burzliwej, zdradzieckiej rzeki i od czasu do czasu pokrzykuje w lesie przestraszona czymś, zwariowana sójka...

U schyłku następnego dnia siedzący przy wejściu do Jaskini członkowie grupy usłyszeli naszczekiwanie psów i głosy, a po chwili Lubimow, Oroczo i Łuka Łukicz zasiedli już przy ognisku i pili gorącą herbatę. Grupa terenowa znów była w komplecie. Decydowały się losy wyprawy.

— A więc zostaliśmy bez koni. Do bazy mamy najmniej trzysta kilometrów — powiedział Uskow. — Do naszego postoju nad Szaloną Rzeką — blisko sto. W najlepszym wypadku konie tam są, ale możliwe też, że zginęły. Zdaćcie sobie sprawę, towarzysze? A poza tym jak stoimy

z żywnością, Łuka Łukicz?

Siedzący cały czas ze spuszczoneymi oczyma kierownik gospodarczy westchnął i spojrzął na Uskowa. Uskow uśmiechnął się.

— No, dosyć, nie martw się. Teraz już nic nie poradzi-
my. Jak z żywnością?

Żywności było jeszcze dosyć.. Obliczono, że każdy będzie musiał nieść około dziesięciu kilogramów prowiantu, siekiere, strzelbę, naboje, śpiwór i różne drobiazgi, radio i akumulator. Reszta rzeczy — cała kolekcja geologiczna, płaszcze, buty, siodła, toboły, a nawet książki muszą zostać w jaskini.

— Możemy się tylko tym pocieszyć — powiedział Uskow — że przywieziemy dokładne wiadomości o nowych złożach i ściśle wskażemy miejsca przyszłych bogatych kopalń. Wrócimy tu na wiosnę i rozkręcimy robotę. Istnieje możliwość — dodał po chwili namysłu — skrócenia drogi o dwadzieścia kilometrów, a nawet może o trzydzieści. Sprawdziłem na swojej mapie. Jeśli nie będziemy wracać własnymi śladami, lecz przetniemy góry na przełaj, wyjdziemy od razu na Szaloną Rzekę. Co o tym sądzicie? Co prawda góry są dosyć wysokie. Najwyższy punkt, według moich obliczeń, ma dwa tysiące trzysta pięćdziesiąt metrów.

— Idziemy! Oczywiście idziemy! — wykrzyknął Borys.

— A co ty myślisz, Mikołaju?

Przewodnik zamyślił się. Propozycja była łątotnie zachęcająca, ale...

— Kiedyś przechodził tędy pewien podróżnik, Terski — powiedział. — Przed stu laty. Nakreślił mapę. Najwyższą górę nazwał Erszot. Innych map nie ma. I w ogóle miejsca nie są zbadane. Można narazić się na trudności, niespodzianki.

— Ale czy warto wyrzec się możliwości zbadania białej plamy? — zaoponował Uskow. — W każdym razie bardzo interesujące byłoby bliższe zaznajomienie się z tymi górami. Jeśli już na samym wstępie znaleźliśmy tyle ciekawych rzeczy, to wyobraźcie sobie, co się tam może kryć w głębi gór.

— No, cóż!...

— A więc postanowione. Idziemy przez góry. Wyruszamy rano i przez wąwóz wchodzimy na Erszot.

Wyszli wczesnym rankiem i o zmierzchu byli już na wysokości dwóch tysięcy stu metrów. Tuż obok wznosił się

ukryty we mgle i śniegu szczyt Erszotu.

— Nic nie widać — powiedział Uskow. — Cała nadzieja w kompasie. A kompas jak na złość szaleje. Widocznie gdzieś tu blisko są złoża magnetytu.

Przez pewien czas grupa szła jeszcze po równej płaszczynie. Zaczynało się ściemniać. Lubimow wskazała skały:

— Chyba to będzie tutaj...

— Postój! Odpocznijmy, a jutro połączymy się ze Zjednoczeniem w Hamadanie — zdecydował Uskow.

Podróżni rozgrzebali śnieg i umocowali brezent pomiędzy trzema dużymi kamieniami. Ze śniegu zbudowano jakby niskie ściany. Rozpalili małe ognisko: należało oszczędzać dREW, bo teraz musieli nieść je ze sobą. Zagrzali konserwy, herbatę, szybko zjedli i razem z całym swoim skromnym dobytkiem wsunęli się do śpiworów. Sen od razu ogarnął zmęczonych podróżnych. Nawet psy, przytulone do Borysa i Pieti, dla których śpiwory były za obszerne, słodko usnęły i tylko drżały przez sen, przeżywając wrażenia całego dnia.

Głęboką nocą, już niedługo przed świtem, rozszalała się zamieć. Zerwał się silny wiatr, w powietrzu huczało. Lepki śnieg z początku nie poddawał się podmuchom wiatru. Ale wkrótce siła wiatru tak wzrosła, że śnieg zaczął opadać od skały całymi płatami i leciał gdzieś przed siebie, pod stok góry, w nocny mrok.

Geolodzy obudzili się. Siedzieli w swoich śpiworach przytuleni do skały. Wiatr dawno już porwał brezent, zburzył i rozniósł śnieżne ściany.

Lubimow nachylił się do Uskowa:

— Każ ludziom, żeby się powiązali ze sobą. Niespokojna pora, może ponieść...

— Wszyscy powiązać się za pasy! — padł rozkaz.

Wicher wzmagął się. Trudno było siedzieć nawet pod ochroną skał. Cały śnieg dookoła został jakby zlizany językiem. Skały były oblodzone. Wszyscy milczeli i tylko coraz bliżej przytulali się do siebie.

Siedzący pod dużym kamieniem Oroczo przylgnął do niego plecami, ale nagle poczuł, że kamień drgnął i leciutko się poruszył. Jeszcze tego brakowało...

— Kamień się stacza! — krzyknął agronom i poderwał się z miejsca.

Natychmiast poryw wiatru zbił go z nóg i zepchnął w dół. Za nim potoczyła się reszta — jeden za drugim.

Łańcuszek związanych z sobą ludzi ześlizgiwał się po

chłodzonym zboczu.

Ludzie chwyтали rękami występy skalne, ale nie mogli się utrzymać. Uskow przez jakiś ułamek sekundy miał wrażenie, że góry wałą się, a na nich czyha czarna otchłań.

Chłopięcy głos krzyknął:

— A — a — a!

„Co ja zrobiłem!” — zdążył tylko pomyśleć geolog.

Jeszcze chwila i rozwarła się przed nimi przepaść.

„Koniec!... — przemknęło mu przez myśl. — Dwa tysiące sto metrów... koniec!...”

ROZDZIAŁ JEDENASTY

przenosi czytelnika do Hamadanu. — Grupa 14-bis zniknęła bez śladu. — Początek poszukiwań

Do gabinetu dyrektora Zjednoczenia wszedł sekretarz z niebieskim blankietem w rękę.

— Co nowego? — niecierpliwie spytał zaniepokojony dyrektor.

— Żle, dyrektorze.

Sekretarz miał smutny wyraz oczu, mówił cicho.

Dyrektor chwycił blankiet. Była to depesza z bazy ósmej, za której pośrednictwem grupa Uskowa utrzymywała łączność radiową. Baza zawiadamiała, że w ciągu ubiegłej doby nie otrzymano żadnych wiadomości od Uskowa.

— Siódma doba! — wykrzyknął dyrektor. — Cóż to może być?

Wyjrzał przez okno. Był błądy dzień zimowy. Wszystkie badania w terenie zostały ukończone. Oddziały już wróciły

i każdy geolog zajął się teraz własną pracą. A Uskow...
Czyżby zaszło coś poważnego?

— Proszę mnie połączyć z lotniskiem.

— Łączę.

Po chwili zabrzmiał dzwonek telefonu.

— Tu lotnisko. Kierownika? Chwileczkę...

— Sześciu ludzi, jedenaście koni, kierunek od bazy ósmej do kwadratu S-4 w stronę pasma Terskiego i dalej na północ. Co? Jeden samolot to za mało. Warunki lotu bardzo ciężkie, wysokość gór ponad dwa tysiące metrów. Rozumiem, że w taką pogodę trudno... Trzy chyba wystarczą. Bliższe dane? Żadnych. Zresztą przyślę wam kierowcę, który odwiózł grupę latem na punkt wyjściowy. Zabierajcie się do poszukiwań, o ile możności energicznie.

— Proszę napisać — zwrócił się do sekretarza — do kierownika bazy ósmej: „Zarządzam stan wyjątkowy w waszej bazie. Odkomenderujcie na poszukiwanie Uskowa wszystkie psie zaprzęgi, potrzebną liczbę ludzi, doświadczonych przewodników. Promień działania do stu kilometrów w kierunku północnym. Dalej będą działać samoloty. Kierowcę Wostrikowa pošlijcie na lotnisko: poda bliższe dane”.

— To wszystko?

— Proszę zaraz nadać drogą radiową.

Sekretarz wyszedł, ale po chwili wrócił:

— Żona i córka Uskova — zameldował. — Czy mogą wejść?

— Oczywiście.

Dyrektor wyszedł do poczekalni i sam wprowadził do gabinetu Warwarę Piotrownę i Wierodkę.

— Nie trzeba się denerwować, moje drogie. Proszę usiąść. Nie ma powodu do niepokoju. Zapewniam...

— Czy sam pan naprawdę wierzy, Fiodorze Pawłowiczu, że oni żyją? Czytam w pana oczach, że nie bardzo — powiedziała Warwara Piotrowna drżącym ze wzruszenia głosem.

— Jestem całkowicie pewny. Jeszcze nigdy się nie zdarzyło, żeby cała grupa geologiczna nagle zniknęła bez śladu. Przecież nie mogli zginąć wszyscy na raz. Oczywiście nasuwa się proste pytanie: Czemu milczą? Mają przecież radio! Wśród sześciu członków grupy jest trzech radiotelegrafistów. Mam na myśli studenta-praktykanta i pani siostrzeńca, a przecież sam Wasilij Michajłowicz to także pierwszorzędny radiowiec. Dlaczego więc milczą?

To właśnie budzi niepokój: dlaczego milczą?

— Właśnie — powiedziała Uskowa. — Dlaczego trzej radiotelegrafści milczą, jeśli mają radio?

— Mają radio! Czy jednak możemy być pewni, że mają? A jeśli się rozbiło, połamało, wpadło do rzeki, zleciało ze skały? Ja na przykład jestem przekonany, że tak się stało.

— Ach, dodaje mi pan jednak trochę otuchy... Tak ciągnęła po chwili — biorąc na zdrowy rozum, przyznaję. Możliwe, że przypuszczenia nasze są słuszne... Ale w głębi serca jestem bardzo niespokojna. Czuję, że tam stało się jakieś nieszczęście.

— Kochana Warwaro Piotrowno, proszę lepiej nie wierzyć sercu, lecz mnie. W każdym razie nie siedzimy z założonymi rękami. Rozpoczynamy poszukiwanie na wielką skalę. Trzy samoloty, zaprzęgi psów, myśliwi... Zrobimy wszystko, żeby pomóc, jeżeli coś im się stało. Podkreślam, jeżeli coś się stało. Chociaż jestem pewien, że nie zaszło nic złego.

Ledwie jednak matka i córka wyszły, dyrektor wezwał głównego geologa. Z nim rozmawiał całkiem inaczej:

— Co myślisz o Uskowie? Wróci? Ma godnych zaufania ludzi, dobrego przewodnika. Sam też jest człowiekiem doświadczonego. Co prawda zabrnęli za daleko, dalej niż należało...

Geolog był posępny.

— Całe nieszczęście — wykrztusił wreszcie — że to zdradliwy teren. Powiedzmy szczerze: fatalny. Duże WYSOKOŚCI. A na dodatek jeszcze przyszła wczesna zima.

— O to właśnie chodzi! — potwierdził dyrektor. — Przekłety rejon! Duże wysokości i wczesna zima. Nic łatwiejszego, jak zwalić się w jakąś przepaść. Była tu Warwara Piotrowna z Wieroczka. Jakoś je tam uspokoiłem, ale sam piekielnie się niepokoję... Och, czuję, czuję...

...Rozpoczęto poszukiwania. Wiele razy samoloty przeleciały i nad dziwną ginącą gdzieś rzeką, i nad wąwozami koło Erszotu, i nad białymi dolinami, przez które biegły lśniące wstęgi strumieni. Tylko nad samym szczytem Erszotu nie przeleciał żaden samolot. Olbrzymia, wysoka góra, we wszystkie strony, na dziesiątki kilometrów rozpostarła swoje odnogi niby łapy, ale uparcie strzegła czarnej skalistej głowy, niemal zawsze o tej porze roku okrytej gęstą chmurą mgły.

Jeden po drugim wracały psie zaprzęgi. Nadchodziły meldunki: śladów nie znaleziono. Trzy razy na dobę za-

pały się lampy neonowe i radio bazy ósmej przekazywa-
ło Zjednoczeniu smutne komunikaty.

Minął drugi tydzień poszukiwań.

Do tajgi wyruszają nowe oddziały, psy ciągną wyekwi-
powane sanie. Narciarze bruzdują doliny, mkną jelenie zaprzęgi,
na poszukiwanie idą ochotnicy i myśliwi. Wdrapują się na
sopki, brną przez błota i rzeki, schodzą do wąwozów. Wynik
wciąż taki sam. Żadnych nowin. Grupa 14-bis zniknęła bez
śladu.

Wreszcie nadchodzi rozkaz: na razie przerwać poszuki-
wania!

Część druga

KRATER ERSZOTU

ROZDZIAŁ DWUNASTY

w którym rozpoczyna się właściwy opis tego, co spotkało geologów, kiedy runęli w przepaść

Kiedy Uskow tuż przed katastrofą zobaczył przed sobą pustkę, nie omylił się w przypuszczeniach: istotnie ziała przed nim głęboka czarna przepaść, do której z zawrotną szybkością lecieli powiązani z sobą ludzie. Pochyła, gładka jak szkło, pokryta lodem skalista pierś Erszotu nagle obrywała się zupełnie pionowo. Góra nie miała wierzchołka. Zamiast wierzchołka była tu przepaść.

Gdy padł rozkaz: „Wszyscy powiązać się!” — Pietia złapał koniec sznura i mocno się okręcił. W jego śpiworze czy to z zimna, czy ze strachu dygotała Kawa. Obok Pieti znalazł się Lubimow. Przewodnik wyciągnął rękę i sprawdził umocowanie. Pietia pomyślał: „Sprawdza, czy mocno się przywiązałem”. W tejże chwili zabrzmiał alarmujący krzyk agronoma: „Kamień spada!” Pietię natychmiast wyrzuciło z miejsca i poniosło w dół. Ledwie zdążył ręce wyciągnąć z worka. Kawa gwałtownie usiłowała wydostać się, ale jej się to nie udało. Niosło ich wszystkich razem naprzód, przewracając z boku na bok. Nowe szarpnięcie przez króciutką chwilę zatrzymało Pietię. To Lubimow mocno uchwycił się występu skalnego próbując się oprzeć. Sznur boleśnie ścisnął chłopca, nie mógł powstrzymać krzyku.

Ten właśnie krzyk usłyszał Uskow w ostatniej chwili przed upadkiem.

Sznur pękł. Koniec jego przeleciał w powietrzu. Łańcuch ludzi rozerwał się.

W następnej chwili Pietia już leciał i wśród wycia wichru runął w masę lepkiego śniegu, w ciemność nocy. Tracąc przytomność czuł, że pogrąża się w jakieś grzęzawisko.

Wszystko zniknęło...

Burza szalała jeszcze długo. Wiatr pędził tumany śniegu, pyłu kamiennego, drobnych odłamków skał.

Wszystko jednak ma swój koniec. Nad ranem, kiedy na wschodzie ledwie zaczęło świtać, nagle zapanowała taka cisza, jakby przyroda zawstydzila się i zapragnęła okupić swoje nocne szaleństwo.

Tuj ocknął się pierwszy. Chociaż śnieg zasypał go głęboko, rył łapami i pyskiem tak energicznie, że szybko rozgrzebał cały pagórek. Gdzieś na górze jeszcze zawodził wicher, ale tu, na dół, docierały już tylko rzadkie porywy. Pies biegał tu i tam, zapadając w pulchny śnieg. Zadnego znajomego zapachu... Zawył żałośnie, nastawił uszu, pokręcił się, ułożył na śniegu i już po chwili śnieg znowu okrył go ciepłą kołdrą.

Nie spał jednak długo. Nagła utrata właściciela i samotność bardzo mu ciążyły. Zerwał się, zaczął krążyć w ciemnościach, od czasu do czasu poszczekując i skowycząc. Nagle dobiegł go słaby, ale znajomy zapach. Pociągnął znowu wilgotnym nosem i z dziką energią zaczął rozgrzebywać śnieg.

Psy na Północy umieją w ciągu pięciu minut wygrzebać głęboki dół nawet w zlodowaciałym śniegu. Robią to polując na myszy. A tu chodziło o coś najważniejszego w życiu czworonoga — o przyjaciół. Można sobie wyobrazić, z jakim wysiłkiem i energią Tuj rozrzucał śnieg, jak skowyczał z niecierpliwości. Im głębiej kopał, tym weselszy jednak stawał się jego głos.

Jeszcze, jeszcze wysilek... Spod śniegu ukazał się futrzany worek, jakieś sznurki. I oto słychać już przygłuszony, cichy, żalony skowyt na pół uduszonej Kawy. Tuż obok ukazała się ciepła, mokra od śniegu twarz Pieti. Tuj polizal ją parę razy. Powieki chłopca drgnęły, otworzył oczy:

—Gdzie ja jestem?

Nikt mu nie odpowiedział. Zobaczył nad sobą kudłaty pysk a tuż obok pełne oddania i niemej prośby o pieszczotę oczy Tuja.

—Tuj, to ty? Och... — jęknął Pietia.

Lewa ręka bolała dotkliwie, a w pamięci wyraźnie zarysowały się wszystkie wydarzenia okrutnej nocy. — Ale gdzie są wszyscy? Gdzie wujek, Borys, Lubiniow?

W nogach coraz energiczniej kręciła się zaplątana w

śpiworze Kawa. Wreszcie wysunęła pysk i przebijając przednimi łapami wypełzła, otrząsnęła się, wesoło zamachała ogonem. Przywitało ją radosne szczekanie Tuja.

— Szukaj, Tuj! Kawa, szukaj! — zawołał chłopiec.

Psy zakopały się w śniegu. O dwa metry od Pieti znalazły Lubimowa.

Szybko oprzytomniawszy, doświadczony przewodnik od razu zrozumiał, co zaszło: ocalał tylko dzięki temu, że upadł na miękką śnieżną pierzynę.

— Pietia! Żyjesz? Cały? Gdzie reszta?

— Dopiero co się wydostałem... Tuj mnie wyciągnął. Nikogo więcej nie widzę. Coś mi się stało z ręką...

— Pokaż! — Lubimow ostrożnie zdjął chłopcu kożuszek i obejrzał rękę. — No tak, zwichnięta.

— R-raz!...

Pietia krzyknął.

— Ech, za późno krzyczysz! Już po wszystkim! Była zwichnięta. Była, ale nie jest. W takich razach trzeba się obejść bez lekarza. Jutro będziesz zdrow. A teraz ubieraj się i do roboty... Tuj! Kawa! Szukać!...

Psy pobiegły po śniegu ryjąc pyskami biały puch. Stop! Oto Tuj zatrzymał się w odległości dwudziestu metrów i zaszczekał. Tu!

Trzy ręce i osiem łap wzbilo tuman śniegu. Metr, półtora metra... Są! To oni! Niespokojnie tłukło się serce Pieti i Lubimowa, kiedy jednego po drugim wyciągali spod śniegu Oroczkę, Uskowa, Łapaj-Muchę i Borysa. Wszyscy byli nieprzytomni. Przewodnik nie tracił ani chwili, rozwiązywał wory, uwalniał towarzyszy i z niepokojem wpatrywał się w ich blade twarze. Czy żyją?

— Szybko, Pietia, ognisko! Potrzeba ciepłej wody, herbaty.

Podczas gdy Lubimow rozcierał i cucił uratowanych, Pietia rozpałił ognisko. Kora, szczapy, cienkie równe polanka — wszystko znalazło się w worku zapobiegliwego przewodnika. Pietia nabrał do kociołka śniegu, zbudował z kamieni palenisko i postawił naczynie na ogniu.

Pierwszy oprzytomniał Łapaj-Mucha. Westchnął, ze zdziwieniem zamrugnął oczami, zasepił się wspominając widocznie chwilę upadku — i nagle rozplakał się:

— Żyjecie! A gdzie chłopcy?

Ukląkł, potem wstał, wytarł nos i znowu na czworakach, widocznie nie bardzo dowierzając własnym nogom, podpełznął do Oroczki, który nieruchomo leżał w swoim śpiworze. Odrzuciwszy kożuszek na bok, Łuka Łukicz zrećźnie zabrał się

do cucenia agronoma. Szybko rozcierano Borysa, który zmarł więcej niż inni. Chłopiec zaczął głęboko oddychać, otworzył oczy i długo leżał na plecach, milcząco i ze zdumieniem wpatrując się w szarawe poranne niebo. Wkrótce ocknął się Oroczo. Trzeba mu było zabandażować bok, w który się mocno uderzył padając. Na śpiworze niczym na sankach podciągnięto go do ogniska.

Uskow leżał pośpny i nie spuszczał oczu z groźnie zwisającej nad nim skały. Wierzchołek jej wciąż jeszcze ginał we mgle. To znaczy, że są na dnie przepaści. A więc jeszcze nic tak bardzo złego. Najważniejsze, że wszyscy żyją.

— No — jakby zgadując jego myśli powiedział Lubimow — wszystko skończyło się szczęśliwie. Co prawda potłukliśmy się trochę, ale to drobiazg. Pietia zwichnął rękę, już mu ją nastawiłem i jutro będzie w porządku. Tylko nasz agronom... Myślę zresztą, że też się poprawi... W ogóle, jak się to mówi, uszło nam na sucho. Przecież lecieliśmy z takiej wysokości. Pewnie ze sześćdziesiąt metrów! Gdybyśmy nie wpadli w tę zaspę, nie pozbialibyśmy kości.

— Której herbaty zaparzyć, prasowanej, czy tamtej? — zwykłym głosem, jakby znajdowali się w stołówce osiedla geologów, zapytał nagle Łuka Łukicz, wygrzebując różne paczuski ze swojego bezdennego worka.

Jakoś dziwnie to wszystkich uspokoiło.

— Kto by przypuszczał, że Erszot nie ma wierzchołka! Przepaść na szczycie wysokiej góry to rzadkie zjawisko. Hm... Przepaść?! Wprost niepojęte. Bardzo mnie interesuje, jaką szerokość ma ten wąwóz. A może to po prostu taras na stromym zboczu?

Uskow rozmyślał na głos, podczas gdy wszyscy pili herbatę siedząc przy ognisku.

Dniało. Ale powietrze w wąwozie było nieruchome i nasyczone tak gęstą mgłą, że o dwadzieścia metrów nic nie można było dojrzeć. Cisza, zagadkowość i nieprzenikniona mgła dodawały wąwózowi szczególnej tajemniczości.

— Gdyby nie zaspą — cicho mówił dalej Lubimow — trzeba byłoby wszystkich nas zbierać po kawałku i sklejać. Spadliśmy z góry na dwie raty, w dwóch grupach. Sznur nie wytrzymał...

— Oto, macie „nową trasę”? — powiedział Uskow i spojrzał na towarzyszy. — A to wszystko moja wina. Wielka wina... W takich razach ryzyko nigdy się nie opłaca. Dobrze, że na tym się skończyło. Mogło być gorzej...

Uskow zamilkł.

— Ale dlaczego siedzimy? — ciągnął po chwili, patrząc na geologów. — Czas przecież jest drogi. Trzeba działać. Musimy się stąd wydostać jak najszybciej. Jak się czuje nasz agronom?

— Spróbuję wstać...

Przy pomocy towarzyszy Oroczo wstał i uśmiechnął się z przymusem:

— Żyjemy...

Jęknął jednak gwałtownie i złapał się za bok. Uderzenie było silniejsze niż się zdawało.

— Połóżcie się. Odpocznijcie tymczasem. O, tutaj... Zdaje się, że to wygodne miejsce — namawiał Uskow układając agronoma na śpiworach koło dopalającego się ogniska. — A my jednak chodźmy rozejrzeć się w okolicy. Łuka Łukicz tu zostanie, Lubimow i Pietia pójdą w prawo, ja z Borysem w lewo, wzdłuż skały. Zobaczymy, co za dziw przyrody stanął nam na drodze.

— Radzę tylko — przerwał mu Lubimow — póki mgła nie zniknie, nie oddalać się od skały. Wydaje mi się, że jeszcze nie jesteśmy na samym dnie.

— Jak to, nie rozumiem?

— Możliwe, że jesteśmy nie na dnie przepaści, lecz na jakimś tarasie. A że to przepaść, urwisko — nie wątpię. Widzicie, jakie powietrze nieruchome? I mgła. Gdyby to był stok, mgła znikłaby dawno. Nie należy więc ryzykować i daleko odchodzić. Czyż można wiedzieć, co się tam kryje.

— Dobrze — zgodził się Uskow — nie będziemy odchodzić od skały. Na razie jedyny nasz cel to znaleźć drogę na górę, obejrzeć ściany skalne.

Po chwili obie grupy rozplynęły się we mgle.

Pietia szedł pięć kroków za Lubimowem. Śnieg był głęboki, z trudem mogli się poruszać. Ściana na całej swej długości była niemal prostopadła. Żadnego wyjścia... Przeszli prawie kilometr, gdy nagle Tuj, starannie obwąchujący drogę przed przewodnikiem, stanął i niezdecydowany odwrócił się.

— Co ci się stało? — łagodnie zapytał Lubimow. — No, idź, idź...

Ale Tuj nie ruszył się. Wtedy Lubimow zdjął strzelbę i powoli, macając nogą każdy metr drogi przed sobą, posuwał się naprzód. Dwa, pięć, siedem metrów i — koniec? Śnieżna droga urywała się. Przed nimi była pustka.

Póki mgła nie ustąpi, nie można będzie stwierdzić, czy przepaść jest głęboka i co się kryje na jej dnie.

— Ładna sprawa! — powiedział Lubimow i zawrócił.—
Chodźmy, Pietia! Jak widać, siedzimy gdzieś pomiędzy niebem i ziemią. To dopiero sytuacja!

Po powrocie zobaczyli niezwykłą scenę. Oroczko leżał na brzuchu na futrzanych workach i głośno krzyczał, podczas gdy Łapaj-Mucha rozcierał mu plecy, wkładając w masaż cały swój zasób energii. Pot ściekał z twarzy kierownika gospodarczego, ale ten nie zwracał na to uwagi.

— Ano, ano, ano! — dogadywał. — O tak! O tak!

Agronom sapał, wzdychał, krzyczał, błagał swojego „doktora” o litość, ale ten jakby ogłuchł. Dopiero ukończony masaż, Łuka Łukicz przyłożył choremu okład, zabandażował bok i powiedział:

— Dosyć! Bądź zdrow, nie kaszlej! — potem otarł czoło i wesoło mrugnął do Lubimowa: o, widzisz, jak to się u nas robi...

Uskow i Borys wrócili chyba po godzinie, zmęczeni, skapcianieli. Z twarzy ich widać było, że nie znaleźli nic dobrego. Geolog siadł na kamieniu, zdjął strzelbę i torbę, i westchnął posępnie.

— Wpadliśmy, jak to się mówi... A przecież z pewnością jesteśmy na tarasie. W odległości dwu kilometrów stąd zwęza się on do dziesięciu metrów i tam się urywa. Dalej jest przepaść. A wy ile uszliście?

— Kilometr. I także przepaść.

— Żadnej możliwości wdrapania się na górę?

— Żadnej. Ściana. Pionowa i bardzo wysoka! We mgle nie można dokładnie określić jej wysokości, ale myślę, że ma kilkadziesiąt metrów.

— A więc tak! Teraz już wiemy! Pozostaje nam tylko jedna droga — dalej na dół. Gdy mgła zniknie, zrobimy rekonesans w tym kierunku. A tymczasem doprowadzimy do porządku sznury.

— Mam nadzieję, że nie będziemy dalej spuszczać się w ten sam sposób, w jaki dostaliśmy się tutaj? — cicho spytał Oroczko i uśmiechnął się.

Wszyscy się roześmieli.

— No, jeśli już żartujecie, to sytuacja się poprawia — powiedział Uskow. — Bardzo dobrze. Postaramy się uniknąć zbytecznych skoków. Ale co to jednak za zdradliwe urwisko? Ciekawe! Bardzo ciekawe!

Zamyślił się. Przypuszczenie, które mu zaświtało w głowie,

stawało się coraz bardziej prawdopodobne. Erszot... Wulkan? Zdaje się, że dawno wygasły wulkan. Każdy wulkan, nawet najstarszy, ma krater. Tak, krater... Bardzo możliwe. A jeśli Erszot jest wulkanem? Tak tak. I nawet nie wygasłym, lecz czynnym wulkanem? Przypomniał sobie dolinę Szalonej Rzeki, ciepłe jeziora, odtajnię gruntu, które odkrył agronom. Czy nie są to wszystko objawy działania sił wulkanicznych, może nawet słabych, ale jednak żywych? W takim razie... W takim razie są w kraterze! A jeżeli zbocza krateru są ze wszystkich stron tak samo pionowe jak z tej... to znaleźli się w pułapce. I nie ma z niej wyjścia.

Geolog zasępił się i mocno pocierał ręką czoło. Wszyscy czekali na słowa otuchy, ale Uskow milczał.

Późnym popołudniem poruszyło się wreszcie nieruchomości dotąd powietrze. Porwana lekkim wiatrem mgła odpłynęła. Natychmiast, jakby ktoś odsunął białą zasłonę, błysnęło czyste, błękitne niebo i na jego jasnym tle ostro wrysowała się górna krawędź stromej ściany, z której spadli geolodzy. Jeszcze chwila i nad otaczającą taras tajemniczą przepaścią popłynęły mlecznobiałe obłoki, a oczom stojących w milczeniu ludzi ukazał się ciemny przeciwległy brzeg przepaści. Był ponury i czarny. Na skalnych urwiskach tu i ówdzie sterczały szczątki zwietrzałych skał niby wieżyce skalnych zamków. Pod skałami leżał głęboki, czarny cień.

Uskow uważnie przyglądał się rozpostartej dokoła panoramie i nabierał coraz większej pewności, że znaleźli się w pierścieniu wysokich, pionowych ścian. Dopiero teraz zdecydował się powiedzieć prawdę towarzyszom:

— Jesteśmy w starym kraterze wygasłego wulkanu Erszotu...

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Skalna pułapka. — Więźniowie Erszotu mają tylko jedną drogę — na dno krateru!

Gdy Słońce zabłysło, mgła nad wierzchołkiem Erszotu znikła bez śladu. Tylko poniżej tarasu, nad centrum krateru wciąż jeszcze leżała nieprzenikniona biała pierzyna, zazdrośnie kryjąca jego tajemnicę. Ale górną część przepaści widać teraz było jak na dłoni.

Krater miał kształt rozszerzonej ósemki. Długość jego wynosiła około sześciu- siedmiu kilometrów a szerokość — cztery. Wyraźnie zwężał się ku środkowi. Miało się wrzenie, że są to dwa leżące obok siebie kratery. Przesmyk pomiędzy nimi został zniszczony przez czas.

Zdziwiło to i przynębiło członków grupy. Wszędzie, gdzie wzrok ich sięgał, widzieli pionowe zbocza, ponure, niedostępne skały osiągające miejscami prawie półkilometrową wysokość. Szczególnie masywne i wysokie wydawały się północne zbocza krateru, przeciwległe do ściany, na której się znajdowali. Odległość górnej krawędzi ściany od dna, a właściwie od białej wciąż jeszcze utrzymującej się nisko w dole mgły, wynosiła co najmniej pięćset metrów. Była to widoczna niemal na całej wysokości olbrzymia ściana z ciemnoszarego granitu. Setki tysięcy lat, które minęły od czasu, gdy skorupa ziemską drżała od podziemnych wstrząsów, nie zmieniły tego spiętrzonego świata dzikich skał. Nadal ostro strzelały ku niebu blaszki granitu, tak samo połyskiwały na słońcu przełomy warstw skalnych. Był to chaos zachowany od pierwszych dni powstania świata. Ileż czasu grupa geologów może wytrwać na swoim wąskim tarasie, mając za plecami pionową, ginącą gdzieś w górze ścianę, a przed sobą otchłań głębokości co najmniej trzystu metrów? Tydzień, dwa tygodnie? A co potem? Spodziewać się pomocy z zewnątrz? Oczywiście, Zjednoczenie będzie ich szukać, to nie ulega wątpliwości. Wyruszą samoloty, ludzie, psy, przeszukają doliny, góry i rzeki. Ale czyż można dojrzeć garstkę ludzi w głębokiej przepaści? Chyba nawet najodważniejszy, gotowy na wszystko lotnik nie zaryzykuje w środku zimy lotu nad tymi ostrymi skałami. Zresztą czyż może z góry zobaczyć kogoś pod nawisem skalnej ściany? Grupa nie ma przecież teraz ani jednego polana, żeby rozpaść ognisko i dymem wskazać, gdzie się znajduje. A co najważniejsze —

nie ma radia, nie może porozumieć się z bazą. Z nadajnika zostały tylko szczątki.

Wszystkim było ciężko na sercu, ale nikt ani słowem nie zdradził swojej rozpaczy.

Łapaj-Mucha przede wszystkim martwił się o najmłodszego, Pietię, o „chłopaka”, jak go nazywał.

— Nie boisz ty się, Pietro? — pytał.

Na co chłopak odpowiadał dość wykrętnie, ale z godnością:

— A kiedy ci dwaj, Iwanow i Sperański uciekali z carskiej zsyłki i dostali się tutaj, do tej tajgi, czy nie było Im strasznie? A swoje robili, szli!

Przypomnienie o dwóch bohaterach, którzy życiem zapłacili za wolność, za walkę rewolucyjną, dodało ducha członkom wyprawy.

Tymczasem wiatr wciąż wrywał ludziom spod nóg białą watę mgły i stopniowo obnażał krater wulkanu do samej jego głębi. Wsłiznęły się tam promienie słońca i świetlne zajaczki zaigrały na powierzchni jezior, błysnęły w wąskim strumyczku.

— Na dole jest las! — krzyknął Pietia.

Wszyscy spojrzeli w dół. Uskow i Lubimow chwycili lornetki. Tak, na dnie krateru był las! Wydawało się to nieprawdopodobne! Las w kraterze wulkanu!...

Kiedy wiatr rozwiął wreszcie ostatnie kłęby mgły, niezwykły widok ukazał się ich oczom.

Geolodzy znajdowali się na tarasie, którego szerokość wynosiła najwyżej sześćdziesiąt metrów. Taras był całkowicie pokryty śniegiem. Dalej urywał się dosyć stromo. Dno krateru według obliczeń Lubimowa leżało około trzydziestu metrów niżej, a ściana pod tarasem nie była pionowa, lecz składała się z sześciu czy siedmiu podobnych tarasów, co pozwalało na trudne, ale dosyć bezpieczne zejście.

— Jest droga na dół! — wykrzyknął Uskow. — A na dole rośnie las. To nie złudzenie. Tak! To prawdziwy las! Zjawisko niezrozumiałe, ale gwarantuje nam przynajmniej na jakiś czas ogień i ciepło. Nie możemy zwlekać. Przygotujmy się do schodzenia.

Znowu potrzebny był sznurek. Postanowiono, że będą schodzić wszyscy razem. Lubimow i Uskow związali się we dwóch i ostrożnie podpełzli do brzegu przepaści. Zaczęli ubijać śnieg wiszący niby daszek nad urwiskiem. Poszło im to dosyć łatwo. Ciężka bryła śniegu z hałasem

runęła w dół, zepchnięta kilku uderzeniami nogi. Stojący na przedzie Uskow nie utrzymał równowagi i ześliznął się, ale szczęśliwie zawisł na linie, którą mocno trzymało trzech jego towarzyszy.

— Uwaga, ciągniemy w górę! — krzyknęli.

— Nie trzeba — dobiegło z dołu. — Spuszczajcie ostrożnie. Zostało najwyżej siedem metrów do drugiego tarasu...

Po chwili Uskow stanął na tarasie, od którego biegło w dół łagodne usypisko kamieni. Mógł się po nim zsuwać dalej już bez pomocy alpinistycznych.

Przed, upływem godziny zeszła cała grupa, a Oroczo po prostu zjechał z komfortem. Lubimow zrobił mu hamak ze śpiwora i agronoma dostarczono na dół z zachowaniem takich ostrożności, jakby chodziło o transport dynamitu.

Wędrowcy poweseleli. Łapaj-Mucha nie mógł się nadszywić, rozglądał się na prawo i na lewo, wzruszał ramionami i mruczał.

— Phi! — powiedział nagle. — Gdzież jest ta zima? Śniegu nie ma, mrozu także nie czuję...

Istotnie! Wszyscy nie wyłączając Uskowa dopiero teraz zauważyli, że w kraterze nie było śniegu. Leżał tylko na wyższych tarasach skalnych.

Oroczo natychmiast przypomniał o odtajających gruntach w dolinie Szalonej Rzeki:

— Pamiętacie jeziora? Może i tu mamy podobne zjawisko: ciepłe wody głębinowe?

— Jeśli chodzi o krater, to całkiem prawdopodobne — odezwał się Uskow. — Napotkaliśmy ciepłą wodę z dala od Erszotu, więc tutaj, w pobliżu źródła ciepła, jest to tym bardziej możliwe.

Słońce skryło się za najwyższym szczytem zachodniej ściany i na krater legły granatowe cienie wieczorne. Las z oddali wydawał się łagodny i cichy. Wszyscy tam pośpieszyli.

Przed oczami geologów wyrastały drzewa i krzewy, pod stopami szeleściły opadłe liście, ziemię pokrywała zwiędła trawa. Prawdziwy raj po tylu dniach tułaczki wśród nagich skał!

Uskow zarządził pierwszy postój.

— Co teraz zrobimy? — szepnął do przewodnika.

Wędrowcy zasiedli kołem przy dużym, wesołym ognisku. Cedrowe polana, ułożone szczodłą ręką ludzi stęsknionych za ciepłem, płonęły cicho i bezdymnie.

Las... Zdumiewający był ten las w głębokiej, starej

rozpadlinie Erszotu. Tuż nad biwakiem wznosiły się na wysokość co najmniej dwudziestu metrów огоłocone gałęzie olbrzymich grubych modrzewi, jakich nigdy nie widuje się w północnych szerokościach geograficznych.

Pod ochroną drzew rosły pomiędzy brzożami, pośród wrzosów i bagna, żółte sztywne paprocie o liściach prawie dwumetrowej długości, z rzędami brązowych guzów dojrzałych i przejrzałych zarodników. Tu i ówdzie z gałęzi i krzaków zwisały długie złotawe biczyska puszystego widłaku; w trawie wśród gęstego, wysokiego znanego na całej Północy ziele Lansdorfa, zieleniły się duże rozrośnięte skrzypy, znacznie większe niż zwykle spotykane w środkowym pasie kraju, na gruntach kwaśnych. Obok modrzewi, których było tu chyba najwięcej, wznosiły się dostojne cedry, nadające lasowi szczególnie uroczysty, monumentalny wygląd. Wiele płózających krzewów owijało i oplątywało gąszcz leśny.

Schodząc z usypiska na dół geolodzy mogli obrzucić wzrokiem cały zarośnięty lasem lej krateru. Prawie w centrum pierwszego krateru, trochę bliżej jego północnej części, do której zszedł teraz oddział, widać było dużą polanę. W środku, w obramowaniu burozielonej trawy, prawdopodobnie osoki, połyskiwało jezioro; z jeziora w kierunku grobli łączącej dwa krateru, wypływał wąski strumień, którego przezroczysta woda migiała pomiędzy drzewami.

W stronie północnej, jak już wspomnieliśmy, niemal pionowo wznosiła się nad lasem wysoka ściana. Największe nawet drzewa wydawały się przy niej karłowate.

Gdyby wszystkie cztery zbocza tej dziwnej wyrwy były równie wysokie i urwiste jak zbocza północne, słońce świeciło by na dnie krateru najwyżej dwie albo trzy godziny, tylko w południe, i w kraterze zawsze panowałby półmrok niby w głębokiej studni. Ale było inaczej. Nawet późnym popołudniem, kiedy oddział wszedł do lasu, cień południowego, bardziej pochylego zbocza okrywał tylko niedużą powierzchnię krateru; słońce padało na całe zbocze północne i dużą część lasu na dnie leja. W te krótkie dni zimowe słońce oświetlało cały krater.

— Cóż mamy teraz robić? — powtórzył geolog.

— Już od jutra zabierzmy się do roboty — zaproponował Lubimow. — Niemożliwe, żebyśmy nie znaleźli stąd wyjścia. Obejdziemy wszystko dookoła i zobaczymy. Widzicie jezioro? I strumień? Woda dokąd odpływa? Odpływa. Znalazła więc chyba wyjście z krateru? My też je

znajdziemy.

— Ileż czasu straciliśmy! Dawno powinniśmy już być w bazie. Czekają na nas, niepokoją się. A my milczymy! Wkrótce pewno zaczną się poszukiwania, loty... A jak martwią się w domu!...

Uskow westchnął głęboko.

— A może podzielimy się znowu na dwie grupy? — powiedział Lubimow. — Jedna pójdzie w kierunku wskazówek zegara, druga — w przeciwnym. To zaoszczędzi nam czasu. Jak myślicie? W kraterze nie zabłądzimy. Lapaj-Mucha zostanie z Oroczką.

Ale Uskow nie zgodził się:

— To nowa, niezwykła miejscowość... Nie wiadomo, co może się zdarzyć... Już lepiej trzymajmy się wszyscy razem...

— Dobrze. Razem to razem — zgodził się Lubimow. — Widzę, że zrobiłeś się bardzo ostrożny. Sparzyłeś się na gorącym, to na zimne dmuchasz. Prawda?

Kierownik grupy i przewodnik zamienili jeszcze kilka słów, dołożyli suchych drewn na ogień i umilkli.

Cicha noc otulała las. Na niebie, jak to w zimie, błyszcząły duże wyraziste gwiazdy. Szczyty gór okrywały białe czapy śniegu, w żlebach na wierzchołku wulkanu iskrzył się błękitny lód, ale tu, na skraju lasu, nie odczuwało się zimy. Ziemia wydzielala ciepło, unosił się zapach wilgoci, smutny aromat jesieni, zbutwiałych liści i przemokłego gruntu, właściwy lasom w październiku i listopadzie.

Obóz spał. Ludzie ułożyli się naokoło ogniska na podściółce ze świerków i okryli się kożuszkami — tą niezastąpioną w podróży odzieżą, która służy za poślanie i za namiot. Łuka Łukicz cicho pochrapywał. Borys coś zamruczał przez sen, podniósł głowę, spojrzął nie widzącymi oczami na Uskova i zaraz znowu zasnął. Oroczo postękiwał od czasu do czasu — widocznie bok jeszcze go bolał. Oba psy leżały koło siebie, zwinięte w kłębek. Ale Tuj miał nastawione uszy: nawet przez sen nasłuchiwał, nie bardzo dowierzając temu zacisznemu zakątkowi lasu.

Jedynie Uskow nie mógł zasnąć. Leżał na wznak i patrzył w zimne wygwieżdzone niebo. Gdzieś zaszemrały spadające z urwiska kamienie. Trzasnęła gałąź w lesie, pewnie złamał ją spadający z góry odłamek. I znowu cisza, niczym nie zakłócona cisza... Wielka cisza Północy.

Geolog spojrzął na zegarek. Trzecia. Jeszcze daleko do rana. Poprawił ognisko i przysunął się bliżej. Gdy już zasypiał, w cichym powietrzu zrodził się jakiś nowy odgłos,

jakby gdzieś bardzo daleko ktoś zatrąbił w ogromny róg. Głos był niski, głęboki, silny. Ale geolog już go nie usłyszał. Tuj natomiast obudził się, podniósł łeb i pociągnął wilgotnym nosem. Nic się nie zmieniło, cisza, niby nic podejrzanego. Pies pokręcił się trochę i ułożył. Podświadczonego niepokój kazał mu jednak podsunąć się bliżej do ludzi.

Wczesnym rankiem Łuka Łukicz zarzucił strzelbę na ramię, podkręcił węż, gwizdnął na Kawę i poszedł do lasu, w kierunku jeziora. Po godzinie, ledwie się wszyscy obudzili, kierownik gospodarczy wrócił ze zdobyczą.

— Znowu te baletnice — powiedział do Pieti pokazując brezentowe wiadro, w którym leniwie poruszało się około trzydziestu lipieni. — A ileż ich tam jest! Można by łapać rękami, po prostu włożyć w ręce...

— Czy to daleko?

— Nie... niecały kilometr.

— A jezioro głębokie? — zainteresował się Uskow.

— Nie widziałem dna. Pewnikiem głębokie, boć woda bardzo czarna... A ciepła jak mleczko. Gdybym tak umiał pływać, to bym się wykapał!

Po śniadaniu Uskow, Lubimow, Borys i Pietia bez bagaży, wzięwszy tylko strzelby, wyruszyli do lasu z postanowieniem, aby w ciągu dnia dokładnie zbadać zbocza pierwszego krateru. Cała droga, według obliczeń Lubimowa, wynosiła dziewięć czy dziesięć kilometrów. Na odchodnym Uskow powiedział do kierownika gospodarczego:

— Oroczko zostaje pod twoją opieką. Uważaj na niego. Byłoby nieźle, gdyby ci się udało ubić coś na obiad. Wrócimy przed zachodem.

Dwaj członkowie wyprawy zostali przy ognisku. Czterej weszli do lasu. Psy pobiegły za nimi.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Zdumiewające odkrycia. — Gościnnie niedźwiedź. — Przedhistoryczny las. — Tajemnicze odgłosy

A oto co później nastąpiło w obozie.

Łuka Łukicz wyczyścił swoją strzelbę, opasał się taśmą z nabojami i poleciwszy agronomowi, żeby leżał spokojnie i nie wstawał, wybrał się na polowanie.

Oroczo został sam. Leżał koło ogniska, ciesząc się spokojem i ciepłem, ale wkrótce zrobiło mu się przykro. Cóż to się dzieje? Wszyscy zajęci, każdy ma jakieś obowiązki, a on leży beczynn timer, jak prawdziwy próżniak i nic nie robi, kiedy cały nieduży zespół wpadł w tarapaty. Myśl ta nie dawała mu spokoju. No dobrze, tymczasem nie może być użyteczny, chodzenie na zwiady wymaga sił, wytrzymałości. Nie mógłby też polować — to oczywista. Ale czy członkowie grupy przerwali swoją pracę naukową? Czyż nie mógłby więc i on zająć się na przykład swoim zielnikiem i poznać jeśli nie dno krateru, to przynajmniej skraj lasu? Przecież taka tu charakterystyczna przyroda!...

Agronom myślał na głos, pewnie chcąc przekonać siebie samego. Najpierw siadł na posłaniu, potem odpoczął chwilę i wstał, ale musiał się znowu położyć. Mruknawszy coś o tym, że nawyk leżenia jest rzeczą zgubną, wyciągnął z ogniska mocny kij i powtórzył próbę. Teraz się udała. Obciągnął kozuszek, pochodził naokoło ogniska, opierając się na kiju, i poczuwszy, że ma dosyć siły, pokuśtykał skrajem lasu, żeby choć „na oko” zapoznać się z miejscową florą, a jeśli dobrze pójdzie, włączyć kilka interesujących okazów do zielnika, z którym się nie rozstawał. Nie zabrał z sobą strzelby — była dla niego jeszcze za ciężka.

Po przejściu paruset metrów, zmęczył się i siadł u podnóża wysokiego grubego drzewa. W innych warunkach, z zainteresowaniem obejrzałby też drzewo i całą roślinność dokoła, ale w obecnym stanie nawet nie zwrócił na nie uwagi.

Jakże miło jest odpoczywać tak w lesie... Spokojne, nieruchome powietrze pachnie żywicą, ziemię pokrywa gruba warstwa starej świerczyny, przez którą tu i ówdzie przebija się trawa. Pod rozłożystymi, purpurowymi liść-

mi jarzębin kryją się ciężkie grona bujnych jagód północnych, rumianych, pełnych, nieco już zmrożonych i dlatego pewno niezwykle smacznych. A tuż obok rosną krzaki niebieskozielonego jałowca, osypane matowymi czarnymi jagódkami. Opodał smutnie pochylona brzoźka zwiesza ogołocone już gałązki. Jedna, druga, trzecia brzoza... Oho, cała rodzinka! Zgrabne, białe, śliczne, ostro rysują się na ciemnozielonym tle świerkowego lasu.

Oroczo zamknął oczy czując rozkoszne osłabienie. Czyżby ogarnęła go senność? Gdzie się znajduje w tej chwili? Takie znajome strony. Ale przecież jest pod sześćdziesiątym szóstym stopniem szerokości. Otworzył oczy w nadziei, że przywidzenie zniknie. Nie, wszystko pozostało nienaruszone! To nie miraż ani halucynacja. Ogromny cedr rozpościera nad nim swoje długie gałęzie, usiane mnóstwem liliowych szyszek-latarenek. I brzozy, i jałowce... Czyż to możliwe?

Wstał i rozejrzał się z niedowierzaniem. Jak mógł dotąd nie dostrzec, co go otacza. Karygodna nieuwaga! Tak, znajduje się w lesie mieszanym! Obok rośnie potężny cedr, nie płożący — cieniutki i gibki jak na Północy — lecz prawdziwy dorodny cedr około dwudziestometrowej wysokości szeroko rozpościera nad nim swoje gałęzie. Szyszki, prawdziwe duże szyszki, leżą na ziemi, a w ich półotwartych łuskach widać setki dojrzałych orzeszków — tego syberyjskiego przysmaku. Nie, to nie jest sen...

Wciąż jeszcze zaczarowany ciszą i niezwykle widokiem lasu, Oroczo potrząsnął głową i żeby upewnić się, że to, co widzi, jest realne, głośno powiedział do siebie:

— Nie śpisz?

Echo mu nie odpowiedziało. Głośno spytał po raz drugi:

— Pytam, czy nie śpisz? Nie? No to myśl, myśl. Jak i dlaczego w sercu dalekiej Północy powstała i istnieje taka oaza?

To powiedziawszy zrobił parę kroków, podszedł do jarzębiny, zerwał kilka jagód i rozgryzł. Cierpki słodko-kwaśny sok ostatecznie go ocucił.

— No, proszę! — powiedział. — Zdarzają się przecież cuda na szerokim świecie! A zresztą, cóż w tym cudownego? Oaza? Tak! Kotlinę chronią ściany skalne ze wszystkich stron, a więc i od północy. Co za masyw! Spojrzał na ciemną ścianę północną. — Wiatrów tu nie bywa. Ochłodzone masy powietrza napływają tylko z góry. Żeby przeciwstawić się zimnemu powietrzu, wystarczy mieć do-

brze podgrzewany grunt. A to jest możliwe. Nawet całkowicie możliwe. Krater starego wulkanu! Ciepłe źródła albo coś w tym rodzaju. Temperaturę zimnej warstwy powietrza nad ziemią widocznie równoważą dwa czynniki — wydzielanie ciepła przez ziemię i ochładzanie atmosfery. To zrozumiałe... Takie współdziałanie reguluje klimat i nawet na tej szerokości geograficznej zbliża go do umiarkowanego. Mikroklimat!

Wyraziwszy na głos taką hipotezę Oroczo aż gwizdnął.

Humor mu się poprawił, zapomniał o chorym boku i zagłębił się w las, coraz bardziej zachwycony pięknym widokiem milej, dziwnie znajomej przyrody, godzącej rośliny południowe z roślinami północnej tajgi.

Modrzewie, cedry i świerki rosły tu dosyć rzadko, grupami. Wśród tych ciemnozielonych olbrzymów kryły się skupiska brzoź, osin, topoli, jarzębin i czeremchy, leszczyny i jałowca. Przewijały się pomiędzy nim długie, cienkie łodygi dzikiego wina. Jeszcze nie opadły z nich drobne czarne jagody, wszędzie wisiały bogate grona i nawet trudno było zrozumieć, czy rosły na łozach, których skromne bicze owijały się dokoła drzew, czy też na drzewach mieszanego cedrowo-brzozowego lasu. Na polankach szeleściło morze szarego sitowia, wysokością dorównującego wzrostowi człowieka. Kwaśne trawy pokrywały ziemię jak szczecina. Była to prawdziwa, o różnorodnej trawie łąka, którą tak kochają wszyscy mieszkańcy wsi. Nie tylko bowiem dostarcza wspaniałej paszy, ale raduje wzrok bogactwem kwiatów.

Największa jednak niespodzianka dopiero czekała agromoma.

Oroczo przyszedł nad jezioro, w którym Łuka Łukicz łowił ryby. Nie zdziwiło go, że tak łatwo znalazł jezioro, lecz zaskoczył go wygląd brzegów: jakoś dziwnie dużo trawy wydeptał tu rybak. W przybrzeżnej turzycy widać było co dziesięć kroków przygniecione zioła, wyrwane rośliny, wydeptane ścieżki, jakby Łuka Łukicz wiele razy obszedł cały brzeg dokoła, zanim usadowił się z wędką.

Na brzegu jeziora, w cieniu rozłożystych świerków, stały paprocie niby ruda ściana. W swoim czasie agromom widział w Suchumi banany, te południowe drzewa o niezwykle oryginalnych liściach. Szerokie, mięsiste liście o brzegach lekko podwiniętych niby brzegi łódeczki, osiągają ponad dwa metry długości i rozpościerają królewskie wachlarze rzucając głęboki cień dokoła pnia. Przy-

pomniały mu się teraz, gdy zdziwionym wzrokiem patrzył na paprocie. Od grubego jak ramię pnia na wszystkie strony rozłożyły się prawie dwumetrowej długości liście o delikatnie wyciętych brzegach. Ich zwarzone mrozem koniuszki obwisły. Na liściach uwydatniły się brunatne plamki zarodników. Wysokość paproci sięgała trzech metrów!

— Cóż to takiego? — wykrzyknął zdziwiony. — Relikty ery paleozoicznej? Lasy dewońskie? Zdaje się, że przestaję coś rozumieć. Skąd się tutaj wzięły rośliny odległych epok geologicznych? U nas już przekształciły się w niskie krzaczk.

Z obawą spojrzął na jezioro i mruknął:

— Nie zdziwię się, jeżeli zaraz wyłoni się stamtąd łeb mezozaurusa...

Ale niebezpieczeństwo zagrażało nie od strony jeziora. Spokojna ciemna woda, otoczona zieloną ramką turzycy, była czysta i nieruchoma. Gdyby jednak agronom w tej chwili obejrzał się, niewątpliwie dostrzegłby w odległości dziesięciu metrów, w zaroślach dzikich malin, spokojnie żerującego burego niedźwiedzia. Dawno już zauważył człowieka, ale pozostał obojętny wobec nie znanego stworzenia. Co więcej, jakoś zabawnie wciągnął powietrze, zmarszczył nos i mrugnął. Wszystko wyglądało jak najbardziej przyjacielsko. Potem znowu zabrał się do swojej spokojnej pracy. Stojąc na tylnych łapach, przednimi obejmował krzaki malin, przyciągał je do samego nosa i cmokając, ze smakiem zlizywał przejrzałe czerwone jagody. Jednocześnie wciąż zerkał w stronę nieruchomo siedzącego sąsiada, jakby zapraszając go również na ucztę. Ale pochłonięty przyglądaniem się paprociom Oroczo nie widział zwierza. Mrużąc coś na temat zagadek geologicznych, zawrócił.

— E-he-he! — rozległo się po lesie. — O-ro-oczko! — skandował Łapaj-Mucha przedzierając się przez gąszcza.

— Jestem tu! — głośno odezwał się agronom i w tej chwili zobaczył niedźwiedzia. — No, ależ!...

Te dwa słowa, które wyrwały mu się mimo woli, wyraziły wszystko: i bezgraniczne zdziwienie, i zakłopotanie. Omdlały ze strachu agronom siadł na mokrej ziemi i błędnym wzrokiem patrzył na niedźwiedzia. Bury mieszkawiec lasu zachował się bardzo dziwnie. Zamiast sprawić lanie przybłędzie, albo w najlepszym razie ryknąć dla postrachu, jak często robią mądre bure niedźwiedzie

północne, prychnął, stanął na czterech łapach i przewalając się z nogi na nogę, bardzo dostojnie podszedł do agronoma. Spokojnie obwąchał go, otarł się szorstkim bokiem o jego kożuszek i siadł w sposób, w jaki zwykle siadają oswojone niedźwiedzie, czyli na rozkraczonych tylnych łapach, zwiesiwszy przednie na brzuchu. Onie miały agronom, zapewne nie zdając sobie sprawy z tego, co zaszło, uśmiechnął się, wyciągnął rękę i pogładził ciepłą, puszystą sierść sąsiada. Miś widocznie ocenił ten dyplomatyczny gest przyjaźni, bo polizał rękę nowego przyjaciela i pokręcił głową mrugając swoimi małymi żółtymi oczkami.

Idylla zakończyła się całkiem nieoczekiwanie. O pięć metrów od nich szczęknęły odwiedzone kurki: to Łuka Łukicz podniósł swoją dubeltówkę.

— Nie strzelaj! — jakimś zachrypniętym, obcym głosem zdążył zawołać Oroczo. — Nie strzelaj! To... to oswojony niedźwiedź.

— Oswojony?! — z niedowierzaniem powtórzył Łapaj-Mucha. — A bo to cyrk tu przyjechał czy kino kręcą?

Musiało się jednak coś w tym dialogu nie spodobać misiowi, westchnął bowiem głęboko, znowu opadł na cztery łapy i szybko się oddalił.

W ciągu niecałej godziny geolodzy doszli do podnóża wielkiej ściany północnej. Niemal przylegał do niej gęsty las. Ściana skalna była niezwykle wysoka, a ten leśny zakątek wyglądał przedziwnie i tajemniczo. Mimo woli przychodziły na myśl obrazy Wasniecowa, oparte na bajkach Puszkina. Zda się, zaraz wyjdzie czarodziej, kot uczony zadzwoni złotym łańcuchem i ziemia zadrży pod kopytami rączego konia ruskiego bohatera...

Ale Uskow patrzył na świat oczami geologa. Przede wszystkim interesował się skałami. Jak powstała olbrzymia ściana skalna, przeszło półkilometrowej wysokości? Co się w niej kryje?

Wyobrażał sobie odległe czasy wielkich zaburzeń tektonicznych, które charakteryzowały się powstawaniem gór i ożywioną czynnością wulkaniczną.

...Ongiś było tak: skorupa ziemska falowała. Nad rozległymi przestworzami wszechświata płonęła drżąca luna, a nad niespokojną ziemią wisiało niebo, czarne od dymu. Potężne ruchy tektoniczne wstrząsały poszczególnymi obszarami. Skorupa ziemska wypiętrzała się: na powierzchnię występowały stare warstwy, zalegające dotychczas w głębi ziemi.

Góry rodziły się w potężnych wstrząsach, pod ich naporem z hukiem cofały się spłycone brzegi oceanów. Z powstałych szczelin skorupy ziemskiej wybuchały gazy, popioły i wylewała się roztopiona lava. Niby olbrzymi korek wytrysnęła w górę rzadka masa wulkaniczna, ściełała w tym miejscu nierówności skalne, wyrzuciła kamienie na stoki gór, a w pustym kominie krateru pomiędzy dopiero co powstałymi ścianami zabulgotała lava.

Minęły setki, minęły tysiące lat. Ziemia uspokoiła się. Wulkan ostygł i uciszył się. Wrząca lava osiadła na dnie, pokryła się skorupą; zaczęło się powolne burzenie tego, co powstało. Z południowej ściany wulkanu osypywał się rumosz skalny i po pewnym czasie na dnie wulkanu zrodziło się życie. Pod kraterem jednak, głęboko w dole, już od wielu wieków zachowuje się okrutny zar. Ciepło dosięga powierzchni, ogrzewa źródło i strumienie, daje życie mchom, trawom, roślinom i lasom. Jedynie północna ściana potężnej studni skalnej pozostaje od tysięcy lat naga, ponura i wroga, jak w groźnej epoce zaburzeń tektonicznych.

Podróżni zatrzymali się koło tej ściany. Borys parę razy uderzył w skałę. Upadł odłamek. Chłopiec podniósł go i podał geologowi.

— Skała nie naruszona, granit z wielkich głębokości — powiedział geolog. — A tam, na ścianie, wyżej, to już są łupki. Historię nawarstwień ziemskich widzimy tutaj jak w muzeum. Szkoda, że mamy przed sobą inne zadanie. Wiele można odczytać z kart tej otwartej historii ziemi. Jednakże, moim zdaniem, to dziecięca naiwność myśleć, że właśnie tutaj zdołamy znaleźć wyjście z krateru. Stro-ma ściana jest monolitem. Jeśli znajdziemy jakąś możliwość, to tylko tam... — wskazał ręką na południe.

Lubimow w milczeniu skinął głową.

Posunęli się na południe, przedzierając się przez gąszcze, zwały skalne, omijając doły i powalone drzewa. Szli usiłując nie oddalać się od ściany. Od czasu do czasu ktoś wchodził na skałę albo na drzewo i oglądał okolicę. Z góry widać było tylko wierzchołki wysokiego lasu. Ledwie widoczna przez gęstwinę drzew tafla jeziora lśniła w odległości co najmniej dwóch kilometrów. Ale oto nagle las się skończył. Drogę przecinał strumień. Brzegi jego były nagie, woda płynęła po czerwonym żwirze. Wciąż tworzyły się miliony pęcherzyków i z lekkim sykiem pękały na powierzchni wody.

„Narzan?” — pomyślał Uskow.

Zaczerpnął pełną garść wody, napił się — pierwszy łyk niepewnie, a potem z wyraźną przyjemnością.

— Tak, to narzan! Doskonała woda kwasowęglowa! Spróbujcie. Bajeczna woda...

W ten sposób odkryte zostało źródło, które na poczekaniu nazwano „Przypadkowym”.

I znowu zaczął się las bezkresny. A dalej za ostrym zakrętem ukazało się rozsypisko skalne, przesmyk w największym miejscu pomiędzy dwoma kraterami Erszotu.

— Patrzcie! — Lubimow wskazał ręką przed siebie — ścieżka! Najprawdziwsza ścieżka! Ktoś tędy przechodził!

Schylił się. Widać było ślady niedźwiedzi. Szło ich kilka. Są też głębokie, podwójne wgłębienia, które tak dobrze zna każdy myśliwy na Północy. Oczywiście — to barany górskie. Obok małe, ledwie widoczne ślady lisa — łańcuszek okrągłych dołczków, wyraźnie odbitych na mokrym gruncie.

— A co to takiego? — zapytał Pietia wskazując jakieś wgłębienie trochę na uboczu.

— To? Hm... — Lubimow niepewnie wrzucił ramionami. — To rzeczywiście jakieś „nóżki”. Takimi nóżkami można pale wbijać... Nie wiem... — dodał po chwili szczerze.

— Gdybyśmy byli w Afryce — uśmiechnął się Uskow — gdzieś w okolicach Kilimandżaro albo w podzwrotnikowych lasach Indochin z całkowitą pewnością twierdziłbym, że szły tędy słonie do wodopoju.

Ścieżka rozszerzała się. Po jej bokach leżały setki ogromnych głazów. Koło jednego z nich o wadze chyba przeszło pięciu ton, Uskow zatrzymał się i wyciął grudkę ziemi z trawą, rosnącą na jego powierzchni.

— Przypuszczam, że głaz ten niedawno jeszcze leżał w ziemi. Widzicie, nawet trawa jest jeszcze świeża! A teraz znalazł się na skale, metr nad ziemią. Dziwne! Cóż to za nieznaną potęgą wyniosła go na rozsypisko? Może gnieździ się tu jakaś nieczysta siła?

Uskow sam roześmiał się ze swojego żartu, ale w śmiechu jego brzmiał niepokój.

Przeszli ścieżką najniższy odcinek przesmyku i ujrzeni przed sobą rozległą panoramę drugiego krateru. Dno jego stopniowo się obniżało, drugi więc lej wulkanu leżał o kilkadziesiąt metrów niżej od pierwszego. Całą widoczną przestrzeń pokrywał las. Pośród szarozielonej gęstwiny tu i

ówdzie przeświecały polany, gdzieniegdzie połyskiwała woda. Krajobraz stąd, z góry, wydawał się taki łagodny, spokojny, że nie budził strachu ani niepokoju. Ciemne wysokie ściany otaczały krater ze wszystkich stron. Robiło to wrażenie, że te masywy skalne strzegą wieczystego spokoju zaczarowanego, sennego królestwa lasu.

— Nie, dzisiaj tam nie dojdziemy. Już za późno — powiedział Uskow. — Lepiej zbadajmy jeszcze przed wieczorem pierwszy krater, a jutro zobaczymy, co będzie dalej.

Poszukiwacze zawrócili. Na drodze często spotykali ślady zwierząt; nad bagnem psy spłoszyły stado kaczek oczywiście tutaj zimujących. Aż ręce zadrżały Pieti, żeby strzelić, ale Uskow surowo zawołał:

— Nie strzelać! — i zamienił spojrzenie z Lubimowem.

Przewodnik skinął głową. Pietia nie rozumiał o co chodzi. Wieczór się zbliżał, kiedy geolodzy wrócili do obozu.

Panowało tu ożywienie. Paliło się duże ognisko. Na jednym rożnie piekł się głuszc, zręcznie złapany przez Łapaj-Muchę wprost na ziemi. Na drugim skwierczały lipienie. Oroczo siedział przy ognisku, a koło niego leżała góra cedrowych orzechów. Agronom przypiekał je na węglach szykując jakiś niezwykle przysmak.

Można było nawet nie pytać o rezultaty poszukiwań. Posępne twarze dosyć wyraźnie mówiły, że dotąd nie znaleziono wyjścia z krateru. Opowiadanie agronoma o spotkaniu z niedźwiedziem wszystkich jednak rozweseliło.

— Zawarliście znajomość?! A więc: „Uściśnij, bracie, dłoń i razem w drogę marsz!” — zaśpiewał Borys.

Ale Uskow zainteresował się tym zdarzeniem.

— Opowiedzcie mi to szczegółowiej — poprosił.

I ku ogólnemu zdziwieniu bardzo uważnie wysłuchał powtórnego opowiadania Oroczi.

Znowu zapadła noc. Druga noc w kraterze.

Znowu poszukiwacze usłyszeli tajemniczy odgłos: głucho, niskie, podobne do dźwięku trąby zawodzenie zawibrowało w powietrzu, aż psy zadrżały, a w sercu Łuki Łukicza obudził się niemal zabobonny lęk.

Uskow i Lubimow w milczeniu zamienili znaczące spojrzenia.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

poświęcony autentycznemu spotkaniu, które nawet autor uważa za niemal fantastyczne

Rano psy podniosły niesamowity rwetes. Wpadały w krzaki, odskakiwały i wściekle ujadały jakby chcąc rzucić się na kogoś.

Wszyscy chwycili strzelby.

Krzaki jałowca poruszyły się. Widocznie ktoś tam stał, nie mając odwagi wyjść na polanę, na której płonęło ognisko. Sądząc z tego, jak psy szczekały i wyły, Lubimow domyślił się co to za wczesny gość przyszedł w odwiedziny.

— Niedźwiedź! Czy to nie twój znajomy zgłosił się do nas, Aleksandrze Aleksiejewiczu? Do nogi! — krzyknął na psy.

Zarośla znowu poruszyły się i rzeczywiście wyjrzał z nich dobrotliwy pysk niedźwiedzia. Wcale się nie bał. Z zainteresowaniem oglądał obóz, ludzi, drżące ze zdenerwowania psy. Lubimow ledwie mógł je utrzymać. Tuj, cały zjeżony, rwał się do walki. Niedźwiedź parskając zrobił kilka kroków i położył się na brzuchu zabawnie wyciągnawszy łapy. Wyglądało to całkiem niedwuznacznie — o coś prosił.

— Oho! Cyrk przyjechał! Chłopaki, kupujcie bilety! — zażartował Łuka Łukicz.

Oroczo poznał swojego leśnego przyjaciela i zdecydował, że nie wypada, po prostu niegrzecznie byłoby udawać, że się nie znają. Wstał i wolno podszedł do misia przyjaźnie wyciągając rękę. Niedźwiedź leniwie podniósł się i tak jak poprzedniego dnia przyjacielsko otarł się bokiem o kożuszek agronoma. Wszyscy w milczeniu obserwowali tę scenę. Gładząc zwierzę, Oroczo uważnie przyglądał się jego szyi, nosowi, uszom. Żadnych śladów obrozy ani rany. Niedźwiedź z całą pewnością nigdy nie był w niewoli. A jednocześnie jest tak dziwnie ufny. Agronom wyciągnął z kieszeni garść podpalonych orzechów i podsunął gościowi. Miś nie kazał się prosić, natychmiast wrzucił je do paszczy i mruknął zadowolony kiwając głową i uprzejmie mrugając.

W tej chwili coś zaszeleściło w krzakach i na polanę wyszły jeszcze dwa niedźwiedzie najwyraźniej łase również na

poczęstunek.

— No, tego już za wiele! — zawołał Uskow i na wszelki wypadek podniósł strzelbę.

Gdy idący na przedzie niedźwiedź zobaczył broń i ten niezbyt przyjazny ruch geologa, podkurczywszy króciutki ogonek natychmiast uciekł razem z towarzyszami.

Zapanowała cisza.

— Niesłychane! — zaczął po chwili Uskow. — Prawdopodobnie nie widziały jeszcze ludzi i dlatego są tak przyjacielskie.

— Wątpię — wtrącił Lubimow. — Doskonale zrozumiały nasz ruch, gdy podnieśliśmy strzelby. Widocznie znają to narzędzie!

— Ale któż by je oswoił? Boją się strzelby, a zarazem tak ufnie podchodzą do ludzi. W ogóle jakoś za dużo dziwów dzieje się w tym kraterze. Oswojone niedźwiedzie, te ścieżki, nieznane ślady — wszystko to nie wychodzi mi z głowy. Czyje to ślady? Jakie zwierzę wydaje podobny do dźwięku trąby głos, który słyszeliśmy w nocy? W każdym razie wiemy już, że dolina nie jest martwa.

Są tu mieszkańcy, może nawet ludzie, i w każdej chwili musimy być przygotowani na spotkanie z nimi.

Zagasiwszy ognisko, poszukiwacze ruszyli w drogę, w stronę wąskiego przesmyku pomiędzy kraterami. Poj stanowili od razu, jeszcze tego dnia, zbadać całą kotlinę j i albo znaleźć z niej wyjście, albo... Trudno było dokończyć tego zdania.

Wkrótce znaleźli się przy wejściu do drugiego krateru.

Przewodnik wskazał ręką: znowu świeże ślady, wyraźne na wilgotnej ziemi. Duże, okrągłe dołki z odciskami palców biegły dwoma łańcuszkami jeden przy drugim. Ale były o wiele mniejsze niż te, które widzieli poprzednio. Średnica ich nie przekraczała trzydziestu centymetrów.

— Poszedł w naszą stronę — powiedział Lubimow po obejrzeniu śladów.

— Nabić strzelby grubym śrutem i trzymać w pogotowiu! — polecił Uskow.

Szli wzdłuż niedawno odkrytego strumienia. Prąd jego stawał się coraz szybszy, teren zaczął się obniżać. Od czasu do czasu widać było małe wodospady. Przezryzste potoki szumiąc spływały na głazy skalne i rozpryskiwały się milionami lśniących pęcherzyków.

Las po obu brzegach strumienia był szczególnie zastanawiający. Oroczo nie mógł zwalczyć pokusy, pomimo

bólu w boku, co chwila schylał się, dokładnie oglądał różne rośliny, układał je w zielniku. Nagle zrobił tak zdziwioną minę i tak wymownie westchnął, że wszyscy stanęli.

— Jęczmień! Naprawdę jęczmień... O, proszę! Przecież to zboże!

Trzymał na dłoni żółte kłoski na króciutkich łodyżkach. Któryż z mieszkańców Północy nie zna jedwabistej trawki, długości około dwudziestu centymetrów, z cieniutkimi, delikatnymi kioskami, przypominającymi jęczmień dwurzędowy? Jakuci, nazywają tę trawkę „jakuckim jęczmieniem”. Niewątpliwie ma ona coś wspólnego z jęczmieniem uprawnym: to samo zboże, tylko nie do poznania odmienione przez surowy klimat. W jego kłosach rzadko trafiają się dojrzałe nasiona — cieniutkie i przezroczyste ziarnka. Żaden selekcjoner dotychczas nie próbował uszlachetnić tej dzikiej rośliny spokrewnionej ze zbożem. Bardzo się jeszcze od niego różni. Ale agronom trzymał w ręku kłosy jakuckiego jęczmienia pełne ziarna, najprawdziwszego ziarna! Łodyżka jęczmienia była gruba i mocna. Ziarnka nie mieściły się w kłosie, do połowy wystawały na zewnątrz.

— Całkiem tego nie mogę zrozumieć — powiedział Oroczo i czym prędzej schował rzadkie okazy do torby. — Botanika wzbogaci się o jeszcze jeden nie znany dotąd gatunek. To coś pośredniego pomiędzy roślinami uprawnymi i ich dzikimi przodkami. Odkrycie!

Towarzysze przynaglali agronoma, musieli się śpieszyć! Ale on wciąż oglądał się i jeszcze długo półgłosem sam do siebie mówił, od czasu do czasu wyjmując z torby cenną i dziwną roślinę, żeby ją znowu obejrzeć.

Zagłębili się w las. Pomiędzy drzewami leżał ogromny płaski kamień, na który Pietia szybko się wdrapał.

— O, jak daleko stąd widać! — krzyknął i przysłoniwszy oczy dłonią zaczął się w coś wpatrywać.

Nagle poczerwieniał, odwrócił się gwałtownie i dźwięcznym, wzruszonym głosem zawołał:

— Wujku Wasia! Szybko! Tam...

W tej chwili dokoła rozległo się wściekle szczekanie psów. Poszukiwacze chwycili strzelby. Szczęknęły kurki. W zaroślach słychać było zbliżający się trzask. Jakieś zwierzę duże, ciężkie, pewne swojej siły, przedzierało się tratując krzaki. Psy bohatersko rzuciły się na spotkanie niebezpieczeństwa.

— Na górę! — rozkazał Uskow i wszyscy wskoczyli na płaską skałę.

Z gęstwiny wyrzał potężny łeb z ogromnymi rogami na nosie. Łeb straszego, dziwaczego zwierza. Wydając jakiś szczególny odgłos, ni to chrząkanie, ni to głuchy klekot, zwierzę rzuciło się ze schyłym łbem na psy i... przebiegło koło nich. Nie przestając szczekać dla dodania sobie odwagi, Tuj i Kawa natychmiast wzięły zwierza pomiędzy siebie i śmiało chwyciły za długą, zwisającą do ziemi, buroczarną sierść. Chociaż siły zwierząt były bardzo nierówne, odwaga tych małych hałaśliwych wrogów oszołomiła potwora. Na ułamek sekundy stanął zdumiony i rozejrzał się. W tej chwili z góry padło sześć strzałów. Jakby piorun przemknął nad cichym lasem. Wszystko dookoła zadrżało. Jedna kula rykoszetem uderzyła o rogi zwierza i gwizdząc poleciała w bok. Ale inne wbiły się w potężny łeb i ciało potwora. Zastygł na miejscu. Z prawego oka, które przebiła śmiertelna kula, trysnęła fontanna krwi. Jeszcze sześć strzałów wstrząsnęło powietrzem. Drgnęło ogromne cielsko, z paszczy wyrwało się niskie, potężne ni to skomlenie, ni to wycie — dziwny zwierz zaczął się rzucać i padł, omal nie zadusiwszy zbyt śmiałej Kawy.

Grzmot wystrzałów przeleciał ponad lasem, odbił się od stromych ścian skalnych. Echo napełniło kotlinę i wąwozy, wszystko, co żyło w lesie, zostało uprzedzone, że w kraterze zjawili się nowi gospodarze — ludzie.

Wstrząśnięci tym, co się stało, geolodzy długo milczeli. Psy widząc pokonanego zwierza ostrożnie obchodziły go ze wszystkich stron i wciągały nieznanymi zapachami.

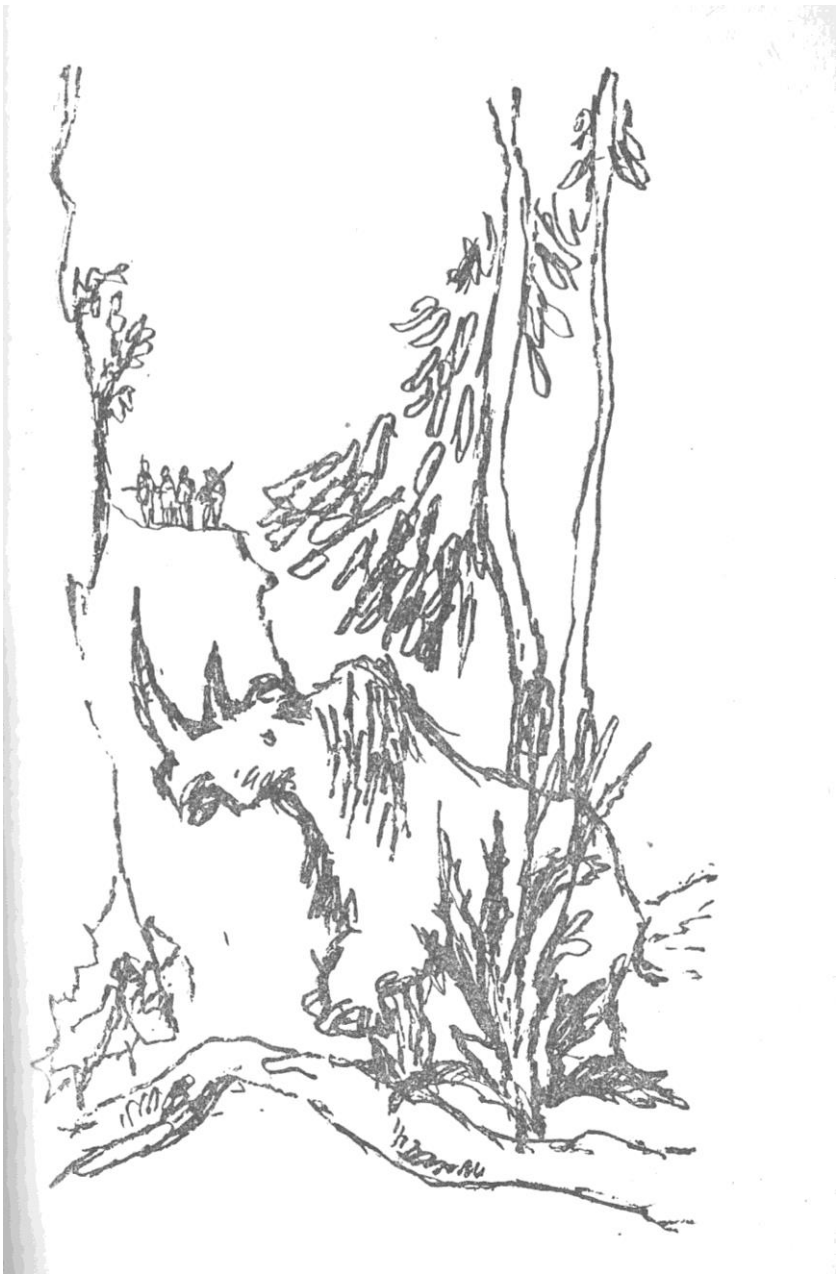
Uskow i Oroczo spojrzeli po sobie. A więc to tak! Obaj pomyśleli to samo.

— Wiem, co to jest! — powiedział także Pietia. — Widziałem rysunek takiego zwierza w podręczniku szkolnym. To nosorożec kosmaty. Żył w czasach prehistorycznych...

— Tak, to kosmaty nosorożec — potwierdził geolog. — Era kenozoiczna, okres ostatnich zlodowaceń... czwartorzęd. A więc to tak. Oto kto mieszka w tej jamie odgrozionej od całego świata!

Zeszli ze skały i zbliżyli się do potwora.

Wyobraźcie sobie dzisiejszego nosorożca, ale trzykrotnie większego. Zamiast gęsto sfaldowanej nagiej skóry pancernej okrywa go — od potężnego łba do nasady stosun-



kowo za krótkiego ogona — długa, czarnobrazowa szorstka sierść, zbita i skłębiona. Zwisa z brzucha i nóg grubych jak pnie, niemal całkowicie zakrywa małe uszki — okrągłe, zalepione błotem otwory w olbrzymim łbie.

Co za łeb! Jedyne najbardziej złośliwa fantazja mogła stworzyć takie cudactwo. Łeb wielkości prawie jednej trzeciej całej tuszy. Od szyi do paszczy około dwóch metrów, gdy cała długość zwierza wynosi niecałe siedem metrów. Małe, szeroko rozstawione po bokach opancerzonego czoła, świńskie oczki całkiem nie odpowiadają rozmiarom wszystkich pozostałych części cielska, wyglądają jak zapożyczone od innego mniejszego zwierzęcia. Ale najciekawsze i najdziwniejsze są dwa rogi. Na końcu nosa wyrasta jeden półmetrowej wysokości róg, którego średnica u nasady wynosi około piętnastu centymetrów. Jest umazany ziemią, w której jeszcze tego ranka rył ten przodek współczesnego nosorożca. Drugi róg, długości tylko dwudziestu centymetrów, wyrasta o jakieś siedemdziesiąt centymetrów za pierwszym, trochę poniżej linii oczu. Do czego miał służyć drugi róg — trudno powiedzieć, ale dodawał bestii jeszcze bardziej okrutnego i niesamowitego wyglądu.

Ogromna paszcza, w której z łatwością mógłby się zmieścić baran, sądząc z ilości płaskich ostrych kłów, zdolna jest do pożarcia każdego pożywienia — zarówno korzeni, jak żywego mięsa.

I oto ten mieszkaniec dalekich, dawno minionych epok, leżał teraz martwy u nóg poszukiwaczy. Wprost trudno było uwierzyć! Była zima 1947 roku. Nad nimi świeciło blade słońce, dokoła rozpościerał się spokojny krajobraz, wszystko wydawało się proste i naturalne — a tu nagle olbrzymie cielsko zwierza.

— No, no, no! — z uznaniem powiedział Pietia ostukując młotkiem geologicznym czerep nosorożca. — Patrz, Łuka Łukicz, twardy jak skała...

— Widzę, widzę. A będziesz jadł kotlety z tego mięsa?

Pietia chciał coś powiedzieć, ale napotkał wzrok Uskowa i natychmiast przypomniał sobie, co go zaniepokoiło przed kilku minutami.

— W tamtej stronie widać dym! — zawołał. — Ze skały dobrze widziałem.

Rzeczywiście, w dalszej, niżej położonej części drugiego krateru, o parę kilometrów od geologów, za błyszczącym pośród łąk i lasów jeziorem unosił się słup dymu. Niewątpliwie byli tam ludzie. Chyba przecież nie współcześni nosorożcowi?!

— Nie — zdecydowanie powiedział Uskow, widocznie nie mogąc się opędzić własnym myślom. — Nie, to nie możliwe! To zwykli ludzie, nasi ludzie. Chodźmy...

Zostawiwszy zabitego nosorożca, oddział ruszył w stronę jeziora, wciąż trzymając się blisko pionowej ściany skalnej po prawej stronie.

Las, bezkresny las. Dalej, duża, chyba dwustuhektarowa polana porośnięta wysoką trawą. Spokojnie pasą się na niej barany górskie. Na widok ludzi przywódca stada prycha. Wszystkie naraz odwracają głowy w stronę podróżnych i z uwagą, ale całkiem spokojnie, obserwują. Geolodzy przechodzą koło nich, z trudem utrzymując wyrywające się psy. Ani jeden baran nie uciekł, nie przestraszył się. Czyli zwierzęta nie tylko doskonale znają ludzi, ale uważają ich za przyjaciół. Uskow niecierpliwi się. Przyśpiesza kroku. Domysły jego znajdują potwierdzenie...

Po chwili przed geologami wyrasta urwisko pełne różnych wgłębień i szczelin. Z jednej szczeliny wypływa gorący strumień. Bucha para. Woda prawie kipi. Dokoła pachnie siarką, stęchłymi jajami — nie ma żadnej roślinności, tylko naga skała.

— Źródło lecznicze — stwierdza Oroczo. — Siarkowodorowe.

Zmierzają w stronę, w której wyraźnie już widać dym.

Ominąwszy dużą grupę drzew ogołoconych z liści (Oroczo stwierdził, że obok klonów były tam jesiony) geolodzy szybko przecięli zieloną łąkę i skierowali się wprost do lasu. Strzegły go na skraju olbrzymie cedry, rzucające gęsty, długi cień na słoneczną łąkę.

Bez namysłu weszli w ten cień, pozostawiając psy na łące.

Nagle poruszyła się choina, ktoś potrząsnął drzewami, zatrzeszczały gałęzie. Tuj i Kawa przypadły do nóg ludzi. Wszyscy stanęli, z napięciem wpatrując się w skraj lasu. Ręce ścisnęły strzelby.

W tej chwili nastąpiło coś, czego nikt nie mógł sobie nawet wyobrazić.

Z lasu wyszły jakieś nieznane ciemnoszare olbrzymy. Najpierw na wysokości trzech metrów ukazały się zagięte śnieżnobiałe kły, potem szerokie czoła i wreszcie cudaczne głowy ze zwisającymi trąbami. Trzask łamanych gałęzi, krótki, ciężki tupot i oto przed zdumionymi, wystraszonymi ludźmi stanęły dwa mamuty, przedstawiciele odległej epoki w dziejach ziemi.

Stoją w milczeniu, nastroszone, wyczekująco machając długimi trąbami, niby strażnicy zaczarowanego lasu, do którego niewtajemniczeni nie mają prawa wstępu.

Strzelby są gotowe do strzału. Ale cóż strzelba może

zrobić tym czterometrowym włochatym przodkom słońia?

Uskow szepcze tylko jedno słowo: „Spokój”... W krzakach znowu rozlega się trzask. Między olbrzymami nieoczekiwanie stanął człowiek. Tak, człowiek!

Od stóp do głowy ubrany jest w brązowe skóry. Długa, prawie do pasa biała broda, białe miękkie włosy, które wiatr lekko rozwiewa, uważny i jednocześnie pełen zdziwienia wzrok — oto co przede wszystkim dostrzegają oszołomieni geolodzy. Widok jest tak fantastyczny i nieoczekiwany, że ludzie nie potrafią nawet mówić i dziwić się. Milczą.

A człowiek wciąż stoi pomiędzy mamutami, opierając się na ich wygiętych kłach. Z najwyższym zdumieniem patrzy na przybyszów, którzy zjawili się w jego państwie. Następnie, z trudem otwierając usta, mówi głuchym, ale silnym głosem:

— Kim jesteście? I jak dostaliście się tutaj?

Uskow opuścił broń, zrobił krok naprzód, uśmiechnął



się, wyciągnął rękę i powiedział coś, co wszystkich zaskoczyło, a jednocześnie rozwiązało całą zagadkę:

— Cieszymy się widząc was w dobrym zdrowiu, towarzyszu Sperański.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Początek znajomości. — Nauka o życiu współczesnym. — Dzik i Łas

Starzec zakrył twarz rękami i zachwiał się. Borys szybko wziął go pod ramię. Sperański rozplakał się. Skąpe, starcze łzy przeciekały mu pomiędzy palcami, z piersi wydobywał się głuchy szloch.

Szeptał coś, ścisnął ręce nieznajomych i usiłował się uśmiechnąć. Poszukiwacze otoczyli starca, nie wiedząc jak się zachować, co powiedzieć. Wszyscy byli głęboko wzruszeni. Sperański przeżył samotnie trzydzieści lat i nagle — ludzie! Na domiar wszystkiego przybysze z dalekiego świata, o którym już prawie zapomniał, znają go, wymieniają jego nazwisko, nazywają „towarzyszem”.

— Drodzy przyjaciele, wybaczcie mi łzy, przepraszam tysiakkrotnie... — powiedział głucho. — Niezależnie od tego, kim jesteście, witam was jako swoich długo oczekiwanych wybawców. Nie możecie sobie wyobrazić, co się ze mną dzieje... Błogosławię ten szczęśliwy dzień i cieszą się nieskończenie, że widzę was, towarzysze...

Rozłożył ramiona szeroko, objął i ucałował Uskowa, a potem wszystkich pozostałych. Łzy nieustannie toczyły się po pobrużdżonej twarzy starca. Łapaj-Mucha również płakał, uśmiechając się przez łzy. Pietia odwrócił się i gryzł wargi, ukradkiem wycierając oczy. Co za spotkanie! Któż by mógł przypuścić, że na dnie krateru zobaczą człowieka, o którym myśleli, że nie żyje, o którego śmierci nie wątpili, bo trudno było wątpić!

Kiedy wreszcie wszyscy trochę się uspokoili, Uskow znowu wyciągnął rękę do Sperańskiego:

— Dopiero niedawno dowiedzieliśmy się o waszym losie, i to tylko dzięki przypadkowi. Pozwólcie, drogi doktorze, że w imieniu naszej odrodzonej ojczyzny, Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich, powitam w waszej osobie czcigodnego obywatela i zapewnię o głębokim szacunku i wdzięczności Rosji za wszystko, co zrobiliście

w latach przedrewolucyjnych dla zwycięstwa idei socjalizmu.

Zamienili mocny uścisk dłoni. Sperański promiennym wzrokiem patrzył na nowych przyjaciół, dotykał ich ubrania, obejmował kolejno, ścisnął ręce jakby chcąc upewnić się, że to, co się stało, jest rzeczywistością.

— Ale skąd mnie znacie, towarzysze? W jaki sposób dowiedzieliście się o moim losie? I jaki przypadek pomógł wam odkryć, gdzie się znajduję? Czyżby Iwanow żył? Ale przecież musiał być pewien, że zginąłem...

— Niestety! Nikita Iwanow dawno śpi snem wiecznym. Znaleźliśmy jego zwłoki w odległości kilku dni drogi stąd. Gdy utracił was, stracił też resztki sił fizycznych i moralnych i nie mógł już pokonać trudów, które udawało się wam pokonywać wspólnie. Pozostawił jednak notatki i one to właśnie doprowadziły nas tutaj. Kiedy nie miał już nadziei odszukania was, ruszył w dalszą drogę samotnie. Po przejściu około osiemdziesięciu kilometrów na południe od nieszczęśliwej jaskini wpadł w połynię, odmroził sobie nogi i umarł z powodu zgorzeli w jarandze pewnego jakuckiego myśliwego, niedaleko stąd, w Złotej Dolinie. My, geolodzy, przypadkowo natrafiliśmy na grób Iwanowa i znaleźliśmy jego dziennik. Dzięki jego wskazówkom przyszliśmy tutaj i oto spotkaliśmy was... Od razu więc domyśliłem się...

Podczas całej tej sceny nikt nie zwracał uwagi na mamuty.

Stały nieruchomo jak wykute z kamienia. Ich wielkie uszy były z lekka odgięte do tyłu. Zdawało się, że mądre zwierzęta przysłuchują się dziwnym głosom tych małych istot. Olbrzymy zdumiewały swoim ogromem. Gdyby nie pokrywająca je przeszło metrowej długości sierść, ludzie mogliby swobodnie, trochę tylko schyliwszy głowy, przejść pod ich brzuchami.

W pewnej chwili Sperański podniósł głowę i zdławionym głosem wykrzyknął:

— Ha... Ha... Dzik... Łas... Do domu!

Zwierzęta posłusznie przestawiły swoje nogi-słupy, potrzęsły głowami i wystawiwszy do przodu długie kły, odeszły. Tuj i Kawa, które dawno już wycofały się z placu, widząc, że dziwadła odchodzą, zatoczyły wielkie koło i milczkiem, tchórzliwie, z podkurczonymi ogonami wróciły do swoich panów.

Pietia zapytał ciekawie:

— Czy to mamuty?

— Tak, kochanie, to mamuty — odpowiedział z uśmiechem Sperański. — Najprawdziwsze, żywe mamuty, chyba jedyne na świecie okazy epoki lodowcowej. Wprawdzie to bardzo dziwne, ale udało im się dożyć naszych czasów. Porozmawiamy jeszcze o tym, młody przyjacielu. Pewnie jesteś gimnazjalistą, prawda?

Pietia, zmieszany, spojrzął na Uskowa. Wszyscy uśmiechnęli się, a geolog wyjaśnił:

— Gimnazja klasyczne zostały u nas skasowane. Zastąpiła je średnia szkoła powszechna — dziesięciolatka. Pietia przeszedł do klasy ósmej.

— Tak, tak... — Sperański potarł czoło, coś sobie przypominając. — Wybaczcie, ale przecież tak daleko odszedłem od obecnego życia. Ostatnie wiadomości, jakie mnie doszły, mówiły o tym, że na początku tysiąc dziewięćset siedemnastego roku wybuchła rewolucja i car abdykował, a w pierwszych dniach kwietnia w Piotrogradzie oczekiwano przyjazdu Lenina, wodza partii bolszewickiej. Włodzimierz Iljicz Uljanow — Lenin... Co się z nim dzieje? Czy żyje?

Łatwo można wyobrazić sobie wzruszenie, z jakim geolodzy z grupy poszukiwawczej Nr 14-bis udzielili pierwszych wiadomości o życiu współczesnym staremu członkowi partii bolszewików, który trzydzieści lat przeżył na dnie krateru z daleka od ludzi.

Uskow jednak bał się, żeby nie zmęczyć staruszka, który dosłownie oniemiał z wrażenia.

— Dosyć na dzisiaj — powiedział uśmiechając się. — Będziecie musieli, Włodzimierzu Iwanowiczu, pilnie pracować, żeby poznać chociaż najważniejsze wydarzenia, jakie zaszły w ciągu tych trzydziestu lat. Ale pomożemy wam...

— Dziękuję, towarzysze. A teraz chodźcie do mnie, do mojej sadyby.

Przecięli las i znaleźli się na brzegu dużego jeziora. Najpierw posuwali się brzegiem, potem zeszli nad wypływający z jeziora strumień, przeszli przez mostek i skierowali się ku zabudowaniom widniejącym na przeciwnym brzegu.

Borys obejrzał się i znowu zobaczył mamuty. Powoli przepływały się w bród przez rzeczkę w jej niższym biegu i widocznie także szły do domu.

— Czemu mamuty mają takie dziwne imiona? — zwró-

cił się do Sperańskiego.

— Dziwne imiona? Dzik i Łas? To przecież po prostu Dziki i Łaskawy. Okazało się, że są to zwierzęta bardzo pojętne, o wybitnie rozwiniętym mózgu. Moi najwierniejsi opiekunowie i robotnicy. Zaraz zobaczycie. Gdyby nie one, nie mógłbym zrobić nawet połowy tego, co zrobiłem.

Mamuty szły miarowym krokiem, w szczególny sposób stawiając nogi parami — obie lewe, potem obie prawe jednocześnie. Przy ruchu kołysało się ogromne, czterometrowe cielsko. Z lekka drgał pod gęstą sierścią pokład tłuszczu, odłożonego na zimę w postaci niedużego garbu tuż za szyją. Kiwały się grubą, niezgrabną trąbą. Chwiały się małe, śmiesznie krótkie ogony.

Dopiero teraz Pietia mógł przyjrzeć się dokładnie oczom mamutów. Tkwiły głęboko, dosyć duże, nieco podłużne, żółtawo połyskujące. Szerokie, płaskie łby zwierząt stopniowo przechodziły w mięsistą trąbę; gdy mamut ją podnosił, zabawnie marszczyła się i paszcza układała się w grymas dobrodusznego uśmiechu. Ale najdziwniejsze wydawały się kły. Gładko wypolerowana kość o średnicy dwudziestu centymetrów zupełnie biała na końcu, bliżej głowy stawała się kremowa, lekko żółtawa. Długość kłów przekraczała trzy metry. Przedziwnie powyginane, rozchodziły się nieco na boki i zakręcały do góry. Ale kiedy mamut spuszczał głowę, kły groźnie wystawały ostrzem do przodu i widać było, że nie ujdzie na sucho zwierzęciu, które odważy się stanąć z mamutem do otwartej walki.

Dzik i Łas widząc swego pana w otoczeniu nie znanych, takich samych jak on istot, zamachały trąbami, podniosły je w górę i ogłuszająco zatrąbiły. Nad doliną przebrzmiał głęboki, wydobywający się jakby spod ziemi, potężny ryk. Przerażone psy przyłgnęły do nóg ludzi. Wielokrotne echo powtórzyło tę fanfarę.

Uskow i Lubimow zamienili spojrzenia. Zrozumieli teraz, co to za dźwięk trąby zaniepokoił ich poprzedniej nocy.

Mamuty zatrąbiły, potem podreptały na miejscu i weszły do zagrody zbudowanej na tyłach domu, trochę się tam jeszcze pokręciły i wkrótce ucichły. Pietia i Borys zajrzeli za ogrodzenie: mamuty stały obok siebie ze spuszczoneymi głowami, zwiesiwszy trąby do samej ziemi. Zbliżała się noc, olbrzymy szykowały się do snu.

Było to naprawdę niezwykle — nagle zobaczyć spokojne, a nawet zadowolone z życia relikty pradawnych epok geologicznych, epoki powstawania człowieka, Nean-

dertalczyków, pithecanthropusów i małą człekokształtnych. Jeszcze jedna zagadka, której rozwiązanie przypadło w udziale grupie geologicznej 14-bis.

Ale nie zapominajmy, że losy grupy nadal były niepokojące. Wystarczyło przecież spojrzeć na Sperańskiego i uprzytomnić sobie, że przeżył w kraterze całe trzydzieści lat, by natychmiast zrodziło się przekonanie: nie ma wyjścia z krateru, droga powrotna została zamknięta na zawsze.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

który przenosi czytelnika do wydarzeń sprzed lat trzydziestu

— ...Koniecznie musieliśmy się wzmocnić świeżym mięsem. A ranny baran uciekł do jaskini. Cóż pozostawało? Jedyne pójść za nim. Nabiłem strzelbę i wszedłem sądząc, że bez trudu, szybko dopędzę zwierzę. Ale jaskinia była głębsza niż przypuszczałem. Zalegał ją kompletny mrok. Musiałem wrócić. Nikita Piotrowicz zrobił mi popochodnię i poszedłem znowu.

Baran, którego ścigałem, leżał za skałą ciężko dysząc. Ledwie jednak podniosłem strzelbę, zerwał się i skoczył w głąb jaskini. Znowu musiałem przejść za nim jakieś dwieście czy trzysta metrów. Zdziwiło mnie, że w jaskini, tak daleko od wejścia, widać wiele śladów różnych zwierząt. W innych okolicznościach zastanowiłbym się nad tym, ale wtenczas nie myślałem o badaniach, musiałem dopędzić barana. Pewien odcinek przeszedłem pochylony, ze strachem patrząc na zwieszający się nisko strop. Ogarnął mnie jednak taki zapach myśliwski, a poza tym tak bardzo potrzebowaliśmy żywności, że bez wahania rzuciłem się naprzód.

Wreszcie znowu zobaczyłem ranne zwierzę. Zmierzyłem się i strzeliłem. W tej chwili za mną runęła ściana. Widocznie strop skalny ledwie się trzymał i od mocnego wstrząsu powietrza runął. Padłem na ziemię. Pochodnia zgasała. Na pewien czas straciłem przytomność. Gdy się ocknąłem, namacałem strzelbę, skrzesalem ogień i zapaliłem wciąż jeszcze tłące się gałązki mojej pochodni.

Niestety, powrót już miałem odcięty: zaważyło się całe sklepienie jaskini. Nie, nawet nie zaważyło się, lecz po prostu opadło. I to wszystko. Nie ma ani jednej szczeliny. Ogarnia mnie zgroza. Cisza wprost przytłacza. Krzyczę. Walę w ścianę. Ale nikt już mi nie może pomóc. Jestem żywcem pogrzebany!...

Mam broń i, oczywiście, mogę od razu przerwać mękę. Ale jestem przecież rewolucjonistą! Tyle przeżyć, przemyśleć, pokonać, żyć myślą o wolności, walczyć o wolność i nagle... Nie, tego nie zrobię! Zamyśliłem się. Wówczas przypomniałem sobie, że widziałem w jaskini ślady. Dokąd więc chodziły zwierzęta? Czy to nie świadczy o tym, że jaskinia ma drugie wyjście? Ożywiony nadzieją, idę naprzód oświetlając

sobie drogę tłącą się gałązką. Kiedy pochodnia się dopaliła, zacisnąwszy zęby zacząłem czołgać się w ciemnościach...

— Nie taję, jak ciężko mi nawet o tym wspominać — powiedział starzec po dłuższej przerwie. — Wkrótce poczułem, że siły mnie opuszczają i wyczerpuje się wola życia. Z wielkim trudem zmusiłem się, żeby pełznąć dalej. Nagle zobaczyłem światło. Najpierw mglistą plamę, a potem strzępek nieba! Zerwałem się, pobiegłem i jednak wydostałem się. Wtedy dopiero ogarnęło mnie osłabienie. Siadłem przy wyjściu i nie wiem, jak długo przesiedziałem z zamkniętymi oczami.

Nade mną znowu świeciło słońce. O kilkadziesiąt metrów dalej zaczynał się las, za lasem błyszczała rzeka i mimo woli zacząłem myśleć, czy aby nie majaczą. Przecież jest listopad, trzaskający mróz, a tu tylko powiewa leciutki wiaterek, zielenią się ogromne cedry czy sosny, szemrze nie zamarznięta woda, rozpościera się znany widok lasów Rosji środkowej. Przywidzenie? Halucynacja?

Dzień, w którym wydostałem się z jaskini, stał się pierwszym dniem mojego nowego kalendarza.

Sperański umilkł i popadł w zadumę. A jeśli chodzi o naszych poszukiwaczy... Słuchali opowiadania doktora Sperańskiego ze szczególnym zainteresowaniem: wszak koniec jego przygód mógł stać się początkiem ich własnego „nowego kalendarza”.

Toteż kierownik wyprawy zadał pełne trwogi pytanie:

— A więc nie ma stąd wyjścia?

— Tak, drodzy towarzysze — z rezygnacją odpowiedział Sperański. — Nie ma wyjścia. Gdy zobaczyłem was, pomyślałem, że potrafiliście w jakiś sposób znaleźć drogę. Ale jeśli dostaliście się tutaj nie z własnej woli, lecz na skutek katastrofy, z żalem muszę wam powiedzieć szczerą prawdę: to pułapka! Bez pomocy z zewnątrz nie można się stąd wydostać. Niestety...

Sperański surowo ściągnął brwi. Z mądrych, jasnych oczu starca wyglądał niepokój teraz już nie o sobie, lecz o tych ludzi, którzy byli przedstawicielami nowego, jeszcze nie znanego mu społeczeństwa, powstałego w chwili, gdy on stał się więźniem przyrody.

— Nie ma wyjścia? — mimo woli powtórzył Uskow. — Ale my je znajdziemy, na pewno znajdziemy albo zrobimy sami. Nie podzielam waszego pesymizmu, drogi doktorze! Byliście samotni, a teraz jest nas jednak siedmiu. I poza tym... Nie wiem, jak to wytłumaczyć. Jesteście

starym bolszewikiem, ale nie znacie naszego nowego hasła: „Nie ma takiej przeszkody, której by bolszewicy nie zdołali przezwyciężyć”. Z tym hasłem góry poruszaliśmy z miejsca... Dlatego po prostu nie umiemy tracić energii, upadać na duchu, pogrążyć się w rozpacz... Na pewno wydostaniemy się stąd wszyscy.

Sperański wstał i podszedł do Uskowa.

— Teraz rozumiem — powiedział wyciągając rękę — że Rosja przeżyła prawdziwą rewolucję socjalistyczną. Tak mogą rozumować ludzie wychowani w zasadach Włodzimierza Iljicza. Wierzę, że wszystko będzie jak najlepiej. Walczmy razem, pracujmy razem! Jeszcze pojedę do domu, do Piotrogradu, na Wyspę Wasilijewską!

Po krótkiej pauzie ciągnął dalej, zwalczając zakłopotanie:

— Powiem otwarcie: pomimo że nie widziałem możliwości wydostania się stąd, przez te wszystkie lata nie żyłem tylko dla siebie. Chcę powiedzieć, że żyłem nie tylko po to, żeby gotować sobie jedzenie — wyjaśnił z uśmiechem. — Pracowałem, chciałem pozostać człowiekiem. Nie wiem czemu, ale wierzyłem, że wcześniej czy później ludzie przyjdą i pomogą mi wrócić do Rosji. Nie siedziałem z założonymi rękami. Muszę powiedzieć po prostu, że kopalnie złota, które odkryłem wraz z Iwanowem, to drobiazg w porównaniu ze skarbami znalezionymi tutaj, w kraterze, i że będę szczęśliwy oddając je naszemu nowemu państwu. A jeśli chodzi o naukę, jakże wzbogaci się nasza paleontologia, paleobotanika, cała historia ziemi, kiedy ludzkość ujrzy ten prastary świat, w cudowny sposób zachowany w stanie nienaruszonym, jak w epoce lodowcowej! Ileż nowego znajdzie się tu w najstarszych warstwach ziemi, które teraz można będzie zbadać. Naprawdę — warto było przeżyć to, co przeżyłem, jeśli w końcu można sprawić ludzkości taki podarek. Jestem także pewien, że jeśli wszyscy będziemy szukać, znajdziemy wyjście z krateru.

Sperański mówił wolno, z przerwami. Robiło to wrażenie, że wsłuchuje się we własne słowa, zatrzymując się po każdym zdaniu. Czy milczał przez te wszystkie lata? Czy rozmawiał chociaż sam ze sobą, ze swoimi zwierzętami? Uskow słuchał go uważnie. Nie, mowa zupełnie prawidłowa i myśl jasna. Jakby odpowiadając na jego nieme pytanie Sperański ciągnął:

— Trudno mi mówić. Muszę się przyznać, że najwięcej męczył mnie w ciągu tych lat brak rozmówcy i... papieru.

Zwłaszcza w pierwszym okresie. Przeszło rok nic nie mogłem zapisać. Nawet zacząłem coraz mniej i coraz rzadziej rozmawiać ze sobą. Pewnego dnia zorientowałem się, że dźwięk własnego głosu wydaje mi się obcy. Zrozumiałem: jeszcze trochę i odzwyczaję się od mowy ludzkiej, stanę się takim półczłowiekiem, półzwierzęciem, jak nieszczęsny Ayrton z „Tajemniczej wyspy” Jules Verne’a. Po długich rozmyślaniach znalazłem radę. Tu, w jednej z jaskiń są gładkie, niby wypolerowane, białe ściany skalne. A na brzegu jeziora skały są czerwone, pochodzenia osadowego i mają własności barwiące. Odkrycie to dało mi „papier” i „pióro”. Zacząłem codziennie zapisywać wszystkie ważniejsze momenty życia. Rok po roku. Poza tym nabrałem zwyczaju odczytywania każdej notatki głośno po parę razy.

Zobaczycie tę jaskinię. Ściany jej zapisałem pędzelkiem na przestrzeni wielu setek metrów. Jest tam cała spowiedź mojego życia, wszystkie szczęśliwe i nieszczęśliwe zdarzenia, wszystkie najważniejsze wypadki. Zrobiłem świecę z koziego tłuszczu i co wieczór z tą świecą w ręku pracowałem w jaskini po kilka godzin jako przypadkowy kronikarz. A potem, jak najpilniejszy uczeń z pierwszej klasy, głośno i wyraźnie kilkakrotnie odczytywałem notatki. Jedyne ta praca pozwoliła mi zachować oblicze ludzkie.

Tegoż wieczoru Sperański wysłuchał opinii Uskowa o pochodzeniu krateru i zgodził się z nią. Tak, Erszot to stary wulkan w systemie górskim Azji północno-wschodniej. Wygasł co najmniej półtora, a może nawet dwa miliony lat temu, pozostawiwszy po sobie na wieki pamiątkę w postaci stożkowatej, lekko wydłużonej góry z ogromnym wgłębieniem podwójnego krateru na wierzchołku. Czas robił swoje... Wgłębienie było stopniowo zasypywane odłamkami skał, kamieniami, piaskiem. Dno krateru podnosiło się, wyrównywało, ogień podziemny wygaszał, cofał się w głąb. Minęło wiele tysięcy lat i w kraterze ukazały się pierwsze rośliny, a potem powstała gleba. Procesy w kraterze zachodziły szybciej niż zazwyczaj dzieje się to w północnych szerokościach geograficznych: sprzyjało temu ciepło podziemne. Przez nieznanne szczeliny wydobywało się ono na powierzchnię skorupy ziemskiej, ogrzewało glebę i wreszcie cały olbrzymi lej krateru zaczął przypominać ogromne inspekty. Zimą wielki mróz „atakuję” krater z wierzchu. Na spotkanie mrozu z ziemi

podnoszą się fale ciepłego powietrza. Na pewnej wysokości te fale powietrza stykają się i wówczas powstaje gęsta mgła. Oto dlatego w ciągu sześciu czy siedmiu miesięcy w roku mgła kłębi się nad kraterem i nad wierzchołkiem Erszotu. Sama przyroda chroni rezerwat przed ciekawym wzrokiem ludzi.

Oroczo słuchał Sperańskiego z wzrastającym zainteresowaniem. Teraz wszystko stawało się jasne.

Niegdyś u progu nowej ery kenozoicznej, ziemia bardzo szybko zmieniała szatę roślinną. Zginęły prawie wszystkie zarodnikowce i nagozalążkowe, które panowały w królestwie roślinnym w epoce tworzenia się węgla kamiennego. Zginęły wspaniałe araukarie, olbrzymie jak drzewa paprocie palmowe, rozwichrzone widłaki. Miejsce ich zajęły rośliny okrytonasienne, z których powstały z czasem rośliny dzisiejsze. Co spowodowało taką przemianę? Uczni długo męczyli się nad rozwiązaniem zagadki. Doszli wreszcie do zgodnego wniosku, że przyczyn należy szukać w szybkiej zmianie klimatu ziemi. Z bardzo wilgotnego stał się suchy, z bardzo ciepłego — umiarkowany lub surowy. Powstawały kontynenty, morza cofały się i spłycały. Wznosiły się pasma górskie i wystrzelały w górę olbrzymie szczyty. Nad planetą wiały suche, złe wichry. Wydelikaczone ciepłym, wilgotnym, cieplarnianym klimatem dotychczasowe rośliny nie przystosowane były do życia w nowych warunkach i ginęły stopniowo, jak niegdyś wyginęły przed nimi wszystkie olbrzymie jaszczury o zmiennej, niestalej temperaturze ciała.

Ale w kraterze wygasłego wulkanu te wielkie przemiany następowały bardzo wolno, z przerwami trwającymi dziesiątki, a może nawet setki tysięcy lat. Liczne dawne rośliny nie wyginęły i troskliwie otulone ciepłą mgłą dożyły naszych czasów.

Z punktu widzenia geologii krater stanowi jakby otwarte muzeum. W wyniku działalności wulkanicznej i tektonicznej najstarsze warstwy ziemi znalazły się tu obok późnych skał osadowych i produktów wybuchów wulkanicznych. Uskow pamiętał, że cały północny wschód Azji już w okresie triasowym ery mezozoicznej znajdował się pod morzem. Ale przedtem, zanim się zapadł, kontynent na tej szerokości geograficznej był istnym królestwem roślinności podzwrotnikowej. Stąd pochodzą najbogatsze w surowej północnej Azji złoża węgla kamiennego, soli i nafty.

O ile ogromna ponura ściana krateru, broniąca leja od

północy, była niemal monolitem, o tyle składająca się z różnych gatunków skał i skutkiem tego bardziej zniszczona przez czas ściana południowa zadziwiła różnorodnością. Warstwy żółtego piaskowca leżały tu obok białego bazaltu; czerwony serdelik występował na tle wapieni, szary granit leżał obok czarnych łupków. Pełna zagadek ściana podziurawiona była mnóstwem jaskiń. Przez jedną z nich w swoim czasie Sperański dostał się do krateru.

Tu i ówdzie przez skałę przesączały się źródła. Opady atmosferyczne, przenikające w głąb ziemi, nieraz pozostawały tam bardzo długo, tysiące lat wędrowały po głębokich szczelinach i stopniowo nabierały nowych właściwości. Woda nasyciała się solami i gazami; mogła stać się szalenie zimna lub piekielnie gorąca, zacząć cuchnąć lub musować, stać się oleistą czy nieprawdopodobnie twardą, radioaktywną. Sperański znalazł sześć różnych źródeł, między innymi narzan i źródło siarkowodorowe, które poznali już i nasi poszukiwacze.

Wszystkie źródła i strumyki w kraterze płynęły do dużego ładnego jeziora, nad którym osiedlił się Sperański.

Teraz pozostaje tylko wyjaśnić, w jaki sposób dostały się do krateru i zachowały się do naszych czasów takie okazy dawno wymarłych gatunków zwierzęcych, jak mamuty, kosmaty nosorożec i inne, z którymi zapoznamy się w przeszłości.

Sperański tak to wytłumaczył:

— W trzeciorzędzie rozpoczęły się, jak wiadomo, nowe gwałtowne przemiany geologiczne. Powstawało wiele łądów, zwłaszcza w całej Azji północno-wschodniej. Klimat zmienił się tu gwałtownie, stał się bardzo surowy, podobny do obecnego. Żyjące w morzach ciepłych jaszczury i liczne ssaki oczywiście wymarły, albo uciekły na południe. Pozostały tylko te zwierzęta, które były najbardziej przystosowane do nowych warunków, nie obawiały się zimna ani śniegu. W poszukiwaniu żywności i legowisk niektóre napotkały znaną nam jaskinię. Widocznie w owych czasach była ona obszerniejsza i wyższa. Liczne zwierzęta, między innymi mamuty, przeszły przez jaskinię i dostały się do krateru. Znalazły pożywienie i cieplejszy klimat. Zupełnie więc zrozumiałe, że tu pozostały.

W owych odległych czasach zjawili się też w kraterze ludzie. Mam w tej chwili zupełnie pewne podstawy, żeby tak utrzymywać, bo wkrótce sami będziecie mogli zoba-

czyć miejsca dawnych leży zimowych w jednej z tutejszych jaskiń.

Trudno stwierdzić, ile mamutów było w kraterze. W pobliżu miejsca, w którym zesłiście do krateru, znajduje się ich cmentarz. Leży tam góra kości i kłów, jeszcze na pół zasypanych piaskiem i kamieniami.

Mijały tysiące lat. Jedyne łączące krater ze światem zewnętrznym przejście stopniowo zmniejszało się, osiadało. Droga została wreszcie odcięta i krater zaczął żyć własnym życiem. Nigdy nie brakowało tu paszy, a czas mało zmieniał faunę i florę tego zamkniętego świata. Przez niską i wąską jaskinię tylko małe zwierzęta swobodnie wchodziły i wychodziły.

Mamuty pozostały w kraterze, ale warunki życia widocznie nie sprzyjały ich rozmnożeniu. Moi pomocnicy i przyjaciele, Dzik i Łas, są ostatni. Obaj są jeszcze młodzi, nie mają nawet po osiemdziesiąt lat. Razem z mamutami mieszka tu jeszcze jeden olbrzymi dwurogi nosorożec, niszczyciel wszystkiego, co stworzyłem własną pracą. Nie mogę się od niego w żaden sposób uwolnić, ponieważ moja strzelba umilkła już przed wielu laty.

— Nosorożec już nie żyje — powiedział Lubimow. — Spotkaliśmy go w lesie.

— Ach tak?! A więc huk wystrzałów, który nappełnił mnie radością i nadzieją, oznajmił śmierć nosorożca? No, cóż... Nauka oczywiście trochę na tym straci, ale za to wszyscy będziemy mieli znacznie większy spokój. Odeszliśmy jednak od tematu. Pozwólcie, że dokończę mojej myśli. Chcę powiedzieć, że pierwsi ludzie, którzy długo tu mieszkali, uciekli albo zginęli. Zwierzęta nie potrafiły stąd wyjść. I oto przed trzydziestu laty jaskinia, jak już wiecie, zawałiła się ostatecznie, całkowicie izolując krater z jego niezwykłym życiem od reszty świata. Winowajcą katastrofy jest wasz pokorny sługa. Zrządzeniem losu znalazłem się twarzą w twarz z licznymi zagadkami przyrody i zacząłem nowe życie. Jeśli nie zmęczycie się słuchaniem, chętnie o tym opowiem.

— Ale gdzie tam! Bardzo prosimy! — zawołali geolodzy. — Chyba, że zmęczycie się słuchaniem...

Sperański odpowiedział z humorem:

— Trzydzieści lat milczałem. Teraz mogę trzydzieści lat mówić bez przerwy i wcale mnie to nie zmęczy...

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

w którym Sperański kontynuuje swoje zadziwiające opowiadanie

— Noc zastała mnie przed wejściem do jaskini. Chciałem powrócić do Nikity Piotrowicza. Ale w jaki sposób? Nad jaskinią wznosiła się pionowa gładka ściana. Zaczęło się oziębiać.

Postanowiłem rozpałcić ognisko koło wylotu jaskini i przespać się, a rano szukać wyjścia. Nie mogłem jednak usnąć.

Wydało mi się nagle, że tuż obok ktoś ciężko dyszy. Zerwałem się szybko i złapałem strzelbę. Ognisko ledwie się tliło. Z tyłu, za krzakiem, poruszał się jakiś ogromny, czarny kształt. Co to? Zwierzę? Ptak? Czy tylko przywidzenie? Strzelać? Wyrwałem z ogniska tlejącą się głownię i gwałtownie cisnąłem w ciemność. Płomień buchnął, na chwilę oświetlił ogromny kudłaty łeb, błysnęły białe kły, rozległ się ryk i ciężki tupot. Serce mi zamarło. Urojenie? Ale wyraźnie przecież widziałem głowę słonia, mogłem przysiąc... Senność odleciała natychmiast. Drżący siadłem przy ogniu.

Minęła mniej więcej godzina. Gdzieś z daleka, z lasu, parę razy dobiegł głos jakiegoś wielkiego zwierza, ruch, nawoływanie ptaka, ale potem wszystko ucichło.

Zacząłem się już uspokajać, gdy nagle usłyszałem szybki tętent i głos przerażenia. Baran górski wbiegł w krąg światła bijącego od mojego ogniska. Za nim jak kula wpadł wilk, nie zwrócił na mnie wcale uwagi i zaczął go szarpać. Złożyłem się do strzału i zabiłem wilka. Barana również. Wszystko trwało kilka sekund.

Posiliwszy się pieczonym mięsem zasnąłem i spałem do samego rana. Rano ostatecznie upewniłem się, że jestem w pułapce. Wysokie, pionowe ściany otaczały dolinę ze wszystkich stron.

Jeszcze dwa dni krążyłem dokoła szukając wyjścia. Strzelałem w powietrze sądząc, że Iwanow usłyszy, ale stopniowo zacząłem rozumieć, że o tym nawet nie mam już co marzyć. Pożegnałem się w myślach z moim przyjaciелеm i towarzyszem podróży. Wybrałem niedużą jaskinię w południowej ścianie na wysokości około trzech

metrów nad ziemią, zbudowałem małą drabinę, zrobiłem zapas drewna i zamieszkałem w tym bezpiecznym schronieniu. Zresztą to moje pierwsze mieszkanie oddało mi później nieocenioną przysługę, jeśli chodzi o oswojenie mamutów. Właśnie z tego wygodnego wzniesienia mamuty przyzwyczyły się brać przygotowaną dla nich żywność i z czasem zaczęły uważać mnie za swego pana.

Ale jeszcze do tego powrócimy.

Zimą aż do końca marca spędziłem w jaskini żywiąc się mięsem i rybami, które łowiłem w strumieniu za pomocą zwykłej wierszy i prętów łoży. Pełno tu w jeziorach delikatnych lipieni i nelm.

Polując, doskonale poznałem świat zwierzęcy swojej posiadłości. O, jest to szczególnie świat, dziwny i okrutny. W kraterze było wówczas dużo wilków. Pożerały mnóstwo baranów i jeleni. Właściwie już przy mnie zdążyły one doszczętnie wyniszczyć ostatnie jelenie...

— Strzelaliście do wilków? — zapytał z zainteresowaniem Pietia.

— Nie, musiałem szanować naboje. Mało ich miałem. Obserwując życie zwierząt w kraterze, przekonałem się, że wilki są wprawdzie silne i zręczne, mają jednak silnego i groźnego wroga, który ich nienawidzi — wrogiem tym jest nosorożec. Chociaż może się to wydać dziwne, ale te niezgrabne potwory stają się zdumiewająco zręczne, jeśli chodzi o polowanie na wilki. Nosorożce całe dni biegały za stadami tych drapieżników i zapędziwszy je wreszcie w jakiś kąt pomiędzy skałami, pożerały z dziką furją. Są tu również niedźwiedzie. Wiem o istnieniu dwudziestu. Jestem z nimi w dobrych sąsiedzkich stosunkach. W ciągu pierwszych dni widziałem barany, zające i lisy. Kręciły się wydry i jeże. Tysiące kaczek, gęsi i łabędzi siadały w czasie przelotów na naszym jeziorze, wiele ich zaaklimatyzowało się i nawet pozostawało na zimę.

Wziąłem od przyrody na przechowanie cztery mamuty. Dwa stare zmarły śmiercią naturalną w trzy lata po moim przybyciu. Znalazłem także dwa kosmate nosorożce, jednego bardzo starego niedźwiedzia jaskiniowego i trzy ogromne jelenie. To już wszystko, co zastałem tutaj ze świata zwierzęcego epoki lodowcowej.



Nieraz przychodziła mi na myśl postać nieśmiertelnego bohatera Defoe'go — Robinsona Kruzoe. Cóż, wiele wspólnego miały nasze losy. On również był odcięty od świata i pozostawiony sam sobie. Co prawda Robinson z łaski autora, jak to mówią, miał szczęście. Znalazł koło swojej wysepki rozbity przez burzę statek i zabrał z niego mnóstwo potrzebnych mu przedmiotów. Ja nie miałem takiego skarbu. Wszystko, co posiadałem, to dubeltówka, trochę naboju, siekiera, nóż i w worku z rzeczami garstka nasion różnych warzyw. Nigdy nie wiadomo, co się kiedy przyda! Nie chciałem brać ze sobą tych nasion. Po co mi to? Słyszane rzeczy, żeby ktoś, kto ucieka z zesłania i ma przed sobą tysiące kilometrów drogi piechotą przez tajgę, i to jeszcze w zimie, brał ze sobą choćby odrobinę zbytecznego bagażu! Ale w zapadłym kącie, w którym tkwiłszy obaj z Iwanowem, mieszkał stary selekcjoner, samouk. Był to ciekawy staruszek! Ledwie umiał czytać, a jednak mógłby zostać wielkim uczonym. Wyobraźcie sobie, że zajął się uprawą warzyw na dalekiej północy. Zesłańcy sprowadzali mu nasiona z Petersburga, a on wysiewał je, krzyżował, w różny sposób hartował i wreszcie wyprowadził odporne na mróz gatunki prawie wszystkich naszych warzyw. Pomyślcie tylko: w tych stronach nagle kapusta, marchew, rzodkiew... Wziąłem więc od niego funt różnych nasion i trochę jęczmienia, żeby opowiedzieć o staruszku naszym uczonym. Ciężko mi było nosić cały mój tobiół, wiele z niego powyrzucałem i o mało nie wyrzuciłem też nasion. Ale jakoś nie miałem sumienia. Za to jakże mi się przydały, kiedy dostałem się tutaj! Zresztą opowiem kolejno.

Mijały dni i miesiące. Na ścianie jaskini przybywało rys — był to mój kalendarz. Musiałem zbudować dom i założyć ogród: zbliżała się wiosna. Wtenczas właśnie przyszło mi na myśl, żeby wykorzystać mamuty. Natura obdarzyła te dziwaczne zwierzęta spostrzegawczością i rozumem. Mamuty całymi godzinami stały nad rzeczką i wygrzewały się na wiosennym słońcu zabawiając się oblewaniem się nawzajem strumieniami zimnej wody. Kąpiel, nawet w mróz, była ich ulubionym zajęciem. Zawsze chodziły wszystkie razem, a kiedy stare mamuty poczuły, że śmierć się zbliża, cała rodzina udała się do wschodniej części krateru, gdzie leżały kości ich przodków. Jeden stary mamut chwiejnie podszedł na brzeg urwiska, nogi się pod nim ugięły, ukląkł, potem zwałił się na bok. Po

tygodniu nie żył też drugi. Młode mamuty odczuły śmierć rodziców jak największe nieszczęście; nie odchodziły od ich ciał, ryczały, przestały jeść i wciąż krążyły koło martwych tusz, jakby chcąc namówić je do wstania... A potem rozszoszczone rzuciły się na las, zaczęły łamać i deptać drzewa, ciskać kamieniami, przewracać pnie. Zdawało się, że postanowiły utopić swój żal w tym szaleństwie.

Stopniowo poznałem przyzwyczajenia mamutów i obmyślałem sposób oswojenia ich. Mamuty często mnie widywały, ale uważały widocznie za nędzne, niegodne uwagi stworzenie, chociaż na wszelki wypadek długo jeszcze obchodziły z daleka moje ognisko.

Przyjaźń nasza rozpoczęła się od dnia, kiedy w kraterze rozszalała się burza. Właściwie prawdziwa burza szalała gdzieś za granicami krateru, ale my odczuliśmy ją także. Prawie przez tydzień padał gęsty śnieg, który pokrył łąki i lasy. Barany i jelenie szybciej niż inne zwierzęta potrafiły przystosować się do warunków: zaczęły rozgrzebywać śnieg i dosyć prędko znajdowały sobie pożywienie. Niedźwiedzie zapadły w sen. Gorzej było z mamutami. Wiedziałem już, że najchętniej jedzą trzcinę i sitowie. Ale teraz śnieg przykrył płytkie bagna, a one bały się chodzić na głębokie, położone nad jeziorem. Zrobiłem niedużą tratwę z dziesięciu bierwion, dostałem się na zarosniętą wyspę na jeziorze, naciąłem ogromny snop zielonego sitowia i zaniósłem do swojej jaskini. Mamuty z daleka zobaczyły trzcinę i przyszły. Nie dały się prosić... Pozwoliłem im trochę się pożywić i zacząłem powoli odsuwać snop coraz dalej od brzegu urwiska. Mamuty nie odchodziły, dreptały na miejscu, wciąż popatrywały na mnie i poruszały ogonami. Po kilku dniach treningu ostrożnie dawałem już im soczystą trzcinę z ręki i wkrótce tak przyzwyczałem je do zorganizowanego pożywienia, że zaczęły chodzić za mną jak psy. Nawet, kiedy już stał śnieg, nadal chodziły za mną, a ja nie żałowałem im jedzenia. Wkrótce odważyłem się pogłaskać ich szorstkie trąby. Olbrzymy także ośmieliły się i obwąchały mnie. Widocznie przypadłem im do gustu. W każdym razie ten, którego nazwałem Łasem, dosyć dotkliwie poklepał mnie trąbą po plecach, a potem podniósł w górę. Bałem się, żeby nie zechciał pobawić się mną jak piłką. Szczęśliwie wszystko dobrze się skończyło. Wkrótce potem wolno mi było włączyć na kudłaty grzbiet Łasa, jeździć na nim i płacić za tę rozrywkę drapaniem go za uszy. A wie-

cie, że sójki wcale się nie boją tych potężnych zwierząt i spokojnie szczebiocą całymi dniami siedząc im na grzbietach, iskając i grzebiąc w kudłach? Zdaje się, że sprawia to olbrzymom przyjemność. Zanim upłynął miesiąc mamuty dźwigały już dla mnie drzewo i kamienie. Zbudowałem sobie domek i ogrodziłem.

Tak, musiałem zrobić ogrodzenie, ten trzymetrowy płot z głazów. Nie było rady, musiałem otoczyć cały ogród. A wszystko przez nosorożce. Czy obserwowaliście kiedy prosięta wypuszczone na dwór? Tak mniej więcej zachowywały się te pięciotonowe olbrzymy. Jakieś postrzelone! Prawdziwe dzikusy przedpotopowe. Do pewnego czasu przestrzegaliśmy ścisłej neutralności. Ja z mamutami i para nosorożców. Nie spotykaliśmy się. Ale, jak już wspominałem — do pewnego czasu.

Wybrałem ładną polankę w pobliżu domu i z trudem skopałem ziemię, a na drugi dzień zobaczyłem swój ogród zupełnie zryty i zdeptany. Nosorożce! Co za licho przyniósł je tutaj — nie wiem. Szczęśliwie po raz pierwszy zjawiły się przed siewami, więc moje bezcenne nasiona na razie ocalały. Ale co robić dalej? Miałem zbyt mało nasion, nie mogłem ryzykować. Musiałem zabrać się do ogrodu.

Zwykły płot nie mógł wystarczyć. Czymże jest płot dla nosorożca? Na początek postanowiłem poświęcić jeden nabój.

Widzieliście tego potwora?... Prawda, zapomniałem... Kosmata skóra trzycentymetrowej grubości. Cóż dla niej znaczy śrut? Tyle, co ukłucie komara... Musiałem celować w oko albo w paszczę. A więc trzeba było podejść całkiem blisko. Było to bardzo ryzykowne.

Przyczaiłem się za skałą i czekam gości. Nadeszły ohydnie kwicząc. Oto jeden na ułamek sekundy zamarł na miejscu. Wystrzeliłem z bliska i trafiłem. Zwierz runął, zalewając się krwią. Drugi, przestraszony strzałem, uciekł i od tego czasu już tyle lat nie przychodzi tu i nie nasuwa mi się na oczy.

Wróćmy jednak do przeszłości. Wkrótce wykończyłem swój dom. Jest to jakby moje „letnisko”, chociaż mieszkam w nim rzadziej niż w jaskini. Jak widzicie, jest niepozorny, ale suchy, ciepły i moim zdaniem, nawet przytulny...

Z początku zdobywałem sobie żywność za pomocą strzelby. Baranów było tak dużo, że polowanie nie spra-

wiało specjalnej trudności. Musiałem jednak pomyśleć też o innym sposobie łowiectwa, ponieważ skończyły mi się naboje.

Zacząłem budować oborę. Miałem siekiere i nóż. Pierwszy dwumetrowej wysokości częstokół był za niski — zwierzęta z łatwością przeskakiwały. Musiałem podwyższyć go do trzech metrów. Wkrótce miałem już wspaniałą okólnik z dwóch stron otoczony częstokołem, a z dwóch — występem skalnym.

Jak już wspominałem, pod koniec pierwszej mojej zimy w kraterze spadło dużo śniegu i zwierzęta przeżywały ciężki okres. Nauczyłem się doskonale kosić. Z nożem zamiast kosi w rękę i ze snopem turzycy chodziłem pomiędzy błotnistymi zaroślami a okólnikiem starając się przyzwyczaić barany, aby zawsze jadły w tym zakątku. Przychodziły bardzo ostrożnie, ale jednak przychodziły. Pewnego pięknego dnia zaniknąłem w okólniku szesnaście baranów. Teraz pokazywałem się im już otwarcie, rozrzucałem trawę po śniegu i obserwowałem, jak moi wychowankowie jedzą. Musiałem pracować od świtu do nocy, żeby nakarmić takie stado. Po kilku dniach większość wypuściłem, zostawiwszy sobie tylko kilka młodych baranków i jagniąt. Mogłem zaprzestać polowania. Z czasem moim pożywieniem codziennym stało się nie tylko mięso, ale też mleko owcze i ser.

A więc nie groziła mi śmierć głodowa. Miałem ognisko, ciepłą, wygodną jaskinię i ten oto drewniany dom, oborę dla moich mamutów, okólnik dla baranów i nawet ogród, w którym zasadziłem już pierwszej wiosny kapustę, marchew, buraki i rzodkiew. Teraz, oczywiście, rozrósł się, ale w pierwszym roku był to malutki skrawek uprawnej ziemi. Wróg mój, nosorożec, do samej śmierci omijał tę część krateru, a wilki udało mi się zlikwidować dzięki dołom-pułapkom, w których umieszczałem przynętę. W ten sposób ułożyły się warunki życia...

— Rozumiem — nagle przerwał Sperański widząc gwałtowny ruch Borysa — chcecie spytać, jak się czułem moralnie, czy miałem jednak nadzieję na uwolnienie, czy wpadałem w rozpacz, czy też po prostu pogodziłem się z losem i żyłem z dnia na dzień, żeby tylko żyć? O to chcieliście zapytać, prawda?

— Tak — przyznał Borys w najwyższym stopniu zdumiony, że człowiek, który połowę swojego długiego życia spędził w samotności nie obcując z ludźmi, zachował żywy

umysł i zgadywał czyjeś myśli.

— Trzydzieści lat to dużo — odpowiedział Sperański po krótkiej przerwie. — Starczyło mi czasu na nadzieję i na rozpacz. To dobrze, że odczuwałem i jedno, i drugie. Przypicie, że mogłem mieć nadzieję tylko na cud. A to byłoby głupie. Rozpacz? Naturalnie, miewałem też chwile rozpacz. Zostawiłem przecież w domu dwoje małych dzieci, warsztat pracy, a poza tym dowiedziałem się, że w Rosji wybuchła rewolucja... Czy myślicie, że łatwo mi było żyć na łonie przyrody całymi latami i wiedzieć, że nigdy nie ujrzę tego, co mi jest najdroższe, co było celem mojego życia? Oczywiście, miewałem okresy rozpacz. Widocznie jednak nie była ona zbyt silna, w przeciwnym bowiem razie nie zastalibyście mnie żywego. A więc pogodziłem się? O, nie! Pogodzenie się człowieka z nieszczęściem uważam za poniżające i niktzemne. Nie potrafiłbym tego. Jestem rewolucjonistą, bolszewikiem, naukowcem. Pracowałem! Moje notatki będą wkładem do nauki. Pracowałem dla ludzkości! Ta właśnie świadomość pozwalała mi zwalczyć rozpacz, która ogarniała mnie niekiedy w chwilach słabości. Taż sama świadomość nadawała inny charakter mojej nadziei. Nie liczyłem na cud, który mnie osobiście uratuje, ale byłem pewien, że wcześniej czy później, choćby nawet za sto lat, ludzie dotrą do tego krateru, znajdą moje notatki, przeczytają i w ten sposób praca moja przyda się wolnej Rosji. Oto, młody przyjacielu, odpowiedź na twoje pytanie!

— Pozwólcie, że uścisknę waszą rękę — cicho powiedział Borys.

Wszyscy zbliżyli się do starca.

Na tym zakończył swoje opowiadanie. Było już późno.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

zawierający krótkie wiadomości o Sperańskim i jego gospodarstwie

Tej nocy podróżni spali jak zabici, a to dlatego, że do ich wszystkich niezwykłych przeżyć dołączyło się jeszcze jedno całkiem fantastyczne i ogromnie ważne dla dobrego snu, a mianowicie: łaźnia. Gospodarz surowo przestrzegający pięknych zasad rosyjskiej gościnności zaprowadził wędrowców do łaźni. Tak, tak, do prawdziwej łaźni z gorącą wodą, parą i pachnącymi brzożowymi miotłami. Ten tylko spośród naszych czytelników, któremu los kazał tygodniami włóczyć się w zimie po tajdze nie rozbierając się w mróz przy dymiącym ognisku, zrozumie, jakie uczucie może wzbudzić gorąca łaźnia! Łuka Łukicz postękiwał z zadowolenia, kiedy Lubimow dodał tyle pary, że zaczęły trzeszczeć belki w suficie, i chlastał go brzożową miotłą po rozgrzanych plecach. Wody gorącej mieli pod dostatkiem. Łaźnia pracowała na darmowym, naturalnym paliwie. Wprost ze ściany skalnej tryskało gorące źródło. Do uzyskania pary potrzebne były tylko kamienie; wystarczyło chlusnąć parę cebraów wody na rozgrzane kamienie i w małej łaźni robiło się gorąco jak... w łaźni.

Znalazło się też mydło. Gospodarz sam robił je z baraniego tłuszczu i potasu.

Po przeżytych wzruszeniach, po wspaniałej łaźni i obfitej kolacji, do której pomimo protestów gościnnego gospodarza, przyłożył się też doświadczony kucharz Łuka Łukicz, geolodzy spali snem sprawiedliwych.

W domu zapadła cisza. Łojówka paliła się złotym płomieniem, oświetlając śpiących i Sperańskiego, który jedyny czuwał.

Skorzystajmy z ciszy panującej w domu, żeby pokrótce opowiedzieć o Sperańskim.

Włodzimierz Sperański urodził się w roku 1880 w Petersburgu w rodzinie skromnego urzędnika. Ukończył gimnazjum, wstąpił na wydział medyczny i po ukończeniu uniwersytetu jako młodzieniec wybitnie zdolny miał poświęcić się pracy naukowej.

Ale w roku 1914 został aresztowany za przynależność

do partii bolszewików. Na rozprawie sądowej wyjaśniło się, że wraz z Iwanowem stał na czele dość znacznej organizacji. Obaj skazani zostali na zesłanie w głąb Syberii. Jak czytelnik dowiedział się już z dziennika Iwanowa, w grudniu 1916 roku uciekli, a nasza grupa geologiczna znalazła Sperańskiego w roku 1947. A więc miał wówczas sześćdziesiąt siedem lat. Był to już starzec, ale jeszcze w pełni sił.

Wysoki, o szerokich ramionach i mocnej budowie, był typem człowieka krzepkiego. Trzeba dodać, że mógł służyć za przykład na poparcie znanego przysłowia: „Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło”. Nie z własnej woli wprawdzie, ale żył na łonie przyrody, ustawicznie pracując, z dala od wszelkiego rodzaju infekcji i zarazków chorobotwórczych, w czystym powietrzu Północy, nie znając tytoniu, alkoholu, gwaru i dymu miast. Oczywiście — samotność nie jest normalnym stanem człowieka. Brak obcowania z ludźmi zabójczo działa na każdego. Ale Sperański, nawet, gdy został zupełnie sam, nadal żył dla ludzkości i pochłonięty był jej sprawami. To go uratowało. Jedyne siwe włosy i siwa rozłożysta broda przypominały o wieku starca, postać zaś, ruchy, głos i blask dużych niebieskich oczu świadczyły o wielkiej sile i energii.

Sperański miał na sobie odzież z baraniej skóry, kurtkę i spodnie uszyte sierścią na wierzch, miękkie skórzane buty „iczugi” i okrągłą futrzaną czapkę. Wszystko uszył sam. Z łatwością zrobił igłę — a raczej szydło z kości, a nici z wysuszonych żył.

Tej nocy nie spał. Siedział przy stole. Przed nim, ułożywszy się na skórkach, spali ludzie! Ludzie!... Trzydzieści lat nie widział człowieka, po trochu już zapomniał, jak brzmią głosy ludzkie, śmiech... Iluż ciekawych wiadomości udzielili mu nieoczekiwani przybysze już w pierwszy dzień! Jacy byli prości, pewni siebie, odważni! Nawet ci chłopcy. Pokolenie wychowane po rewolucji...

Oczy gospodarza zwilgotniały ze wzruszenia.

Borys przed zaśnięciem dał mu książkę, którą potajemnie zabrał ze sobą.

— To moja ulubiona.. Proszę przeczytać.

Sperański z wdzięcznością wziął książkę i niecierpliwie zaczął ją przeglądać. „Cichy Don” Szołochowa. Nie zna nazwiska autora, ale opisane w powieści zdarzenia porywają, czyta więc z największym zainteresowaniem.

Nadchodzi noc. Sperański podniecony i spotkaniem,

i książką, wciąż jeszcze nie śpi. Niekiedy odrywa się od jej kartek i patrzy na swoich nowych przyjaciół, wstaje, troskliwie poprawia posłanie Borysa i Pieti, sprawdza, czy nie wieje od drzwi na Oroczkę, który skarżył się na ból w boku. Potem obcina knot, znowu siada przy stole i w napięciu czyta całą noc, nie mogąc zmusić się do snu. Ukazują mu się obrazy wojny domowej: w mękach i walce tworzyło się nowe, nie znane mu społeczeństwo.

O wschodzie słońca zadźwięczał śmiech. Borys i Pietia obudzili się wyspani. Poszli umyć się w rzeczce i po chwili wracali już, napełniając wesołymi okrzykami mroźne powietrze. Łuka Łukicz promieniał: gospodarz krateru pokazał mu skarbiec. Kucharz znalazł tam cebulę, czosnek, różne gatunki mięsa, ryby, trochę grzybów i nawet... kapustę zakiszoną z jaskrawoczerwonymi borówkami i drobno pokrajaną marchewką.

— Cóż za doskonały gospodarz! — chwalił zdumiony kierownik zaopatrzenia. — Nawet grzybki nasolone. Toż to maślaki, najlepsze grzyby. Ale gdzie się je tu kupuje? Może w jakiejś spółdzielni?

— Nie — Sperański zaśmiał się dobrodusznie. — Nie ma tu spółdzielni. Z początku ciężko mi było bez soli. Potem znalazłem solniska — barany mi je pokazały — i od tej chwili sprawa soli została rozwiązana. „Potrzeba jest matką wynalazków” — jak to się mówi. Mnie nauczyła ciesielstwa i garncarstwa. Oto jakie mam naczynia. Nauczyła mnie też szycia i tresowania mamutów, i jeszcze wielu innych rzeczy...

Po śniadaniu Sperański razem z Lubimowem i Uskowem poszedł do zagrody mamutów.

Olbrzymy stały pod okapem w oborze zbudowanej z wielkich głazów i spokojnie przeżuwały suchą trzcinę, zebraną na zimę przez zapobiegliwego gospodarza. Na widok ludzi poruszyły uszami, podniosły trąby i krótko za-trąbiły.

— Poczekajcie... — Uskow zatrzymał się. — Poznają was, czy też jesteśmy dla nich wszyscy jednakowi? Dajcie mi kurtkę, a tu proszę moją. O tak... A teraz podejdźmy. Możemy chyba śmiało się zbliżyć?

— Nie wiem, jak was przyjmą, ale rękę za posłuszeństwo. Chodźmy...

Pierwszy odwrócił się Łas. Oczy mu błysnęły. Schylił głowę i przyjacielsko pokiwał trąbą. Podeszedł do Uskowa, ale nagle jakoś podejrzliwie parsknął, a następnie objął

trąbą Sperańskiego i podniósł na wysokość oczu.

— Ach, ty, łaskawco! — powiedział Sperański, kiedy mamut ostrożnie postawił go na ziemi. — Domyśliłeś się, mądralo! Poznaj się z moimi przyjaciółmi. Tak, tak... są również twoimi przyjaciółmi. Tak, tak...

Mamuty dokładnie obwąchały Uskowa i Lubimowa, i ci-chutko pochrzając zaczęły niezdecydowanie przestępować z nogi na nogę, jakby nie wiedząc, co zrobić z gośćmi... Sperański pogładził koniuszki ich trąb i machnął ręką:

— Idźcie... Idźcie... Na spacer!...

Olbrzymy, jak posłuszne zwierzęta domowe, zgodnie pokiwaly głowami i wyszły z zagrody do lasu, a ich ma-lutkie ogonki chwiały się zabawnie.

— Teraz chciałbym wam pokazać wyniki swojej wielo-letniej pracy — powiedział Sperański i skierował się w stronę ściany skalnej. Przyłączyli się do nich Borys, Pietia i Łuka Łukicz, który zdążył już ugotować obiad, przybiegły psy — Kawa i Tuj.

Minęli wysoki las cedrowy.

Ledwie widoczna ścieżka pod ostrym kątem skręcała w kierunku skały. Sperański szedł pierwszy, przeskaku-jąc z kamienia na kamień. Wreszcie stanęli nad urwi-skiem. W lewo biegła wąska dróżka.

— Oto jesteście — zwrócił się gospodarz do przyjaciół.

W odległości około czterech metrów, dość wysoko, wi-dniała szczelina skalna. Wyglądało to, jakby ktoś w tym miejscu rozłupał skałę ostrym narzędziem. Jakież jednak było zdziwienie geologów, kiedy po przejściu pięciu kroków przez wąską szczelinę znaleźli się w jasnej, wysokiej sali o białych ścianach.

— Skąd tutaj tyle światła? — wykrzyknął Borys.

— Rozejrzyj się uważnie, to zrozumiesz.

Z góry, przez siedem szerokich, jak duże okna otworów, wpadał jasny blask dnia, oświetlał biały strop, od którego odbijało się słońce i zalewał jaskinię równym, spokojnym światłem.

Nie tylko jednak zadziwiła już sama jaskinia ze swoimi niby umyślnie wyciętymi oknami. Było w niej poza tym coś, co wprawiło w zdumienie wszystkich bez wyjątku członków grupy geologicznej.

Znaleźli się w muzeum, w którym znajdowały się nie-znane lub mało znane współczesnym ludziom eksponaty.

Pod jedną ścianą stały jak żywe okazy dawno wymarłych

zwierząt. Olbrzymi jeleni z dumnie podniesioną głową i pięknymi, prawie dwumetrowymi rogami, lekko pochylił się jakby gotując się do skoku. Jego gęsta ciemnobrązowa sierść lśniła jak zwykle sierść bardzo zdrowych zwierząt; zdawało się, że szeroka pierś lada chwila uniesie się westchnieniem. Jedyne puste oczodoły rozwiewały złudzenie. Olbrzymie, od dawna już nie istniejące na ziemi zwierzę, było tylko wykonanym przez człowieka okazem.

Na dużym płaskim głazie umieszczono ogromnego czarnego niedźwiedzia. Gdyby obok stanął dorosły bury niedźwiedź, taki nasz współczesny miś, wyglądałby po prostu jak roczna latorośl tego dawnego mieszkańca ziemi. Niedźwiedź jaskiniowy leżał w pozie świadczącej o jego samotniczym usposobieniu. Ciężki łeb o płaskim, bardzo szerokim czole spoczywał na wyciągniętych przednich łapach. Żółtawe pazury wyglądały z gąszcza czarnej sierści. W tym uśpionym na wieki olbrzymie czuło się potęgę, ale i spokój. A przecież kiedyś, w epoce kamiennej, przerażał ludzi podobnie jak on sam szukających przytułku w jaskiniach górskich.

Potężny, znany już grupie geologów, dwurogi nosorożec stał na masywnych nogach koło niedźwiedzia. Pietia drgnął: kiedy i kto zdążył przydzwigać nosorożca z miejsca, w którym potwór został zabity? Ale natychmiast przypomniał sobie opowiadanie Sperańskiego o walce z drugim nosorożcem. Oczywiście, jest to ten złośliwy rabuś, przed wielu laty zabity koło zagrody.

Uskow przerwał milczenie:

— Sami zrobiliście to wszystko, własnoręcznie? Nie mogę wprost uwierzyć...

— Miałem tylko dwóch pomocników: Łasa i Dzika. Zresztą rola ich ograniczała się do dzwigania ciężarów. To doskonalni tragarze. Ciężkie skóry zwierząt, materiał do wypychania okazów, bale, na których je ustawiłem, wszystko to mamuty dostarczyły do podnóża skały i podniosły tutaj, na górę.

Wypchane zwierzęta zajmowały jednak tylko część sali. Dalej umieszczone były zmontowane szkielety olbrzymów, Mamut, żubr, niedźwiedź jaskiniowy, część szkieletu niskiego, ale długiego zwierzęcia z groźnymi płaskimi kłami...

Tygrys szablasty? Chyba tak! A pod nawisem skalnym jakby w niszy stało kilka szkieletów ludzkich.

— Gdzieście je znaleźli? — spytał Oroczo.

— W głębokich jaskiniach. Niedaleko stąd jest bez-

kresny labirynt jaskiń, których nie zdołałem zbadać całkowicie. Znajdowałem tam kości, przynosiłem tutaj i montowałem szkielety. O, ten — wskazał szkielet o długich rękach, ze spłaszczoną, wysuniętą do przodu czaszką — to współczesny Neandertalczyk. A pozostałe — to już przedstawiciele późniejszych epok. W ogóle w kraterze musiało być wiele koczowisk starożytnych ludzi. Znajdowali tu ciepło i żywność w czasie, gdy okolice wulkanu przechodziły okres lodowacenia i śmierć z zimna groziła wszystkiemu, co żyje. W jaskiniach dotąd leżą prymitywne narzędzia: kamienne topory, krzesaki...

— Ale w jaki sposób chronicie te eksponaty od zniszczenia? — zapytał Uskow.

— Całkiem zwyczajnie! — Sperański wskazał niewielką, otoczoną białymi kamieniami kałużę pełną niezwykle przezroczystej wody. — To woda głębinowa, gdzieś we wnętrzu ziemi nasycona wapniem. Jest bardzo twarda i gorzka. Zastąpiła mi roztwory laboratoryjne: wszystkie kości nasyciłem wodą wapienną. Co pewien czas obmywam nią szkielety i mam nadzieję, że moje eksponaty jeszcze wiele lat będą mogły służyć nauce.

Na dole gwałtownie zaszczekały psy. Rozmowa urwała się. Borys i Pietia skoczyli do wyjścia, ale cofnęli się zdumieni i przerażeni. Nic dziwnego! Sześć czy siedem parskających i sapiących, hałaśliwych niedźwiedzi tarosiło dwa dzielne psy. Co prawda te miejscowe wałkonie nie zdradzały szczególnej zawziętości, raczej wyglądało na to, że ganiały obcych przybyszów dla zabawy.

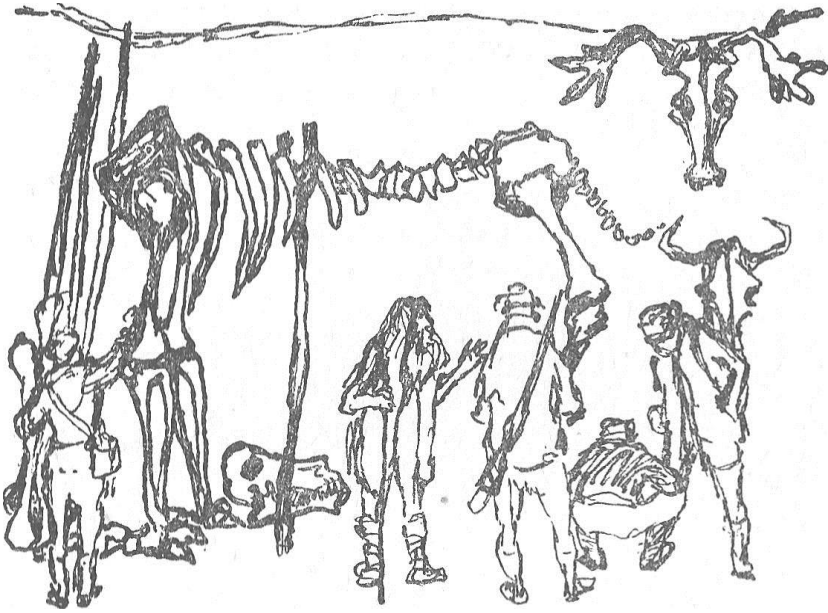
Niedźwiedzie nie przestraszyły się ludzi. Chciały znów zaatakować psy, ale słysząc surowy głos Sperańskiego siadły na zadnich łapach.

— Uciekaj!

Sperański podszedł do najbliższej siedzącego niedźwiedzia i wziął go za ucho. Zwierz zawył.

— Co ty tu robisz? Uciekaj! Jeszcze dalej! Jeszcze! Ach, głuptasy. Ja wam tu zaraz pokażę!...

Gdyby niedźwiedzie miały ogony równie długie jak psy, z pewnością teraz byłoby widać, że je podkurczyły. Ale ogon niedźwiedzia jest króciutki, nie może więc tak obrazowo wyrazić pokory. Misie popychając się i tłocząc opuściły jaskinię ku radości psów, które w tej chwili zanosiły się bohaterskim szczekaniem.



— A więc pierwsza znajomość już zawarta... Mam tu ze dwudziestu tych burch łobuzów. Dokarmiam je. Możecie się ich nie bać, są figlarne i dobrotliwe. Trzeba tylko unikać niedźwiedzi z małymi.

Po tym zajściu Kawa i Tuj nie bardzo już chciały odchodzić od swoich gospodarzy, położyły się w pobliżu. Spotkanie z kudłatymi przyjaciółmi wywarło na nich duże wrażenie.

— Co sprowadziło was na Północ, przyjaciele? — nieoczekiwanie zapytał Sperański. — Wiem, że jesteście geologami. Ale czym interesujecie się przede wszystkim?

— Szukamy złota, ołowiu, wolframu — odpowiedział Uskow.

— Rozumiem. I naturalnie znaleźliście?

— Dopomógł nam dziennik Iwanowa. Znaleźliśmy strumień, na którego dnie nocowaliśmy kiedyś razem z Iwanowem. Poza tym znaleźliśmy złoto.

— Dużo?

— Dużo. Ale też krajowi dużo potrzeba.

Sperański zamyślił się.

— Ta-ak...

Zdawało się, że chce jeszcze coś powiedzieć, ale urwał. Uskow zrozumiał go i także zamilkł.

Nie należy się śpieszyć. Dopiero z czasem nabiera się zaufania...

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

z którego wynika, że sytuacja nie jest tak beznadziejna, jak sądził Sperański

Kierownik grupy postanowił nie tracić czasu na próżno. Zebrał wszystkich na krótką odprawę.

— Zbadanie krateru i jego przyrody byłoby oczywiście bardzo ciekawe — powiedział — ale teraz najważniejszym naszym zadaniem jest wydostanie się z krateru. Czy zdajecie sobie sprawę, jak się w Zjednoczeniu niepokoją? Ileż czasu nie mają o nas wiadomości. Z pewnością jednak szukają już i konno, i pieszo, i samolotami. Proponuję więc, nie tracąc ani chwili, dokładnie zbadać zbocze krateru. W zboczu południowym powinny być jaskinie przelotowe. Jestem tego pewien.

Geolog urwał. Napotkał wzrok Sperańskiego i zrozumiał, że mimo woli go obraził. Czyż starzec podczas tych długich lat nie zbadał wszystkich zboczy krateru, a więc i południowego? Chyba przestudiował cały krater, metr po metrze, wymacał i opukał wszystkie kąty i zakamarki! Tak! Nie znalazł nic, co mogłoby pozostawić chociaż cień nadziei.

— Teraz dopiero naprawdę rozumiemy, czym był dla nas ten malutki nadajniczek radiowy. Bez niego jesteśmy dosłownie odcięci od świata — wtrącił Borys.

— Rzeczywiście... — potwierdził Oroczo. — Prawdziwa bieda bez radia. Ale przecież na pewno będą nas szukać, przylecą samoloty... Przygotujmy się, zaczniemy podawać sygnały, żeby nas zobaczyli... Sądzę, że powinniśmy tu zaczekać.

— Nie! — niecierpliwie przerwał Uskow. — Nie będziemy siedzieli z założonymi rękami.

— Nie bardzo rozumiem — cicho, z wahaniem powiedział Sperański. — Mówicie, że samoloty? To aparaty latające, aeroplany, prawda?

Pietia i Borys spojrzeli po sobie i uśmiechnęli się. Uskow obrzucił ich surowym wzrokiem.

— Tak! — powiedział. — Lotnictwo nasze zajmuje jedno z czołowych miejsc na świecie... Słyszeliście o Ciołkowskim, o Żukowskim?

— Przypominam sobie te nazwiska. Aeronautyka... Ra-

kiety. Prawda?

— Tak. A wiecie, co to jest radio? Nie, oczywiście nie może cie wiedzieć. Radiostacja przenośna. Wynalazek inżyniera Popowa z Kronsztadu. Wówczas nazywano to telefonem bez drutu.

— A jakże, pamiętam...

— Otóż teraz taką stację telegraficzną wkłada się do walizki i — proszę bardzo! My też mamy...

— Mieliśmy — sprostował Lubimow.

— No tak! Mieliśmy, ale zginęła razem z całym naszym dobytkiem. Gdyby nie to, dawno wezwalibyśmy pomocy. Zresztą jestem pewien, że samoloty już rozpoczęły poszukiwania.

— A mgła? Z góry nas nie widać! — wtrącił Oroczo.

— To nic — z uporem odpowiedział Uskow. — Jestem przekonany, że możemy liczyć nie tylko na pomoc z zewnątrz, ale i na własne siły.

Sperański ogarnął przyjaciół weselszym wzrokiem.

— Teraz, gdy jest nas tylu — powiedział nagle — sprawa oczywiście wygląda całkiem inaczej. W kraterze istotnie pozostał zakątek, którego nie zbadałem dokładnie. Przyznam szczerze, że nawet próbowałem, ale przekraczało to siły jednego człowieka.

— Czy to jest jakaś szczególnie głęboka jaskinia? — spytał Uskow.

— Tak! Bardzo dziwna jaskinia. Nie mogłem do niej wejść. Może po prostu nie potrafiłem zwalczyć strachu. Nie będę ukrywał, że po pierwszym zawaleniu się ściany...

— Nie macie ochoty narazić się na następne? Rozumiem doskonale — uśmiechnął się Uskow.

Sperański uśmiechnął się również.

— Nazywamy taki objaw urazem — powiedział. — Jest więc taka jaskinia — dodał po chwili — która jak mi się zdaje, prowadzi do jaskini najgłębiej położonej. Znajduje się w ścianie południowej, trochę bardziej na prawo od tej, przez którą dostałem się do krateru.

— Pokażcie nam ją, Włodzimierzu Iwanowiczu. Jesteśmy przecież geologami i powinniśmy zobaczyć to na własne oczy.

Po niedługim czasie oddział stanął koło tajemniczej jaskini.

W ścianie widać było czarną plamę niezwykle dużego otworu. Uskow zrozumiał od razu, że jaskinię tę stworzyła woda. Tylko woda potrafi w podatnym wapniaku wyźłobić takie ogromne puste jamy. Geolog zaczął szukać wzrokiem śladów potoku. Sperański wskazał zarośniętą gęstym lasem dolinkę.

— Od pierwszej chwili, gdy odkryłem tę jaskinię, chciałem

się przede wszystkim dowiedzieć, w jaki sposób powstała. Zrozumiałem, że zrobiła to rzeka. Rzeka wypływająca z jeziora. Znalazła wąską szczelinę w skale, rozmyła ją i odpłynęła pozostawiając nam w spadku tę ponurą jaskinię. Jednego tylko nie rozumiem: czy sądzicie, że dno naszego krateru leży wyżej czy niżej od dolin znajdujących się na zewnątrz?

— Wyżej. Przepuszczalnie o trzysta do czterystu metrów.

— Przypominam sobie... Tak, tak... Oczywiście! Krater jest wyżej. A więc...

— A więc strumień przepływał przez jaskinię i gdzieś poza granicami Erszotu wypływał w szeroki świat. — Uskow aż się zaczerwienił z podniecenia. — Rozumiecie, wypływał!

— Chodźmy! — zdecydowanie zawołał Borys i poprawił pasek dubeltówki na ramieniu z tak dziarską miną, jak by miał zamiar rzucić się do walki.

Pietia z kolei zrobił krok w stronę jaskini, zdecydowany nie rozłączać się z przyjacielem. Ale Sperański tylko się uśmiechnął.

— Poczekajcie, dzieci — powiedział łagodnie, żeby nie urazić chłopców. — Nie można tak od razu. Oczywiście, że pójdziemy w głąb góry, ale najpierw zaopatrzymy się we wszystko, co najniezbędniejsze.

— Świece, żywność, odzież, obuwie... — uzupełnił Uskow. — Musimy mieć trochę czasu na przygotowania. Jutro wyruszymy. Ale sądzę, że nie zaszkodzi, jeśli tymczasem obejrzymy chociaż zewnętrzne mury twierdzy, którą zamierzamy zdobywać.

W pierwszej komorze jaskini wchodzących przywitało głośnie echo. Wilgotne sklepienie błyszczało. Gdy wzrok przyzwyczaił się do półmroku, geolodzy zobaczyli, że znajdują się w okrągłej grocie o piaszczystym, lekko obniżającym się dnie.

Tylko niesłychanie silny prąd wody mógł stworzyć tę salę. Niegdyś woda wpadała tutaj z hukiem a zanim uszła w głąb ziemi drażyła skałę, stopniowo ją wymywając.

— Woda z większą swobodą wpływała tu niż stąd uchodziła — powiedział Uskow. — Należy się spodziewać, że dalej przejście będzie zwężone.

— Właśnie tak jest — Sperański wskazał odległy kąt jaskini.

Poziom dna obniżał się nierównymi uskokami, sala zwężała się, stawała się korytarzem, potem szczeliną — czarną szczeliną, z której ziała wilgoć i jakby zbutwiałe ciepło.

— Ta-ak — niezdecydowanie powiedział Lubimow, pierwszy zaglądając w czarny otwór. — Ponure miejsce. Jak długo chodzę po szerokim świecie, w takiej dziurze jeszcze nie byłem. Ale jutro spróbujemy.

Geolodzy nasłuchiwali w milczeniu. Jaskinię jednak zalegała martwa cisza. Kawa otarła się o nogi Lubimowa i cichutko zaskamlała.

— I ją trochę strach oblatuje — uśmiechnął się Lubimow. — Chodźmy, towarzysze.

Na zewnątrz, pod bladym, niskim, jak zwykle w zimie, a tak miłym niebem, wszyscy odetchnęli z ulgą i szybkim krokiem pośpieszyli do domu, omawiając po drodze szczegóły zamierzonej wyprawy. Postanowiono, że do jaskini pójdą we trzech: Uskow, Lubimow i Borys. Łapaj-Mucha, Pietia, Sperański i Oroczo mają zostać w kraterze. Dwaj pierwsi będą się zajmowali sprawami gospodarskimi, Sperański zaś i Oroczo dojdą z grupą operacyjną do środka jaskini i pozostaną tam celem utrzymania łączności. Poszukiwania nie powinny trwać dłużej niż dobę. Po upływie doby Uskow i jego towarzysze w każdym razie mają wrócić.

Ruszyli w drogę, gdy niebo zaczęło ledwie szarzeć. Szli, milcząc, gęsiego. Było zimno i jakoś nieprzyjemnie. Nawet psy wlokły się niemrawo, nie okazując radości z powodu tak wczesnego wymarszu.

Sperański szedł na przedzie. Bez wahania odnajdywał ledwie widoczną ścieżkę i nie oglądając się, od czasu do czasu rzucał przez ramię krótkie ostrzeżenie: „gałąź”, „kamień” itp., a słowa te wszyscy powtarzali kolejno od Lubimowa do zamykającego pochód Łapaj-Muchy. Po półgodzinnym marszu stanęli u wejścia do jaskini.

Świtało. Ukazał się las, zabłysło jezioro; południowa ściana zalśniła iskierkami szronu; nad najbliższym źródłem kłębiła się para. Szczelina wydawała się czarną paszczą. Nad górnym sklepieniem jaskini, przy wejściu, błyszczała gęsta smuga szronu.

— Z jaskini wydobywa się ciepłe, wilgotne powietrze — powiedział Oroczo wskazując ją. — Widzicie, wyżej ostyga i przekształca się w szron. Cóż to za „duch” pali tam w piecu, w tej głębinie?

Sperański uśmiechnął się.

— Pluton, bóg otchłani. Prawdopodobnie w jaskini są szczeliny graniczące z ziejącą ogniem głębiną, może nawet ze znajdującą się w pobliżu lawą...

— Z pewnością słyszeliście kiedyś o istnieniu w naturze pierwiastków radioaktywnych? — wtrącił Uskow.

— Tak, pamiętam doskonale... Uran. Maria Curie-Skłodowska, jej mąż. Rad... Dziwne, niezwykle aktywne promieniowanie, świecące błony fotograficzne...

— W tym kierunku właśnie w ciągu ostatniego dziesięciolecia zrobiono olbrzymi krok naprzód. Udowodniono bezspornie, że pierwiastki radioaktywne, a zwłaszcza uran i tor, stale wypromieniowują wielkie ilości energii, przy czym atomy ich rozpadają się. W głębi ziemi niemało jest takich pierwiastków, a możliwe, że również innych, jeszcze nam nie znanych. Na skutek ogromnego ciśnienia, w wewnętrznych warstwach ziemi zachodzą tajemnicze procesy. Temperatura w głębi ziemi jest bardzo wysoka. Powstaje lava, tworzą się i działają wulkany, gejzery, gorące źródła...

Podczas tej rozmowy uczestnicy wyprawy rozdzielili pomiędzy siebie bagaże i sprawdzili, czy wszystko zostało zabrane. Lubimow zajął się zaopatrzeniem, związał suche polana i szczapy. I oto pięciu spośród siedmiu zniknęło w ciemnej czeluści. Pietia i Łuka Łukicz odprowadzili ich do samej jaskini.

Świece z łoju baraniego paliły się bladym, żółtym płomieniem, wydobywając z mroku oślizgłe, wypolerowane przez wodę, wilgotne ściany. Wszyscy posuwali się w milczeniu. Na przedzie wolno i ostrożnie szedł Lubimow z latarką elektryczną, która przypadkiem ocalała w kieszeni któregoś z geologów. Poziom jaskini gwałtownie się obniżał. Powietrze było tu przepojone zapachem zastalej wody, cuchnęło siarkowodorem, ale niezawodny wskaźnik tlenu — płomień świecy — palił się równo, cicho potrzaskując. Nic nie zapowiadało niebezpieczeństwa.

Drugi z kolei szedł Uskow z kompasem i arkuszem papieru. Zaznaczał każdy zakręt korytarza, więc na papierze rosła i wydłużała się dziwna, kręta linia. Na prawo, na lewo, jeszcze raz na lewo niemal półkolem, następnie prosto, znowu w prawo, a wciąż coraz niżej. Barometr-wysokościomierz w ręku Borysa wskazywał spadek najpierw stu, potem stu dwudziestu metrów, wreszcie stu pięćdziesięciu, stu siedemdziesięciu...

Lubimow zatrzymał się, gdy mieli już za sobą przeszło półtora kilometra drogi.

Zobaczyli teraz drugą, niezwykle obszerną jaskinię. Na dany znak przewodnika wszyscy zniżyli głos. Lubimow

wskazał wielkie głazy, świadczące o tym, że kiedyś zawalił się tu strop.

— Teraz też może się zawalić — dodał.

— Chciałbym spowodować to umyślnie — odpowiedział Uskow.

Poszukiwacze cofnęli się do wąskiego przejścia, sprawdzili, czy strop nad nimi wygląda dość mocno i...

Borys podniósł dubeltówkę. Strzał! Salwa całego pułku artylerii wydałaby się nędzną, dziecinną pukawką w porównaniu z hukiem tego wystrzału. Echo uderzyło o skały, przeleciało nad stropem, runęło na dół, grzmotnęło w ściany i pomknęło w górę. Natychmiast zagruchotały kamienie, pogasty świece, wzbił się tak gęsty pył, że wszyscy zamknęli oczy i zatkali nosy.

Oddziałek poczekał chwilę, aż opadnie kurz i powietrze uspokoi się. Lubimow skrzesał ognia i zapalił wszystkie pięć świec. Jaskinia zmieniła się nie do poznania. Runęły stutonowe zwały. Olbrzymia nyża, która dopiero co zionęła pustką w sercu góry, teraz została w połowie zasypana. Gdzieś daleko, na przedzie, jeszcze huczało. Coraz wolniej i ciszej spadała tam lawina odłamków skalnych.

— Zaczekajcie tu na mnie — powiedział Lubimow i poszedł naprzód.

— Znalazłem! — zawołał wróciwszy po dziesięciu minutach. — Przejście prowadzi nieco na lewo. Tam jest szerzej...

Kiedy poszukiwacze minęli niebezpieczną strefę i znów wsunęli się do wąskiego korytarza, Lubimow poradził, aby urządzono w tym miejscu bazę przelotową.

— Przeszliśmy ponad dwa kilometry. Zdaje mi się, że odwaliliśmy połowę drogi — powiedział.

— Zdaje ci się? — z lekką ironią zapytał Uskow. — A mnie się wcale tak nie zdaje. Spójrzcie tylko na szkie! Kręcimy się, wiercimy w tej przeklętej górze i ani rusz z miejsca! Nic nie rozumiem!

Na papierze wiły się cienkie linie trasy. Niezliczone zakręty nie doprowadziły geologów, jak chcieli, na południe, lecz na zachód.

Gdyby Uskow przed wyruszeniem w drogę naszkicował kontury krateru, być może nie powiedziałby teraz, że nic nie rozumie.

Ale do tej sprawy jeszcze powrócimy.

Teraz grupa rozdzieliła się na dwie części. Sperański i Oroczo zostali na miejscu. Uskow, Lubimow i Borys

poszli naprzód.

— Czekamy na was dobę, do godziny jedenastej rano. Nie marudźcie.

Trzej geolodzy zniknęli za zakrętem. Zapanowała cisza.

— Poszukam wody — powiedział Sperański. Wziął świecę, skórzane wiadro i poszedł do jaskini.

Oroczo patrząc na płomyk świecy zamyślił się. Wyobraził sobie, co za olbrzymia góra wznosi się nad nim i zrobiło mu się niewyraźnie. Zdenerwowany przysunął bliżej świecę.

Sperański wrócił. Przyniósł pełne wiadro wody. Pachniała stęchłymi jajkami, a kolorem przypominała słabą kawę. Do picia, oczywiście, nie nadawała się, więc postawił wiadro z boku.

— Wiecie — powiedział z niepokojem — mam wrażenie, że towarzysze poszli błędną drogą. W środku sali, pod kamieniami, znalazłem właz prowadzący w dół. Zdaje się, że to właśnie koryto podziemnej rzeki. Dotąd jeszcze są tam resztki wody.

— Można przeleźć?

Sperański potrząsnął głową:

— Wątpię. Otwór zawałony kamieniami. A poza tym chyba jest za wąski.

Zamienili jeszcze kilka słów i umilkli. Zapadła przy tłacząca cisza. Gwałtownie zapragnęli wydostać się na powietrze. Oroczo westchnął.

— Może by zgasić świecę? — poradził Sperański. — Bądźmy oszczędni. A tymczasem opowiedzcie mi, jak teraz jest w Rosji.

W tym czasie mały oddziałek posuwał się wciąż w głąb jaskini.

Poszukiwacze szli miejscami normalnie, miejscami na czworakach. Po trzech godzinach błędzenia wysokościomierz Borysa wskazał, że posunęli się o trzysta metrów w górę. Labirynt prowadził na wschód i znowu na południowy zachód. Wszyscy już byli zmęczeni.

— To bezcelowe błędzenie! — mruknął z irytacją Uskow. — W tej chwili jesteśmy równie daleko od celu, jak byliśmy na początku drogi.

Nagle płomień świecy zachybotał. Zatrzymali się. Skądś, z przodu i z góry, napływało świeże powietrze. Przeszli jeszcze siedemdziesiąt metrów i — o radości! — trochę powyżej linii oczu zobaczyli plamkę dziennego światła. Promyczek, niby miecz ognisty, przeciął mrok korytarza i nieruchomo wbił się w

ścianę. Jakże żaloszny wydał się teraz w porównaniu z nim błady płomyk świecy. Serca zabiły nadzieją. Wszyscy przypadli do otworu. Była to szczelina w skale. W jednym miejscu przez mały otwór przeglądało niebo.

— Szybko do roboty! — krzyknął Uskow. — Gwałtownie zrzucił plecak i gorączkowo zaczął młotkiem ostukiwać skalę. — Ależ w całej tej ścianie jest mnóstwo szczelin!

Lubimow i Borys zrzucali całe gązdy. Światło przybliżało się, było coraz jaśniej! Czyżby tu znajdował się wylot? Ale oto poruszyli ogromny odłam skalny. Niebezpiecznie szemrząc posypały się z góry odłamki.

— Do tyłu! — krzyknął Lubimow.

Pozbawiona podpory płyta skalna wolno pochyliła się i z hukiem osiadła. Powietrze wpadło do jaskini. Świece zgasły. Geolodzy mimo woli przymrużyli oczy, a po chwili ujrzeni przed sobą cichy jesienny dzień.

Las. Gęste świerki stoją dostojne i ciche, w oddali błyszczą jezioro, szemrze strumień, rozległa łąka rozpościera się niby żółty kobierzec. A nad tym całym łagodnym krajobrazem wznosi się niedostępna szara ściana skalna.

A więc tak, wciąż jeszcze są w kraterze, w tym samym kraterze! Oto dokąd ich zaprowadził podziemny labirynt!

Dzień znowu stracił swój blask dla wędrowców. Zeszli na dół i już po upływie godziny znaleźli się koło otworu jaskini, tego samego otworu, którym weszli rano. Pietia i Łuka Łukicz nie wierzyli własnym oczom, gdy w zapadającym zmroku zamajaczyły niejasne zarysy zbliżających się postaci. Kawa i Tuj radośnie szcękając skoczyły na powitanie i tak gwałtownie wymachiwały ogonami, że Pietia wyraził nawet obawę, czy im się te ogony nie urwą.

Jaskinia, jak stwierdzili, nie miała drugiego wyjścia. Właściwie w górze były dwa stykające się w sali środkowej labirynty: mokry i suchy. Rzeka gubiła się w tej właśnie sali, której część runęła na skutek strzału Borysa. Od tego też miejsca należało rozpocząć poszukiwanie właściwej drogi.

— A jednak — powiedział Uskow z głębokim przekonaniem — musimy nadal szukać. Borys zostanie teraz tutaj, a Pietia go zastąpi.

Oroczo i Sperański, spokojnie gawędzący w zupełnych ciemnościach, zdziwili się i nawet przestraszyli, kiedy uszu ich dobiegły niezrozumiałe odgłosy, ni to pogwizdywanie, ni to głośne westchnienia. Coś gorącego, kudłatego

skoczyło Orocze na pierś i powaliło na ziemię.

W tej chwili błysnął promień światła, usłyszeli głosy i zanim Sperański zdążył zapalić świecę i pomóc Orocze wstać, otoczyli ich przyjaciele.

— Co to było? Co się stało? — pytał agronom z wolna odzyskując świadomość.

A to niegodziwe stworzenie, Kawa, stało tuż obok, machało ogonem i ze zdziwieniem spoglądało na ludzi, nawet nie rozumiejąc, dlaczego się przestraszyli.

Rozłożono ognisko, a po odpoczynku znów wszyscy ze świecami w ręku rozeszli się po całej sali w poszukiwaniu zagubionego koryta podziemnej rzeki. Sperański zaprowadził Uskowa do szczeliny, którą uprzednio spostrzegli. Obejrzel ją dokładnie. Nie ulegało wątpliwości, że woda uchodziła z sali przez tę właśnie szczelinę. Zapchana była kamieniami i odłamkami skalnymi, które spadały ze stropu w ciągu wielu setek lat. Dalej nie było drogi...

Nastroje się popsuły. Zgasła ostatnia nadzieja wydostania się z krateru.

Kiedy zaczęto się już zbierać do wyjścia, Pietia, chcąc opróżnić wiadro, wylał wodę na dogasające ognisko. Rozległ się głośny trzask. Płaski kamień, na którym rozłożone było ognisko, pękł i rozpadł się na kilka części. Co prawda kamienie często pękają skutkiem gwałtownej zmiany temperatury...

Ale Lubimow długo i uważnie patrzył na potrzaskaną płytę kamienną. Coś go niepokoiło. Postanowił jednak dokładnie wszystko przemyśleć, zanim podzieli się z towarzyszami swoim przypuszczeniem. Był wrogiem wyciągania zbyt pochopnych wniosków.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY ***Ogień i woda przeciwko skałom. — Skarby w drewnianej skrzyni. — Dziwne zrzeszenie rybackie Łuki Łukicza. — Jaskinia śmierci***

Geolodzy późno wrócili do domu i wkrótce zmorzył ich sen. Dopiero rano w całej pełni odczuli gorycz zawodu.

Uskow milczał pośepnie, Oroczo zamknął się w sobie. Sperański, Borys i Pietia w milczeniu zajęli się gospodarstwem. Nakarmili barany, a potem wybrali się na ryby.

Po powrocie do domu nie zastali już Lubimowa i Uskowa.

— O, tam poszli — Łuka Łukicz wskazał na południe. — Wzięli świece, siekierę, wiadro i poszli. Pewnie znowu do jaskini...

Sperański i Oroczo porządkowali zielnik. Jak się okazało, Sperański zebrał pokaźną kolekcję miejscowych roślin. Pod szopą leżały całe sągi gładko oczyszczonej kory lipowej. Zielnik z tego rodzaju okazami ważył co najmniej dwie tony.

— Nie mam ani papieru ani siatek — tłumaczył się gospodarz. — Musiałem wykorzystać korę. I nawet mi się udało. Rośliny dobrze wyschły, nie straciły koloru. Jest tu ponad dziewięćset gatunków. Katalog znajdziecie w moich notatkach na ścianie jaskini.

Ale oto nadeszli Uskow i Lubimow. Byli zadowoleni, weseli, gestykulowali i rozmawiali z ożywieniem.

— **Eureka!** — z dala już zawołał Uskow. — Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło! Znaleźliśmy.

— Co znaleźliście? Wyjście?

— Na razie jeszcze nie, ale mamy dobrą myśl. Teraz wszystko od nas zależy. Tylko od nas.

A więc, jak widać, nie na próżno Lubimow tak uważnie wpatrywał się w kamień, który pękł w jaskini. Rozumiał, że najcieńsza przegroda, oddzielająca ich od świata zewnętrznego, to skała, która odcięła drogę Sperańskiemu w kraterze. Jaką może mieć grubość? No, dziesięć, dwadzieścia, może trzydzieści metrów, ale przecież nie więcej! Ostatecznie nie jest to tak bardzo dużo.

Kiedy Pietia wylał wodę na rozpalony kamień i płyta pękła, przewodnik wpadł na pomysł, że ogień i woda mogą zastąpić drągi żelazne i oskardy, których im tak brakowało! Uskow zainteresował się tym pomysłem, po-

stanowiono więc przekonać się, co można uzyskać przy pomocy tych dwóch żywiółów.

Wyobraźcie sobie pryzmę ułożoną z kilkudziesięciu metrów sześciennych kamieni, tak mocno ubitą, jakby leżała tu od początku świata. Jedynie na dole, w kątach, prześwitywały wąskie szczeliny.

Lubimow podłożył drzewo pod jeden róg pryzmy i zapalił. Obok stały dwa skórzane wiadra z wodą. Dym nappełnił jaskinię, płomień świec przygasły, Uskow zakaszłał.

— Jak możesz to znieść? — zapytał Lubimowa.

— Przyzwyczajenie to druga natura — zażartował przewodnik.

Dym uniósł się do góry — widocznie znalazł ujście. Lżej już było oddychać, żywszy płomień ogarnął drzewo. Ściana pokryła się kopciem. Po dwóch godzinach ognisko wygasło. Lubimow rozgrzebał węgle.

— Lej wodę! — powiedział do Uskowa.

Uskow chlusnął strumień wody na czarne kamienie. Rozległ się charakterystyczny trzask. Odprysnęły małe odłamki.

Następne wiadro. Znowu kilka odłamków sycząc upadło na dno, razem było to chyba ze ćwierć metra sześciennego.

— Początek zrobiony! — wesoło zawołał geolog. — Teraz już wiemy: drzewo i woda, woda i drzewo!

— I ja tak myślę. Musimy zaraz ogłosić alarm... Do domu, po ludzi! — zaproponował Lubimow.

Poszli szybkim krokiem. Uskow, widocznie zapomniawszy, że tyle czasu spędził w dymie i kopciu, otarł ręką spoconą twarz i umazał się na czarno. Rozśmieszyło to Lubimowa.

— Proszę bardzo, śmiej się, druhu, ile dusza zapragnie — powiedział geolog wcale nie urażony. — Tylko prędko leć po ludzi.

Pomimo, że Uskow śpieszył się, w odległości kilku kroków od jaskini stanął, podniósł z ziemi odłamek porowatej skały i zaczął tak uważnie, w skupieniu przyglądać się jej, że Lubimow się zainteresował.

— Co tam takiego?

— Kimberlit!... — szepnął Uskow.

— Kimberlit? Cóż to nowego? — Ze zdziwieniem spojrział na szaroniebieski odłamek w ręku Uskowa, któremu oczy błyszcząły z podniecenia.

— Jeśli są kimberlity, mój kochany, to mogą być też, ni mniej ni więcej, tylko diamenty! Rozumiesz? To zwierzała, rozkruszona lawa wulkaniczna. Przed milionami lat, w najgłębszym wnętrzu ziemi, pod działaniem olbrzymiego ciśnienia i niezwykle wysokiej temperatury w roztopionej lawie powstawały kryształki diamentów — w szczególny sposób ułożone cząsteczki węgla. Minęły jeszcze miliony lat, lawa w którymś miejscu przerwała skorupę ziemską i wytrysła na zewnątrz uformowawszy „komin” napelniony tą oto niebieską wystygłą lawą, którą nazywamy kimberlitem.

— Cóż z tego wynika?

— To, że w kimberlicie tkwią diamenty. Rozumiesz? Te skały zawierają diamenty. Gdzieś tu są diamenty! To o wiele ważniejsze niż złoto czy platyna.

Uskow mówił głośno, prawie krzyczał, ale natychmiast dodał po cichu:

— Na razie jednak ani mru-mru! Oczywiście jestem niemal w stu procentach pewien, że to kimberlit, ale muszę jeszcze sprawdzić. Cóż by to było, gdyby geolog wyrwał się z czymś takim i pomylił się! Więc na razie — cisza!

Opowiadanie o doświadczeniu z wodą wywarło na towarzyszach wyprawy ogromne wrażenie.

— A wszystko dzięki Pieti! — powiedział Lubimow. — To on pierwszy chlusnął wodą na ognisko!

— Ale Włodzimierz Iwanowicz przyniósł wodę.

— A Oroczo rozpalił ogień.

— No, jeśli tak, to nie zapominajmy, że Wasilij Michajłowicz przyprowadził nas do jaskini.

— Pogódźmy się: autorstwo należy się całemu naszemu zespołowi — zamknął dyskusję Uskow. — Proponuję, żebyśmy jutro od rana przystąpili do ataku. A teraz — spać!

Ale sen ani rusz nie przychodził. Wszyscy leżeli marząc o tym, jak powrócą na Wielką Ziemię.

Wtem Sperański zabrał głos:

— Rzeczywiście nauka nasza uzyska ciekawe dane o przeszłości Ziemi. W kraterze Erszotu przeprowadzone zostaną poszukiwania, wiercenia. Nauka osiągnie wielką korzyść. Ale poza tym przyniesie to również korzyść materialną...

— Oczywiście — odpowiedział Uskow. — Złoża na dnie bezimiennej rzeczki, którą odnaleźliśmy dzięki notatkom Iwanowa, dadzą krajowi to, co nazywamy korzyścią materialną.

Może zresztą uda się nam znaleźć jeszcze coś innego...

— To „coś innego” już zostało znalezione.

Uskow drgnął:

— Co mianowicie?

— Mam na myśli pewne rzeczy, które teraz leżą tuż koło nas od wielu już lat.

To mówiąc Sperański wstał i bardzo wzruszony zapalił świecę. Wszyscy też wstali. Starzec uroczyście podniósł rękę:

— Oto jaki dar chciałbym przekazać nowej Rosji!

Pod ścianą stała zbita z cedrowych kłoców wąska, lecz długa skrzynia, która służyła jednocześnie za ławę i za łóżko. Sperański zdjął leżącą na niej skórą i podniósł wieko.

Na dnie skrzyni gęsto rozsypane były małe kamyczki, niektóre wielkości orzecha, niektóre mniejsze. W drżącym blasku świec rzuciły blade ognie, błyszcząły, mieniły się. Jedne miały odblask zielonkawy, inne jasnyniebieski, jeszcze inne różowy. Niektóre były przezroczyste jak świeża kropla rosy...

— Diamenty! Prawdziwe diamenty! — zawołali jednocześnie Uskow i Lubimow.

Trudno określić, ile ich tu było. Nikt jeszcze nigdy nie widział kosztownych kamieni zsypanych jak owies w sąsiedku.

— Oho, a to dopiero! — ze szczerym zdziwieniem wykrzyknął Borys.

— Ależ siła ich! — mruknął Łuka Łukicz.

Uskow z zapalem fachowca zaczął od razu oglądać poszczególne okazy drogocennych „kwiatów ziemskiej głębiny”.

— I to wszystko było w kraterze? — spytał.

— Naturalnie... wydostałem je z płytkiego złoża w dolinie znajdującej się w pobliżu mojej jaskini.

Szczerze mówiąc, Sperański w pierwszej chwili zdumiał się, gdy nie dostrzegł błysku chciwości w oczach swoich nowych przyjaciół. Czyżby mieli jakieś wątpliwości? Ale przecież geolodzy nie mogą wątpić, jeśli wszystko jest tak oczywiste! Nagle zrozumiał, że przynajmniej to ludzie wychowani po nowemu, ludzie nowej epoki, ludzie Rosji socjalistycznej, którym obca jest żądza zysku i zachłanność. Zrobiło mu się przykro, że dotąd ukrywał swoje skarby jakby nie ufając nowym przyjaciołom.

Uskow w nieco żartobliwy sposób opowiedział o dzisiejszym znalezieniu niebieskich minerałów i o tym, jak od razu

poznał, że to kimberlity, ale nie powiedział Sperańskiemu, chcąc dla pewności jeszcze raz zbadać odłamki przy dziennym świetle. Teraz jednak przekonał się całkowicie.

— Jestem pewien — dodał — że nawet nie domyślacie się, drogi przyjacielu, jaką wartość mają teraz diamenty. Myślicie, że to tylko ozdoby dla kobiet? Że jubilerzy oszli-fują je i zrobią brylanty do pierścionków i broszek?

— Pewnie, że tak. A państwo otrzyma pieniądze.

— Wygląda to trochę inaczej, doktorze. Teraz diamen-ty mają ogromną wartość dla wielu dziedzin techniki. Najcięższe stopy metali obrabia się rylcami z diamentów. Świdry z diamentowymi końcówkami drążą każdy mine-rał górski. Mechanika precyzyjna nie może się obejść bez diamentów. Nie są to więc po prostu kosztowne świece-delka, ale coś niezmiernie ważnego w życiu kraju.

Tej nocy nikt nie spał mocno, ale rano wszyscy zerwali się żwawi, pełni energii, i chcieli jak najprędzej wyru-szyć do jaskini.

— Proponuję — powiedział Uskow przy śniadaniu — żebyśmy zorganizowali pracę na trzy zmiany, po dwoje ludzi w każdej. Ogniska muszą palić się stale.

Gdyby spojrzeć na obóz z daleka, wydałby się bardzo hałaśliwy i ożywiony.

Geolodzy z baranich skór szyli buklaki na wodę, przy-gotowywali drwa. Sperański i Lubimow znosili grube powrozy. Duży ich zapas miał gospodarz krateru jeszcze od czasu, kiedy zwoził w jedno miejsce eksponaty swo-jego muzeum. Powrozy te o średnicy siedmiu centyme-trów skręcone były z mocnych łądyg roślin bujnie rosną-cych w kraterze. Przymocowano je teraz do „wołokuszy” — rodzaju zbitej z bali tratwy. Na podobnych, tylko mniej-szych „wołokuszach”, mieszkańcy północy przewożą siano po bezdrożach.

— Łas! Dzik! Ha, ha! — rozległo się po lesie.

Mamuty odpowiedziały trąbieniem. Głuchy odgłos do-biegł z zarośli, gdzie zwierzęta ogryzały młode pędy mo-drzewi. Zatrzeszczały zarośla, zachwiały się drzewa i na polankę wyszedł Łas, a za nim z wysoko podniesioną głową i sterczącymi w górę kłami pośpieszył jego przy-jaciel Dzik.

— Mądre zwierzęta! — zachwycił się Lubimow. — Ni-czym tresowane słonie!

— O nie, słonie to rozpieszczone stworzenia — zaprze-czył Sperański. — A mój Łas i Dzik są dziećmi natury

w całym tego słowa znaczeniu. Nie pamiętam wypadku, żeby Łas uraził mnie lub zadał ból. Nasze ulubione zajęcie to kąpiel. Włazę na szyję Łasa, który potem po brzuch wchodzi do jeziora, nabiera wody w trąbę i oblewa siebie silnym strumieniem plecy, a jednocześnie oblewa też mnie. Odłamkiem skały czeszę jego kark, podczas gdy on pochrząkuje z zadowolenia. W ten sposób możemy kąpać się godzinami. Potem Łas ostrożnie obejmuje mnie trąbą i stawia na ziemi. Oczy jego w takich chwilach błyszczą z radości. Podczas tych zabaw, Dzik zawsze ociera się bokiem o bok towarzysza i również oblewa się fontanną wody zmieszanej z piaskiem. Wiele pracowaliśmy razem, dźwigaliśmy drzewo, robiliśmy drogi, przemysłaliśmy złoto, karczowaliśmy duże pnie i zarośla, oraliśmy. Tak — tak! Właśnie oraliśmy! Użyłem do tego korzenia bukszpanu, który rośnie we wschodniej części krateru. Moja socha z postronkami spodobała się mamutom. Chętnie pozwalały się zaprząć i ciągnęły bez sprzeciwu.

— I szły równo po bruździe? — nieco ironicznie zapytał Oroczo.

— Nie mogłem ich do tego przyzwyczaić. Musiałem uciec się do podstępów. Wzdłuż bruźdy wtykałem pęczki słodkiej turzycy. Szły więc od pęczka do pęczka, żeby zjadać swój ulubiony przysmak. Ale powstała nowa trudność: Łas i Dzik uważały widocznie, że napracowały się przy orce, mają więc też prawo do zbiorów i wszystko zjadły do czysta. I na to jednak znalazłem radę.

— Jaką?

— Bardzo prostą. Zauważyłem, że mamuty żywią instynktowny strach przed trupami, a nawet kośćmi swoich braci. Dzik i Łas zawsze z daleka omijają cmentarz mamutów i nie ma siły, która mogłaby je zmusić do przekroczenia zakłętej strefy. Tylko wówczas, gdy mamut czuje zbliżanie się śmierci, idzie na mogiły swoich przodków i zostaje tam już na zawsze. Przyniosłem więc ponad czterdzieści kłów i kości mamutów i rozstawiłem wzdłuż granicy swojego gospodarstwa. Dzik i Łas długo stały przed łatwym do przejścia, ale świętym dla nich ogrodzeniem i ani razu nie odważyły się go przekroczyć. A przecież uraczyć się młodymi pędami jęczmienia albo bobu to dla mamutów wielka przyjemność, nawet jeśli są syte.

— A cóż to za bób, doktorze? — nagle zapytał Pietia.

— Wczoraj jadłeś kaszę z bobu, a dziś pytasz! — uśmiechnął się Łuka Łukicz, który istotnie poprzedniego dnia ugotował pilaw zastępując ryż bobem.

— To niskopienna roślina północna, w pewnym stopniu pokrewna naszej wyce, albo raczej soczewicy. Wsporniale rośnie tu obok jęczmienia i innych zbóż, rodząc wprawdzie niewiele, lecz bardzo smacznych i pożywnych ziaren.

Podczas tej rozmowy naładowano dREW na „wołokuszę” i Sperański zawołał Łasa. Gdy olbrzym podszedł, starzec wdrapał się na jego grzbiet, zarzucił liny na kły mamuta i Łas, przy akompaniamencie pełnych zachwyty okrzyków wszystkich zebranych, lekko pociągnął ogromny stos złożony z pięciu metrów sześciennych drzewa. Geolodzy poszli za nim. Dzik powłókł się z tyłu. Widocznie nie lubił samotności.

Poszukiwacze weszli do jaskini. Przenieśli tam drwa, wodę i świece. Potem Łas przywiózł jeszcze kilka stosów drzewa.

Na całym przeszło kilometrowej długości korytarzu zrobiło się gorąco. Rozgrzane powietrze zagęszczało się, dym siał się pod stropem. Członkowie grupy kolejno dyżurowali przy ogniskach, oczyszczali przejście z rozpalonych, odpryskujących odłamków. Skała po trosze zaczęła ustępować.

W ten sposób minęło wiele zimowych dni. Był to okres ciężkiej, zawziętej pracy. Ludzie jednak postanowili za wszelką cenę wydostać się z krateru.

Pewnego razu do Łapaj-Muchy przyszli „goście”.

Siedem niedźwiedzi dreptało koło chaty. A kucharz w tym czasie był sam. Wszyscy wyszli do pracy. Trudno powiedzieć, co zwabiło zwierzęta. Czy powodem był dobry humor wywołany przyjemną pogodą, czy też zapach smażonej ryby, który pobudził instynkt tych rybaków Północy, borych niedźwiedzi od wieków znanych z tego, że lubią wylapywać z wody półmetrowe łososie, gorbuse, kizucze. Tak czy owak goście zjawili się i Łuka Łukicz przez gościnność (a może, żeby uniknąć przykrych nieporozumień z przedstawicielami kudłaczy, które jak wiadomo bardzo łatwo z burzliwej wesołości wpadają w nieokiełznaną złość) wyniósł dla nich odpowiedni poczęstunek. Popenił przy tym nieostrożność, bo wziął ze sobą wielki półmisek z kory brzozonej, pełen smażonych ryb, przygotowanych na obiad dla członków wyprawy.

Jakże smakowicie pachną te ryby! Niedźwiedzie natychmiast otoczyły Łapaj-Muchę. Wyciągając zwinięte w rurkę wargi i chciwie cmokając zaczęły wyrwać mu z rąk poczęstunek. Kucharz uśmiechał się łagodnie. Ale oto jakiś spryciarz zakradł się od tyłu, obwąchał półmisek i już nie zdołał zachować przypisów dobrego wychowania. Zagarnął całe naczynie i pociągnął do siebie.

— No, no! — krzyknął rozgniewany kucharz. — Ach, ty łobuzie!...

A smażone ryby już rozsypały się po ziemi. Niedźwiedzie zaczęły się tarmosić. Poleciały kłaki sierści. Przestraszony Łapaj-Mucha trzema susami wpadł do chaty.

Tu dopiero zastanowił się. Żarty żartami, ale towarzysze wrócą i nie będzie miał co podać. Wyjrzał. Niedźwiedzie zjadły ryby i uspokoiły się. Jedne leniwie chodziły po polanie, inne dreptały na miejscu uczyt obwąchując ziemię, na której nie było już nic do jedzenia. Wyglądały jak zwykle bardzo dobrotliwie i po niedawnej złości nie zostało ani śladu.

— Niech was lichy!... — mruknął Łuka Łukicz i splunął z żalu.

Wzrok jego zatrzymał się na stojących pod ścianą wędkach. Szybko pokrajał na kawałeczki resztę ryb i ruszył nad rzeczkę. Niedźwiedzie wpatrywały się w niego z zainteresowaniem. Łuka Łukicz udawał, że ich nie dostrzega i szybko poszedł do strumienia, który w tym miejscu rozlewał się w małe jezioro. Było tam szczególnie dużo lipieni, lubiących rzucać się z wartkiego nurtu do spokojnej wody.

Niedźwiedzie powoli, ale w pełnym składzie, ruszyły za rybakiem. Gdy Łapaj-Mucha stanął na brzegu, rozsiadły się za nim półkołem. Rybak rozwinął wędkę, nadział kawałeczek ryby, popluł na niego jak należy i zarzucił. Niedźwiedzie patrzyły, a ciekawość rozpałała się w ich małych żółtawych oczkach. Lipienie biorą od razu, chwytają przynętę z jakąś rozpaczliwą stanowczością. Jest! Łuka Łukicz poderwał wędkę i nad wodą błysnęła rybia łuska. Niedźwiedzie aż wstały z niecierpliwości. Rybak zdjął zdobycz i nasadził na zaostrzony pręt. Widzowie zbliżyli się do brzegu. Jeszcze jedna ryba! Jeszcze! I jeszcze! Teraz niedźwiedzie stłoczyły się tuż koło rybaka i nie odrywając oczu patrzyły na ryby. Nagle, gdy Łuka Łukicz wyciągnął jeszcze jednego lipienia i linka z haczykiem opisywała w powietrzu koło, któryś podskoczył, zerwał w locie

zdobycz i na poczekaniu, bez zbytnich ceregieli wrzucił sobie do paszczy.

— A kysz! — wrzasnął rozzłoszczony rybak i smagnął psotnika wędką.

Niedźwiedź zawył i odskoczył. Cała szajka jednak czuwała. Gdy Łuka Łukicz odwrócił się, trzy zręczne młode niedźwiadki rzuciły się na zdobycz i w mig rozszarpały ją, przy czym zdążyły też pobić się i wykapać w rzece, płosząc wszystkie ryby.

Łapaj-Mucha rozgniewał się. Chwycił kamień i jednego złodziejaszka uderzył w bok, drugiego zdzielił wędką, trzeciemu dał kopniaka. Niedźwiedzie rozbiegły się i pochowały w zaroślach.

Gdyby Łuka Łukicz w tej chwili poskarżył się Sperańskiemu na psotników, starzec tylko by się roześmiał. Od tyłu już lat w wolnych chwilach zabawiał się właśnie w ten sposób: siadał na brzegu z wędką i wyciągał dla misiów rybkę po rybce. A za nim tłoczyli się chciwi „przyjaciele”. Misie tak się przyzwyczały do tej wesołej zabawy, że zachowanie Łuki Łukicza zdziwiło je i rozgniewało... Patrzcie proszę, ryb im żałuje! Ale Łuka Łukicz nie znał miejscowych zwyczajów i postępowanie niedźwiedzi uważał za złośliwą łobuzerkę.

A więc połów ryb skończył się. Łapaj-Mucha zwinął wędkę i wymyślając niedźwiedziom ruszył do domu.

Nagle misie zerwały się, niespokojnie podniosły głowy, zaczęły węszyć wilgotnymi nozdrzami. Coś je zaniepokoiło. Łuka Łukicz zatrzymał się również. Gdzieś wysoko w niebie zabrzmiał jakiś nieznany dźwięk. Coraz bliżej, coraz wyraźniej... W miarę, jak wzrastał niepokój niedźwiedzi, człowieka ogarniało radosne podniecenie.

Samolot! Warkot samolotu!

Łuka Łukicz wpatrywał się w gęste, białe obłoki, zakrywające tego wymarzonego zwiastuna wolności. Zaczął podskakiwać na miejscu, podrzucać czapkę i aż ochrypl wykrzykując coś bez związku, coś radosnego, jakby lotnik mógł z tej odległości usłyszeć jego słaby głos.

Warkot silnika przybliżał się jeszcze przez kilka minut. W głębi, w lesie, gdzie także z pewnością usłyszano ten odgłos, huknął jeden strzał, potem drugi.

Gdy równomierny warkot zbliżył się tak, iż zdawało się, że rozbrzmiewa nad samym kraterem, gdy ludzie na cały głos wykrzykiwali w niebo słowa powitania, niedźwiedzie odskoczyły i uciekły jak oszalałe.

Tymczasem jednak samolot, który wzbudził takie radosne podniecenie, zaczął się szybko oddalać. Dopiero wtedy Łapaj-Mucha spostrzegł ucieczkę swoich pomocników w rybołówstwie. Chociaż żał mu było, że samolot odleciał, uśmiechnął się przypomniawszy sobie złodziejasków, którzy uciekli na sam odgłos silnika.

— Ach, zacofane z was bydlaczki! — żartował. — Ani to samochodu nie widziało, ani samolotu.

Ciekawiło go jednak, gdzie się niedźwiedzie schowały.

W pobliżu miejsca, w którym się strumień gubił, zobaczył w ścianie ogromną nyżę, rodzaj grotu z wejściem kilkudziesięciometrowej szerokości i wysokości. Czarne wnętrze grotu wyglądało na tle szarej skały jak ciemna paszcza. Koło grotu dymił gorący strumyczek i unosił się przykry zapach. Ani krzaczka, ani trawki. Tam właśnie uciekły przerażone zwierzęta.

Łuka Łukicz dojrzał je pomiędzy skałami. Ale było ich tylko pięć. Ciężko dysząc leżały z pyskami przy ziemi. Szósty z trudem odpełzał coraz dalej od jaskini. Z jego szczelnie zamkniętej paszczy ulatywały żalosne jęki. Na wargach miał ślinę. Najwyraźniej był chory. Oto dopełznął jakoś do najbliższych krzaków i położył się zmęczony, z zamkniętymi oczami.

Unosił się tu przykry, ciężki zapach, prawdopodobnie siarki. Łuka Łukicz natychmiast domyślił się, że niedźwiedzie spędziwszy kilka minut koło jaskini musiały się zatruć.

Poganiając żerdzią, zmusił je, żeby wstały i odpędził w las, na świeże powietrze. Sam zaś zbliżył się do grotu. Trudno tu było oddychać. Zatkanął nos i podszedł kilka kroków. Dojrzał jeszcze dwa niedźwiedzie. Już nie żyły. Widocznie uciekając w popłochu nie zdążyły zatrzymać się w porę i pierwsze padły ofiarą zdradzieckiej groty.

Łuka Łukicz szybko wybiegł. W tej chwili zobaczył Pietię i Sperańskiego.

— Prędzej uciekać! Tu śmierć! — krzyknął Sperański i siłą pociągnął za sobą przestraszonego Łukę Łukicza. — Czegoście tu przyszli? Tu nie wolno chodzić! Patrście...

Zapalił gałązkę i opuścił ją na ziemię. Wesoły płomyk natychmiast zgasł.

— Dwutlenek węgla! Tyle razy zamierzałem ogrodzić ten straszny dół!

— Dwa niedźwiedzie zdechły — powiedział Łuka Łukicz. — Uciekły tu przed samolotem...

— Słyszałeś? — przerwał mu Pietia. — I ty słyszałeś samolot?

— A jakże! Krzyczałem, wrzeszczałem... poleciał...

— Myśmy też słyszeli, a nawet strzelaliśmy. Ale czyż mógł co widzieć? Tak pochmurno. A zniżyć się było niebezpiecznie.

Uskow i Oroczo także słyszeli warkot silnika. Teraz nikt nie miał wątpliwości, że rozpoczęto poszukiwanie grupy geologicznej 14-bis. Jeśli samoloty latają już nad Erszotem, to z pewnością wyruszyły też oddziały ratownicze wszystkimi drogami. Może więc pomoc jest już bliska i wkrótce wszyscy powrócą na Wielką Ziemię.

Łuka Łukicz podał na obiad tylko zupę.

— Niedźwiedzie wszystko zjadły — oświadczył. — I nawet nie pozwoliły nałowić ryb...

Musiał opowiedzieć o całym zajściu z misiami i o tym, jak uciekły do grotty. Uskow zakłopotany spojrział na Sperańskiego, który zasępił się i pokiwał głową. Czemu dotąd nie uprzedził o istnieniu tej strasznej grotty zagrażającej wszystkiemu, co żyje w kraterze?

Po obiedzie obaj poszli nad rzekę.

— Domyślam się, co was niepokoi, Wasiliju Michajłowiczu — zaczął Sperański. — Pod nami, w szczelinach skorupy ziemskiej, kryją się olbrzymie zasoby gazów. Na szczęście nie mają one większego dostępu do krateru. Już od przeszło roku tylko w jednej jaskini czuć dwutlenek węgla. Pamiętacie przecież, jakie labirynty przeszliśmy, a nigdzie nie natrafiliśmy na ujście gazu. Strefa martwa nie przekracza na razie czterdziestu metrów. Wydzielanie gazu jest nieduże.

— Tak, ale to jednak bardzo przykre sąsiedztwo... Jesteśmy na dnie leja. Jeśli tutaj, do nas dostanie się gaz, to nie będzie ratunku. Wszystko, co żyje, zginie w ciągu kilku minut... Czy nie należałoby jak najprędzej zabezpieczyć tej trującej grotty? Nie da nam spokoju.

— Spróbujemy zrobić to nie przerywając naszej zasadniczej pracy. Na razie można poprzestać na ustawieniu zwartej ściany z odłamków skalnych i kamieni. Zabezpieczy to krater przed rozprzestrzenianiem się ciężkiego gazu, ponieważ gaz przepływa nisko.

Zadecydowano więc, że stanie kamienna przegroda o wysokości dwóch, a długości siedemdziesięciu metrów.

Już następnego dnia Sperański i Oroczo zabrali się do roboty. Sperański przyprowadził oba swoje mamuty i za-

pędził do pchania ciężkich odłamów skalnych. Łas popychał je czołem albo trąbą, chroniąc kły. Dzik z daleka spoglądał na pracowitego Łasa. Ale zawołany przez Sperańskiego, stanął obok Łasa i dokładnie powtórzył jego ruchy. Dwu i trzytonowe głazy kładły się równo jeden koło drugiego. Ludzie musieli je tylko zsuwać i układać ściślej. Po upływie pięciu godzin, na całej długości przyszłej zagrody leżały dwa rzędy głazów i kamieni, a zdawało się, że mamuty dopiero teraz zasmakowały w pracy.

W ciągu czterech dni ściana została ustawiona. Teraz należało zasmarować ją gliną. Ale tego już mamuty odmówiły stanowczo: miały nieprzewyciężony wstręt do błota.

— Nic nie poradzimy — rozłożył ręce Sperański. — Zawsze podziwiałem tę dziwną cechę mamutów. Nie znoszą błota i gotowe są przejść choćby najbardziej okrężną drogą, byleby je ominąć. Nigdy nie piją brudnej wody, ani się w niej nie kąpią. A na przykład współczesne im nosorożce uważały za wielką przyjemność wytarzenie się od stóp do głowy w najohydniejszej kałuży. Zdaje się, że zupełnie nie uznawały rozkoszy kąpieli. Onieśmiałą je czysta woda.

A więc geolodzy musieli sami zasmarować ścianę gliną.

Wreszcie praca została ukończona. Przegroda skalna zamknęła złowieszczą grotę. Sperański po raz ostatni przedostał się przez ten mur i zapalił smolną gałąź. Igliwie buchnęło płomieniem. Opuścił ją. Na wysokości kolan płomień zgasnął: poniżej był już niewidoczny gaz, zabójczy dla wszelkiego życia i ognia.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI ***Pietia Odincow przebija się naprzód. — Sam jeden w skalnej klatce. — Dlaczego stary przewodnik płacze***

Geolodzy pracowali na trzy zmiany, palili ogniska dzień i noc, ale w ciągu dwóch tygodni zdołali przejść zaledwie koło dwóch metrów. Ile metrów mają jeszcze przed sobą? Któż to wie! Może dwa, a może dwadzieścia...

Wreszcie przed poszukiwaczami otwarła się szczelina około półmetrowej szerokości i dwudziestu kilku centymetrowej wysokości. Teraz mogli trochę dalej przesunąć ognisko i praca od razu poszła szybciej.

Pietia kilka razy bezskutecznie usiłował precyzyjnie się przez szczelinę.

A jednak po paru tygodniach pracy przebrnęli już cztery metry. Szczelina rozszerzyła się. Pietia dotarł do jej końca i dokładnie zbadał warunki. Wylazł cały ubrudzony, podrapany, ale z oczami płonącymi niecierpliwością i nadzieją.

— Cztery metry przeczolgałem się swobodnie. A dalej znowu ciasno. Gdybyśmy mieli łom, moglibyśmy rozwalić występy i rozszerzyć szczelinę. W jednym miejscu, przy końcu, można nawet siedzieć. Tam byłoby wygodnie drążyć. Uderzałem w skalę. Wydaje mi się, że dźwięczy, jakby była pusta...

Uskow z zainteresowaniem patrzył na chłopca. Czy też siedząc w tej szczelinie pamiętał, że piętrzą się nad nim miliony ton? A gdyby!...

Pietia dostał młotek geologiczny. Ze szczeliny dobiegało sapanie pracującego chłopca i urywki pieśni. Potem poleciały odłamki, pył. Pietia oczyszczał dno.

Wyszedł zlany potem.

— Gdzieś blisko jest wyjście. Nie wierzycie? Ach, co za szkoda, że nikt nie może przeleźć! Może Borys?

Ale próba Borysa nie powiodła się. Chłopiec był o wiele szerszy w ramionach.

— Spróbuj, Pietia, jeszcze raz. Poczekamy z ogniskiem. To bardzo ważne, żebyśmy wiedzieli, czy daleko do końca...

Od rana do wieczora Pietia siedział w swojej szczelinie i niezmiernie kuł. Ale cóż to za młotek! Zaledwie trzystugramowy. Ach, gdyby tak miał łom! Odpryskiwały

tylko drobne odłamki.

Chłopiec chudł, bladł, trzymał się jednak dzielnie. W nim teraz pokładano całą nadzieję. Posunął się przeszło cztery metry naprzód. Czyż nie uda mu się przebić tej diabelskiej przegrody?

Co pięć dni Sperański i Uskow chodzili do zatrutej grotty, żeby sprawdzić poziom gazu. Ostatnim razem, za ledwie Sperański zapalił świecę, płomień zadrżał i zgasł już na wysokości piersi. Gaz podnosił się. Zrozumieli, że wkrótce dosięgnie szczytu przegrody i przepłynie do krateru.

— Czy nie czas, żebyśmy znów rozłożyli ogniska? — zwrócił się pewnego dnia Lubimow do geologa. — Pietia goni resztką sił. Spójrz, jak on wygląda! Ogniska to sposób powolny, ale niezawodny.

Uskow również doszedł już do takiego wniosku. Niemala jest ta diabelska ściana i niełatwo ją zdobyć...

— Jak ci tam idzie? — spytał Pietię, który właśnie wylażł ze sztolni.

— Wszystko dobrze!

— Jesteś zmęczony, bardzo zmęczony. Proszę cię, nie zaprzeczaj. Widzę. Dobrze, jeszcze dwa dni... Jeżeli nic się nie zmieni — wylaż. Znowu zaczniemy palić ogniska. Wiesz, że jeśli nawet przebijesz otwór na wylot, to jeszcze nic nam nie pomoże: szczelina jest za wąska dla nas wszystkich.

— Ale przecież tam, na zewnątrz, leżą łomy i oskar-dy — zawołał Pietia. — Pamiętacie? Schowaliśmy je w jaskini. Jeśli przebiję się i wyleżę, podam wam narzędzia i sprawa od razu zostanie załatwiona.

Uskow szybko porozumiał się wzrokiem z Lubimowem:

— No, dobrze, próbuj dalej!

Chłopiec całe dni siedzi w kucki w swojej szczelinie i po trosze, centymetr za centymetrem odbija skałę. Tuk-tuk-tuk — dobiega z mroku. Odpoczywa parę chwil i znowu: tuk-tuk-tuk... Niczym dzięcioł!

Lubimow uważnie nasłuchuje i jeśli stukanie Pieti milknie na parę minut, z niepokojem woła:

— Żyjesz?

— Żyję! — dobiega głos chłopca.

I znowu: tuk-tuk-tuk... Pietia ma podrapane ręce i twarz, w głowie mu szumi ze zmęczenia, z braku powietrza. Ale jest uparty, chce osiągnąć swój cel. Przypomina sobie Pawkę Korczagina. Pawce przecież nieraz

bywało o wiele ciężiej, a jednak wytrwał!...

Nadszedł już marzec. Chwilami przez gęste białe chmury przeglądało słońce. Zniknęły resztki śniegu. Na klonach i topolach nabrzmiały pączki. Przyleciały wszędobylskie sikorki — te pastelowo ubarwione gile północy — i ożywiły się ptasie pogwarki w lasach. Wszędzie już czuło się tchnienie wiosny.

Po wyjściu z jaskini Pietia długo siadywał na kamieniach spoglądając na las, na zieloną już trawę, na słońce. Jakież ono piękne... Dawniej jakoś tego nie dostrzegał. Świeci, to świeci. A teraz, gdy tyle czasu spędza w jaskini, dopiero się za nim stęsknił...

Geolodzy żyli oczekiwaniem. Jeszcze parę razy słyszeli warkot silnika, ale rodził się i ginął gdzieś w oddali.

Pietia wciąż pracował. Widział, jaką troskliwością i szacunkiem otaczają go towarzysze, jak każdy chciałby przejąć chociaż część ciężaru, który spadł na jego barki. Niestety! Nikt oprócz Pieti nie mógł przecisnąć się przez wąską szczelinę.

Łuka Łukicz podsuwał mu przy obiedzie najlepsze kąski. W ostatnich czasach kucharz po prostu działał cuda w dziedzinie kulinarnej. Miał do rozporządzenia tak wspaniałe produkty, jak świeżą baraninę i ryby, orzechy i jagody, a także pietruszkę, cebulę i czosnek, które rosły tu sobie dziko, gdyż nawet w zimie z wierzchu przykrywał je śnieg, a od dołu podgrzewało ciepło ziemi. Kiedy Pietia wracał wieczorem, a koło ogniska zbierali się wszyscy mieszkańcy krateru, Łuka Łukicz rozsadzał ich przy czysto wyszorowanym stole. Z uroczystym wyrazem twarzy stawiał drewniane misy pełne gęstego barszczu ukraińskiego i kładł niemal prawdziwy jęczmienny chleb, nie mogąc przy tym nacieszyć się dobrym apetytem swoich stołowników.

— No, jak smakuje? Gorący?

Skromność nie pozwalała mu po prostu spytać, czy smaczny. Ale wszyscy odpowiadali nieodmiennie:

— Smaczny, bardzo smaczny!

— Dolać ci jeszcze, Pietia? Tłusty barszczyk, bardzo zdrowy!

Mały pracownik ledwie wstawał od stołu, padał na posłanie i natychmiast zasypiał. A podczas, gdy spał, Lubiń i Oroczo albo Sperański z Uskowem i Borysem, znowu szli do jaskini, rozpalali ogniska i wydobywali odpryski skał, wciąż rozszerzając i pogłębiając przejście.

Dzień należał do „pracującego dla przyszłości” Pieti, noc — do pozostałych.

Pewnego razu, kiedy Pietia leżał w sztolni i zalewając się potem drażył oporną ścianę, nagle skała ustąpiła, młotek uderzył w pustkę, świeca zgasła i strumień zimnego, ale niesłychanie przyjemnego powietrza wpadł do sztolni. Chłopiec krzyknął, zachłysnął się, zakręciło mu się w głowie i stracił przytomność.

Świeże powietrze buchnęło ze szczeliny, porywając ze sobą pył i kopeć. Lubimow zerwał się i próbował czym prędzej zapalić świecę. Ale ręce mu drżały. Czuł, że w sztolni zaszło coś niezwykłego — może to, czego w wielkim podnieceniu wszyscy oczekiwali już od tak dawna. Uderzył krzemieniem w krzesiwo. Raz, drugi! Wreszcie! Zapaliła się też świeczka. Słaby blask oświetlił zaczerwienioną ze zdenerwowania twarz Lubimowa.

— Pietia! — zawołał.

Cisza. Ze sztolni nie dobiega żaden dźwięk. Cicho jak w grobie...

— Pietia! — jeszcze głośniejszym krzyknął Lubimow, pewien, że chłopcu stało się coś złego. — Odezwij się, Pietia! Gdzie jesteś, co się stało?

Cisza.

— Pietia, chłopcze!

Stary przewodnik nigdy w życiu nie płakał. Ten człowiek z żelaza przechodził różne koleje, ale nikt nie widział łez w jego oczach.

A teraz...

Siedział w ciemnej jaskini, w nieprzejrzanym mroku, przytuliwszy twarz do skały i rozpaczliwy szloch wstrząsał jego masywną postać.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Gaz atakuje. — Nocna ucieczka. — Bohaterska walka z masywem skalnym

Tego dnia, który przed chwilą opisaliśmy, razem z Łubimowem był w jaskini także Uskow. Niedługo jednak przed fatalną chwilą odszedł. Nie dawał mu spokoju kimberlit, ta niebieska glina z krwistoczerwonymi cętkami pironu, którą znalazł w pobliżu jaskini. Teraz nie miał już wątpliwości, że jest to skała zawierająca diamenty. Niesłychanie podniecało go zarówno samo odkrycie jak — nie będziemy tego ukrywać — fakt, że był pierwszym geologiem radzieckim, który odkrył główne złoża diamentowe w kraju.

Uskow na krótko tylko opuścił Lubimowa i właśnie wracał do jaskini bardzo zadowolony, ponieważ nawet na ziemi znalazł kilka drobnych, ale całkiem oczyszczonych diamentów,

Miał zamiar namówić Pietię, żeby wypoczął, i rozpalic ogniska. Szedł prędko, ze świecą w ręku.

Oto zakręcił na prawo. Już jest blisko. Nagle płomień świecy zachybotał i zgasł. Uskow stanął jak wryty. Wiatr? Serce zabiło mu gwałtownie na myśl, że to może Pietia przebił ścianę... Wyrwał z kieszeni latarkę elektryczną, którą zapalał tylko w wyjątkowych wypadkach, i szybko pobiegł.

Co to? W ciemności, tuż przy wąskiej szczelinie, leżał Lubimow i szlochał.

— Gdzie Pietia? Co się stało?

Nie czekając na odpowiedź Uskow rzucił się w stronę szczeliny i oświetlił wąską sztolnię. Promień prześliznął się po ścianach i zatrzymał się na podeszwach butów. Znajome, zniszczone buty. Zaledwie o parę metrów...

— Pietia! — krzyknął Uskow jak mógł najgłośniejsz.

Chłopiec nie odpowiedział. Ale oto rozległo się ni to sła biutki westchnienie, ni to jęk.

— Słyszysz mnie, Pietia? Pietia!

— Zaraz... — dobiegł cichy szept.

Gumowe buty poruszyły się. Pietia wolno, ostrożnie odwrócił się i zaczął czołgać się w kierunku światła latarki.

Uskow roześmiał się nerwowo:

— No i czegoś się tak zdenerwował, Mikołaju Nikano-

rowiczu? Żyje nasz chłopak i już jest tutaj.

Śmiertelnie blady po omdleniu, wymizerowany, Pietia z trudem wyczołgał się ze swojej nory i uśmiechnął się.

— Przebiłem — powiedział. Chciał coś dodać, ale atak kaszlu nie pozwolił mu mówić!. Chwycił się za pierś. — Ach, jak boli!... — jęknął cicho i upadł na ręce Uskowa.

Kiedy wniesiono chłopca do domu, był rozpalony. W piersi mu grało, oddychał szybko i z trudem.

— Obawiam się, że to zapalenie płuc — powiedział doktor Sperański.

— Jakże mógł — zapytał ktoś — dostać zapalenia płuc w ciepłej zatęchłej jaskini?

— Bardzo łatwo — odpowiedział lekarz. — Leżał spocyny w przeciągu, więc się zaziębił. Nie martwcie się, zajmę się nim.

Czyż trzeba wyjaśniać, w jak ciężkiej sytuacji znalazł się Sperański? Był lekarzem i oczywiście w nim pokładano całą nadzieję. Ale przecież już trzydzieści lat nie praktykował, nie miał potrzebnych lekarstw... Wszyscy to rozumieli. Trzeba przyznać, że Sperański zabrał się do leczenia Pieti z całą powagą i spokojem. Nie ma lekarstw? Zaczął więc gotować wywary z ziół i malin leśnych, których spore zapasy zgromadził kiedyś dla siebie.

Chłopiec leżał ciepło przykryty futrami. Jakże niepokoił się Uskow! Jak denerwował się Lubimow! Wąsy Łapaj-Muchy straciły ochotę do zakręcania się w górę i jakoś ponuro obwisły. Ale Sperański, który ani na chwilę nie opuszczał chorego, uspokajał ich:

Chłopak wylize się z choroby. Jest silny. Wstanie, posiedzi na słońcu i szybko przyjdzie do siebie. Wiosna!

Tak, nadeszła wiosna. Zapachniało rozgrzane igliwie. Nad kraterem coraz częściej niebo było wysokie, błękitne, czyste, i słońce dopełniało tego, czego podczas zimy nie zdołało zrobić ciepło wygasłego wulkanu: ziemia wysychała parując i okrywała się gęstą zielenią. Spod opadłych liści i zrudziałego igliwia wyrastały kępki delikatnych pierwiosnków. Szyszka cedrowa, która spokojnie przeleżała całą zimę w gęstej trawie, teraz wypuściła kilka zielonych pędów i wkrótce rozrzuciła na boki delikatne młodzietkie liścienie. Ptaki również czciły narodziny wiosny. Sójki skrzeczały, sroki trajkotały. Czarny drozd, który nie wiadomo kiedy i w jaki sposób znalazł się pod tą szerokością geograficzną, co pewien czas wyśpiewywał swoje pieśni. Przekrzykiwały się sikorki. Zadumane wrony, całymi dniami

siedzące w milczeniu na suchych, zrąbanych drzewach, nagle ocknęły się i napęłniały las szaleńczym krakaniem.

Niepokój i oczekiwanie przebijało w zachowaniu zwierząt. Barany podrywały się z miejsc i bez powodu skakały po skałach. Niedźwiedzie chodziły parami i Borys przysięgał, że widział już miesięczne niedźwiadki. Lisy i zające co rano goniły się po gęstych zaroślach leszczyny i wrzosowiskach.

Cała przyroda świętowała.

Pietia rzeczywiście zaczął po trochu wstawać. Jadł już siedząc przy stole. Wkrótce mógł wychodzić na polanę, bawić się z psami i wygrzewać na słońcu roziskrzonym ponad kraterem.

Po kilku dniach poszedł nawet na polowanie i przyniósł parę sporych kaczuszek. Wszyscy się z tego cieszyli.

Ale... niespodziewanie zaczęła się zbliżać katastrofa.

A było to tak.

Uskow i Sperański wybrali się do jaskini gazowej, żeby zobaczyć, co się tam dzieje. Z daleka już dostrzegli, że zielona trawa i niskie zarośla przed jaskinią przybrały smutne, jesienne barwy i uświadomili sobie straszną prawdę: trujący gaz z jaskini, przedostając się przez ścianę, rozpływał się po kraterze. Wrócili ogromnie przygnębieni. Uskow opowiadał towarzyszom:

— Gaz nie ma ujścia. Rozprzestrzeni się po dnie całego krateru i wówczas nastąpi zagłada tej wspaniałej przyrody — lasów, łąk i zwierząt. My również nie unikniemy ich losu. Sprawa, jak widzicie, wygląda więcej niż poważnie. Chodzi o życie nas wszystkich. Za parę miesięcy krater napęłni się gazem i stanie się dzikim pustynnym wąwozem. Mówię: za parę miesięcy. Ale może to nastąpić nawet wcześniej.

Kierownik grupy zwracał się do wszystkich, ale mówił cicho. Pietia leżał na ławce, jakby pogrążony w głębokim śnie, co było na rękę kierownikowi, nie chciał bowiem niepokoić osłabionego jeszcze rekonwalescenta.

Chłopiec jednak nie spał. A raczej spał, ale gdy obudził się i usłyszał rozmowę, postanowił udawać, że śpi i słuchać.

Kiedy w domu zapanowało ponure milczenie, nagle ku zdziwieniu wszystkich oświadczył:

— Wujku Wasia, ale przecież teraz możemy uciec. Przecież otwór został przebity na wylot. Czyżby mi się tylko zdawało?

— Nie, Pietia, nie zdawało ci się! — powiedział Uskow

ze wzruszeniem. — Naprawdę przebiłeś skałę. Ale otwór jest dla nas za wąski. Nawet ty przelazłeś z trudem. A przejście ma sześć metrów długości. Ileż pracy trzeba jeszcze włożyć! Całe miesiące roboty...

— Mogę przedostać się na drugą stronę i przynieść stamtąd łomy i oskardy. Leżą przecież w jaskini.

— Nie wolno ci jeszcze pracować.

— Ależ ja jestem zdrow! Jak Łas!

Mimo wszystko nikt nie chciał słuchać projektów Pieti. Nawet Łuka Łukicz, który od dawna już utrzymywał, że Pietia wygląda zdrowo „jak ten żrebaczek”, nagle stwierdził, że chłopak jest teraz po prostu „słabosilny” i powinien tylko jeść i spać.

W jaskini pracowano bez udziału Pieti. Ogniska paliły się cały czas. Goniąc resztkami sił ludzie dźwigali drwa i wodę. Był to jakiś szaleńczy wyścig z trującym gazem — kto kogo prześcignie!

Pietia, nie mogąc znieść przymusowej bezczynności, przyszedł również do jaskini. Wyprowadzono go jednak szybko, łagodnie, ale bezapelacyjnie.

Wówczas postanowił...

W nocy, kiedy wszyscy spali, po cichutku wstał, ubrał się, wsunął do kieszeni zawczasu przygotowane świece, hubkę i krzesiwo, i bezszelestnie wyszedł z domu.

Na wysokim ciemnym niebie błyszcząły gwiazdy wielkie i tak jasne, jakby ktoś dopiero co posrebrzył je i zawiesił dla ozdoby. Powietrze nocne było rześkie i pełne wiosennej świeżości. Ciemny las tonął w milczącym, tajemniczym śnie. Pietia szybko przebył znajomą ścieżkę. Koło wejścia do jaskini odwrócił się, chwilę nasłuchiwał, ale nie pochwycił żadnego niepokojącego odgłosu. Wszedł. Światelko błysnęło i wkrótce znikło za zakrętem skalnego labiryntu.

W ciągu godziny chłopiec dobrnął do swojej sztolni. Tak, wąska... Nawet dla niego za wąska. Obok leżał młotek. Pietia położył się wygodnie, zapiął kurtkę pod samą brodą, umocował przed sobą świecę i w jaskini znowu zaczęło rozbrzmiewać zwykłe tuk-tuk-tuk.

Minęła godzina. Chłopiec odrzucił odpryski i spróbował posunąć się naprzód. Coś mu przeszkadzało. Cofnął się więc i kilku niezawodnymi uderzeniami zbił sterczące występy skalne. Jeszcze jeden wysiłek i wreszcie przecisnął się przez otwór. Nie wierząc sam sobie stanął na równe nogi. Był po drugiej stronie skały! Na wolności! Nikt nie

widział jego błyszczących oczu. Nikt nie słyszał, jak śmiał się ze szczęścia.

Ze świecą w ręku posunął się dalej. Była to dobrze znana jaskinia! Przed kilku miesiącami chodził po niej z Lubimowem i Tujem szukając śladów Iwanowa.

Jaskinia stopniowo rozszerzała się i stawała się wyższa. Powiało chłodem. Daleko, na przedzie, majaczyło coś białego. Śnieg! Oto wejście, oto rzeczy, które tu zostawili.

Chwilę postął wdychając mroźne górskie powietrze. potem energicznie odrzucił kamienie przytrzymujące brezent namiotu. W porządku! Wybrał najpotrzebniejsze narzędzia: dwa łomy i oskard. Związał je i chciał już zawrócić, ale postanowił jeszcze zajrzeć do wąwozu.

Sławny wąwóz, który ekspedycja opuściła we wrześniu ubiegłego roku. W głębokim mroku posępne ściany jak gdyby zwierają się ze sobą. Wszędzie leży śnieg. Mróz. Z ust idzie para.

Pietia poczuł dreszcze i zawrócił do ciepłej jaskini. Jakże się cieszył — był pierwszym człowiekiem, który wydostał się z krateru na wolność.

Teraz musi się śpieszyć. Z trudem niesie na ramieniu ciężkie narzędzia, ale nie odpoczywa, nie zatrzymuje się ani na chwilę.

Wsufa do otworu swój ciężar i sam zaczyna się czołgać. Trudno posuwać się, zwłaszcza z tym bagażem. Ale trzeba się śpieszyć...

Kiedy już tylko metr dzieli go od wyjścia, czyjeś silne ręce wyrrywają mu narzędzia i podnoszą go. Wkrótce potem Pietia siedzi już przy rozżarzonem ognisku, opatulony w niedźwiedzie skóry, i pije gorący napar z malin. Jego radośnie błyszczące oczy proszą o wybaczenie, żartuje, rozkrywa się, udaje, że jęczy, ale Sperański surowym, ojcowskim wzrokiem ukróca te chłopiące wybryki.

— Siedź spokojnie! Wypij jeszcze! No, no, nie odkrywaj się. Musisz się porządnie ogrzać, a potem pójdziemy do domu. Oberwiesz za to od Uskowa! Któż tak robi? Mogło ci przecież sił zabraknąć.

Gdy doktor Sperański obudził się w nocy, spostrzegł, że Pieti nie ma. Od razu domyślił się wszystkiego. Wstał, wziął trochę suszonych malin, kociołek z wodą i pośpieszył do jaskini. Pieti już tam nie zastał. Ale nie miał wątpliwości, gdzie chłopiec zniknął i z czym powróci. Rozpalił więc ognisko, ugotował wywar z suszonych malin i tu doczekał się uciekiniera, którego na miejscu pro-

filaktycznie poddał zabiegom lekarskim.

Potem obaj wrócili do domu i po cichutku, nikogo nie budząc, położyli się spać.

Gdyby ktoś chociaż na chwilę oświetlił pokój, zobaczyłby pięciu ludzi leżących na swoich posłaniach z otwartymi oczami. Wszyscy doskonale widzieli powrót Sperańskiego i Pieti, wszyscy rozumieli, co zaszło, ale udawali, że nic nie słyszą.

Pietia spał do godziny dziesiątej. Kiedy się obudził, w domu już nie było nikogo. Na stole stało śniadanie.

Podczas gdy jadł, sześciu mężczyzn, zmieniając się kolejno, z zapalem rozbijało w jaskini ścianę skalną łomami i oskardem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

w którym wszystko wskazuje na to, że członkowie wyprawy i doktor Sperański muszą zginąć. — Plam Pieti zostaje wprowadzony w życie

Uskow pierwszy powrócił do domu.

— Jak się czujesz? — spytał natychmiast, kładąc siostrzeńcowi rękę na czole.

— Dobrze. — Pietia był trochę zmieszany i starał się nie patrzeć w oczy wujowi. — Nic nadzwyczajnego! Po prostu poszedłem i koniec...

— Dałbym ci za to „nic nadzwyczajnego”! Przesadzasz z tą odwagą, chłopcze!

Uskow mówił głosem surowym, ale czuło się, że tylko dla zasady robi chłopcu wymówki. Wzruszył się ten srogi kierownik grupy geologicznej 14-bis! Przerwał w pół słowa, po męsku, jakoś niezgrabnie, objął Pietię, mocno przytulił i poklepał po ramieniu.

— Zuch z ciebie chłopcze! Zuch! Nie ma co mówić! Ale, żeby mi się to więcej nie powtórzyło! — dodał ze sztuczną groźbą. — Rozumiesz?

— Rozumiem, wujku! Pewnie, że rozumiem!

W tej chwili nadeszła reszta grupy.

— Wiesz, chłopcze, jak kuliśmy? Borys obliczył, że jeśli tak dalej pójdzie, to za czterdzieści dni piskłeta wylecą ze swego gniazda.

Lubimow mówił z przekonaniem, głosem podniesionym. Nikt ani słowem nie wspomniał o nocnym zdarzeniu. Dopiero, kiedy po śniadaniu Pietia i Borys poszli zobaczyć, czy są już mamuty, Borys powiedział:

— W przyszłości uprzedzaj mnie o takich sprawach. We dwóch byłoby przecież różniej. Dobrze?

— Dobrze. A wiesz jak w nocy strasznie w jaskini? Szczególnie samemu. Po prostu strasznie.

— A jak tam jest za kraterem?

— Zimno. W wąwozie leży śnieg. Nawet jeszcze nie zaczął tajać. Ciągle myślę o tym, czy wuj puści mnie samego? Czyżbym musiał czekać, aż przejście się rozszerzy? Ileż to czasu minie! Mówisz, że czterdzieści dni? A gazy? Miałbym czekać czterdzieści dni?

— Poszedłbyś sam?

— Pewnie, że poszedłbym. Cóż to nadzwyczajnego? Znajdę drogę. Zabiorę Kawę, Tuja, strzelbę i — hajda! No, ileż czasu byłbym w drodze? Chyba miesiąc. Znam drogę, pamiętam którędy szliśmy w tę stronę.

— To było latem, a teraz wszędzie leży śnieg, za-
błądzisz.

— A od czego jest mapa? Lubimow ma dokładny szkic.

— To racja...

— Wyjdę na trasę, a dalej już spotkam ludzi... Przeprowadzę ich tu, wtedy rozwalą tę skałę w mig. Potrzeba pewnie ze dwieście kilogramów amonalu i po wszystkim.

Czyż można spokojnie siedzieć i czekać, aż gazy zatrują nas wszystkich?

— Przeklęty gaz! — zawołał Borys. — Wiesz, daleko już rozszedł się po kraterze. O mało sam nie wpadłem. Pamiętaj, że prawie nie ma zapachu, ale od razu mąci w głowie i usypia. Żal mi tej doliny! — Spójrz co za las, jakie łąki! — I to ma zginąć...

— Gdyby przyprowadzić tutaj ludzi, moglibyśmy coś wymyślić i wszystko dałoby się uratować. Łasa i Dzik też by ocalili. Żeby tak można było przewieźć ich do nas, do Władywostoku! To by się wszyscy zainteresowali!

Pietia już sobie wyobraził górzyste ulice rodzinnego miasta, tłumy mieszkańców i siebie, Pietię Odincowa, prowadzącego na lince oszołomione niezwykłym otoczeniem mamuty. Mama patrzyłaby na syna i jego dziwaczne zwierzęta z miłością, niepokojem i zachwytem; biegłoby za nim tłumy.

— Trzeba uratować Łasa, Dzika i wszystko, co żyje w kraterze. A zresztą czy można pozwolić, żeby krater stał się wymarłym wąwozem? Przecież stracilibyśmy wszystkie znajdujące się tu bogactwa.

— Oroczo mówi, że jak ludzie zagospodarują te ziemie, założą tu w kraterze taki sowchoz, jakiego jeszcze nikt nie widział! Zaorze łąki, zbuduje inspekty i cieplarnię, będzie hodował krowy i świnie. Nikt nie uwierzy, że nokoło jest martwa północ.

— Wyobrażam sobie, jak się o nas niepokoją w Hamadanie!
— powiedział Borys po chwili milczenia. — Zwłaszcza Wieroczka. To nie żarty, przecież prawie rok nie ma wiadomości o ojcu...

— Ani o Borysie... — uzupełnił Pietia.

Borys spojrzał na Pietię, ale nic nie odpowiedział. „A to zuchwałę chłopaczysko!” — pomyślał.

Dzicy mieszkańcy zaczęli się już przeprowadzać: dolna część krateru stopniowo pustoszała. Uciekły niedźwiedzie, barany, lisy, zające i wydry, odleciały ptaki. Mamuty były wyraźnie zdenerwowane i dni spędzały zawsze w górnej części krateru. Cały świat zwierzęcy czuł zbliżanie się niebezpiecznych gazów.

Pewnego razu Pietia wdrapał się na sterczącą wysoko ponad lasem skałę. Widok stamtąd był bardzo rozległy. Dolną część krateru zapełniało zielone morze roślin. Natomiast w stronie południowo-zachodniej widać już było posępną żółtą plamę, jak gdyby szalał tu pożar, który wszystko spalił. Drzewa zachowały jeszcze na wierzchołkach zielone liście, ale niższe gałązki, krzaki i trawa były już martwe. Wymarły obszar ział smutkiem. Serce ścisnęło się Pieti. Czyżby miał zginąć cały ten zagubiony w dzikich górach północnych uroczy światek? Nie, nie można na to pozwolić! Trzeba na głucho zamurować podziemne przejścia, którymi gaz przenika. Ale czas nagli... Muszą się śpieszyć, muszą się przede wszystkim sami uratować. Czy zdążą? Jest tylko jeden człowiek, który może wyjść z krateru i ocalić ludzi, zwierzęta i całą tę bogatą przyrodę. Tym człowiekiem jest właśnie on, Pietia Odincow.

Z niezłomnym postanowieniem w sercu, z płonącymi oczami, zbiegł ze skały i pomknął do domu.

— Wujku! Towarzysze! — krzyknął już z daleka. — Pozwólcie mi natychmiast wyruszyć w drogę. Byłem teraz w zachodniej stronie krateru. Gaz zbliża się. Jeśli pomoc nie nadejdzie, nie zdążycie przebić się do wyjścia. A ja przyprowadzę tu ludzi, zobaczycie. Jestem już zupełnie zdrow i bez trudu przejdę całą drogę. Pozwólcie mi tylko zabrać Kawę i Tuja a zobaczycie, że najdalej za miesiąc przyjdą tu ludzie i uratują i was, i cały krater. No, pozwólcie...

Geolodzy przyjęli słowa Pieti w milczeniu, w zadumie. Puścić chłopca, znaczyłoby ryzykować jego życiem. Ale trudno mu także zabronić. Tutaj wszystkich czeka śmierć...

Jak więc postąpić, co odpowiedzieć chłopcu?

Wszyscy z zainteresowaniem czekali, co powie Uskow. Był przecież nie tylko kierownikiem grupy, ale też Pieti zastępował ojca.

— Prawdziwy z ciebie komsomolec, Pietia — powiedział po długim namyśle. — Wprawdzie będę się o ciebie bardzo niepokoił... ale dobrze, idź. Nie mamy innego wyjścia...

...Łuka Łukicz nie odchodził od pieca. Rosły góry bułeczek, herbatników i ciastek; we wszystkich kątach domu pachniało smażone mięso, skurczyły się zapasy produktów w spiżarni Sperańskiego, a Łapaj-Mucha wciąż piekł, smażył i gotował. Można by sądzić, że kucharz przygotowuje żywność dla wyruszającej na daleką wyprawę całej kompanii wojska.

Psy czuły, że dzieje się coś niecodziennego i kręciły się koło Pieti. Karmiono je teraz intensywnie. Tuj tak utył, że Borys stwierdził z niepokojem:

— Utuczylili go... Chyba nawet nie wlezie teraz do szczeliny.

Pietia, cały czas spędzał z Lubimowem. Przewodnik udzielał mu wskazówek i sprawdzał jego wiadomości.

— Przypuśćmy, że nie masz kompasu, że zgubiłeś go. Dokąd pójdziesz?

— W nocy pójdę odwrócony plecami do gwiazdy polarnej, czyli na południe. W dzień zorientuję się według pni drzew. Mech rośnie po północnej stronie pnia.

— Ale teraz jest wiosna, skądże tam będzie mech? Jak określiś kierunek na podstawie roślinności?

— Drzewa płożące rosną tylko na południowych stokach. A poza tym sami mówiliście, że w dzień, na słońcu, soki zaczynają krążyć po południowej stronie pnia. Prawda?

— Dobrze! A powiedz no mi, w jaki sposób przepłyniesz rzeczkę?

— Zwiążę łożą dwa pnie albo nawet trzy i na wierzchu położę chrust.

— Jak będziesz spał?

— W worku. Przedtem zgarnę śnieg na stronę odwietrzną. Ogrzeję ziemię ogniskiem, przykryję gałęziami.

— A jeżeli nie będzie lasu?

— Zakopię się w śniegu w worku, razem z psami.

— Teraz jest marzec, śnieg błyszczący. Wiesz, że możesz oślepnąć?

— Będę patrzył tylko na ciemne przedmioty: drzewa, krzaki, wodę, na własne nogi. Zwiążę oczy ciemną chustką.

— Czym będziesz strzelał do niedźwiedzi?

— Teraz dopiero się obudziły. Jeśli się ich nie będzie zaczepiać, nie zrobią nic złego. Przed niedźwiedzicą ucieknę. W razie konieczności, gdy zwierzę stanie na tylnych łapach, będę strzelał kulą Żakana w pierś.

— A jeśli spotkasz rysia albo rosomaka?

— Znam rysie i wiem, jakie mają zwyczaje. Boją się ludzi, nie są wcale groźne.

— Zorientujesz się, czy rzeka zamarzała do głębi?

— Tak, wiem przecież, że strome brzegi nie grożą niebezpieczeństwem, ale jeśli są pochyłe, trzeba chodzić po wierzchołkach zasp, unikać wklęsłości, nie zdejmować nart.

Sperański uszył solidny plecak na rzeczy. Były w nim nawet przedziałki, w których na wszelki wypadek umieścił zioła lecznicze. Oroczo i Borys zajęli się nartami. Obciągnęli je foczą skórą, z której uszyta była kurtka Łapaj-Muchy. Narty takie przy podchodzeniu nie ślizgają się i nie oblepiają mokrym śniegiem. Wielkie gumowe buty Pieti zostały wzmocnione skórą, do środka włożono puchowe wkładki — niezawodną ochronę przed najsroźszym nawet mrozem.

Uskow i Pietia pochyliłi się nad mapą. Białą plamę na niej przecinały kolorowe linie dróg, którymi przeszła grupa geologów.

— Staraj się zapamiętać marszrutę, żebyś ją miał w głowie — zaczął Uskow. — To najważniejsze. Nie wiadomo, co się może stać z mapą. Idź kierując się kompasem i o ile możliwości, trzymaj się naszych poprzednich ścieżek. Znajdziesz na nich znaki Lubimowa — nacięcia w kształcie krzyża na drzewach. Szukaj ich — to niezawodne punkty orientacyjne. Będziesz szedł w okresie, kiedy rzeki mogą już zacząć wylewać. Nie chodź dolinami, bo są zdradliwe, trzymaj się niższych partii sopek. Jeśli wszystko będzie dobrze, wkrótce zejdziesz do doliny Szalonej Rzeki. Tam bez wahania skręć na południe. Za przełęczą na pewno wyjdiesz na trasę. W Hamadanie musisz się osobiście zobaczyć z dyrektorem Zjednoczenia. Daję ci list. Pilnuj go jak oka w głowie. Zawiera wszystkie wiadomości dotyczące naszej wyprawy i krateru Erszotu. List nie może dostać się w niepowołane ręce. Gdzie go schowasz?

— Do czapki. O, tutaj, za podszewkę. Najlepsze miejsce.

— Dobrze. Weź kilka tych kamyczków i samorodków, pokażesz je w Zjednoczeniu. To ich zorientuje... Staraj się unikać spotkania z wszelkimi zwierzętami. Niebezpieczne są zwłaszcza wilki i niedźwiedzie. Pamiętaj, że w tajdze człowiek bywa często bardziej niebezpieczny niż zwierzę. Nie ufaj każdemu, kogo spotkasz. I na wszelki

wypadek oprócz strzelby, weź także to...

To mówiąc Uskow wyjął z kieszeni i podał Pieti rewolwer i kilka magazynków. Chłopiec aż się zaczerwienił: dostał taką broń!

— Postrzelaj sobie z niego dla wprawy przez jeden dzień i schowaj. Najlepiej do tylnej kieszeni w spodniach. Nie będzie ci tam przeszkadzał i nikomu nie rzuci się w oczy. Zdaje się, że masz także przy sobie nóż?

— Mam kindżał. Borys teraz go ostrzy.

Nadszedł wreszcie dzień, w którym Pietia wyruszył w niebezpieczną, daleką drogę.

Słońce świeciło. Zieleń była już bogata. W kraterze nastąpiła prawdziwa wiosna, ptaki śpiewały, zieleń się wysoka trawa.

A Pietia szedł do zimnych krain. Włożył waciacz i kożuszek, futrzaną czapkę i wielkie grube buty. Zarzucił na ramiona mocno naładowany plecak. Strzelba, kindżał, siekierka, narty. To chyba wszystko...

Ciężka była chwila rozstania. Pietia ze wzruszeniem patrzył na surową twarz wuja, na dobrego jak ojciec Lubimowa i Sperańskiego, na agronoma i Borysa, który nadrabiał miną, i na smutnie zwisające wąsy Łapaj-Muchy. Taką miał ochotę pocieszyć towarzyszy, powiedzieć, że wszystko będzie dobrze i że wkrótce przyprowadzi pomoc. Bał się jednak, że i jemu głos może zdrześć.

Przyjaciele ucałowali Pietię, mocno uścisnęli mu rękę i życzyli szczęśliwej drogi.

Potem wszyscy razem udali się do jaskini.

Pietia zdjął swój niewygodny bagaż i wcisnął się do szczeliny. Następnie, wracając kilkakrotnie, przeciągnął rzeczy przy pomocy sznura i długo ubierał się po drugiej stronie skały. Towarzysze czekali w milczeniu. Wreszcie chłopak gwizdnął i zawołał psy.

Kawa i Tuj, zachęcane przez Lubimowa, rozpląszczyły się i skowycząc ze strachu przed nieznaną ciemnością, poczołgały się w stronę, z której dochodził głos Pieti.

— Idę! — rozległo się z jaskini. — Oczekujcie mnie wkrótce! Trzymajcie się dobrze!

— Szczęśliwej drogi i bądź zdrow!

Później zapadła całkowita cisza. Wreszcie ktoś westchnął:

— No cóż... Czas zabrać się do pracy — powiedział Uskow.

Oskardy zastukały w skałę.

Część trzecia

WALKA O ŻYCIE

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

z którego dowiadujemy się o dalszej akcji Zjednoczenia

— Przyszła żona Uskowa z córką — zameldował sekretarz.

— Prosić...

Dyrektor Zjednoczenia szybkim krokiem poszedł na spotkanie wchodzących i uprzedzając ich pytania, powiedział:

— No, wszystko już gotowe. Rozpoczynamy energiczne poszukiwania. Cztery samochody ze sprzętem i ludźmi wyjechały do bazy ósmej. Dwa samoloty oczekują sygnału, żeby odlecieć w głąb białej plamy. Sądzymy, że tam właśnie znajduje się cała grupa Uskowa. Obiecano nam przysłać z kraju także helikopter. Po osiedlach werbuje się teraz myśliwych do oddziałów, które wyruszą na poszukiwania w terenie.

— Ale kiedy wyruszą?

— Przypuszczam, że za dziesięć czy dwanaście dni, oczywiście, jeśli pogoda pozwoli. Przecież teraz, wczesną wiosną najtrudniej prowadzić akcję ratunkową. Śnieg taje. Rzeki wzbierają i wylewają. Wąwozy są nie do przebycia. Ale swoją drogą łatwiej, póki jeszcze utrzymuje się zima — wa słoń, dostarczyć sprzęt w odległe miejsca, żeby założyć tam bazy przerzutowe. Dlatego śpieszymy się. Mam nadzieję, że wkrótce otrzymamy dobre wiadomości.

— Tak pan sądzi? — smutno zapytała Uskowa.

— Oczywiście, jestem głęboko przekonany! — całkiem nie mając pewności, ale bardzo energicznie powiedział dyrektor. — Głowę daję, że przezimowali w jakimś oddalonym osiedlu. Są przecież, jak wiadomo, w naszym kraju

okolice tak odległe, w których nawet przedstawiciele władzy zjawiają się raz na trzy lata. A radio mogło się im popsuć. Siedzą więc u Jakutów i zajądają jelenie mięso. Gdy się tylko ociepli, zaraz ich znajdziemy!

— Te słowa są balsamem na moje serce. Ale przecież już w jesieni samoloty dotarły bardzo daleko! — zaoponowała Uskowa smutnie.

— Cóż z tego? — wciąż przekonywał dyrektor ze sztucznym ożywieniem. — Biała plama na naszej mapie jest tak duża, że zmieściłoby się na niej kilka państw europejskich. Samolot może przelecieć nawet o kilometr od osiedla i nie dostrzec go. W górach jest mnóstwo dolin, których z samolotu wcale nie widać...

— Mamy wielką prośbę — przerwała Uskowa. — Obie z córką chcemy wziąć udział w poszukiwaniach. Proszę nam pozwolić...

Dyrektor zamyślił się.

— To będzie bardzo trudne — zaczął łagodnie po chwili milczenia. — Końmi, na reniferach, w saniach, konno, może nawet dziesiątki kilometrów piechotą, a do tego w górach... Doprawdy, że dla kobiet, zwłaszcza dla pani... Rozważyła to pani dobrze?

Uskowa wyprostowała się, twarz jej wyrażała mocną decyzję.

— Całe życie spędziłam na wędrówkach z mężem i umiem znosić niewygody podróży. A córki naszej, córki geologa, również nie przerażają trudności. Mam nadzieję, że potrafiemy być użyteczne...

— Dobrze więc. Zgadza się — zakończył rozmowę dyrektor. — Kierownikiem poszukiwań został mój zastępca do spraw politycznych, Andrzej Szvec. Wydam mu odpowiednie polecenie. Zawiadomimy panią o terminie wyjazdu do bazy ósmej. Stamtąd oddziały wyruszą.

— Dziękuję, będziemy gotowe.

Ledwie kobiety wyszły, a dyrektor usiadł przy biurku, w drzwiach znowu ukazał się sekretarz:

— Już trzy razy telefonowano z Ministerstwa Bezpieczeństwa w jakiejś pilnej sprawie.

— Proszę mnie połączyć... Major Sidorenko?... Tak, to ja. Co słyhać? Nie przez telefon?... Dobrze, to proszę przyjść, jestem u siebie. Czekam.

Major Sidorenko przyszedł po kilku minutach.

— Czy jest tam kto? — spytał sekretarza.

— Zastępca do spraw politycznych.

— Doskonale. Jest mi właśnie potrzebny.

Major od razu przystąpił do rzeczy.

Stwierdzono, że z więzienia uciekło czterech skazanych za bandytyzm i zabójstwa niebezpiecznych przestępców.

— Z początku — opowiadał major — w więzieniu zachowywali się spokojnie. Nawet sami zgłosili się do pracy. No cóż, pozwolono im. Komendant pojechał z nimi do lasu po zapas drewna. Wzięli ciężarówkę i pojechali — komendant, kierowca, jeden żołnierz i tych czterech ptaszków. W lesie zamordowali komendanta, a kierowcę ciężko poranili. Żołnierz zresztą oddał kilka strzałów, ale chybił. Wskoczyli do samochodu i dalej na szosę, na północ...

— Ciekawe — wtrącił dyrektor Zjednoczenia.

— Trudno o coś ciekawszego! Sami widzicie! Teraz nie obejdziemy się bez waszej pomocy.

— Co macie na myśli?

— Organizujecie przecież wielką wyprawę na poszukiwanie Uskova? Od razu postanowiłem, jakby to powiedzieć, zabrać się z wami. Ile oddziałów wyruszy w góry?

— Sześć cztero- lub pięcioosobowych.

— Jeśli nie macie nic przeciw temu, przydzielę czterech swoich pracowników do czterech waszych oddziałów. Z dwoma pozostałymi oddziałami porozmawiamy, udzielimy im odpowiednich instrukcji. Załatwione?

— Naturalnie! To przykra sprawa! Jakże można było tak nie przypilnować bandytów?

— Udawali potulne baranki...

— Mają broń?

— Tak, zabrali rewolwer komendanta. Ale wydaje mi się, że wystrzelili wszystkie naboje, teraz więc broń w ich rękach chyba nie jest groźna.

— A dokąd prowadzi ślad?

— Prawie do końca trasy. Tam utopili samochód, po prostu zrzucili z urwiska do rzeki, a sami poszli w góry. Mają siekiery, noże. Przed trzema dniami radio nadało wiadomość z rejonu Buskandy, że nieznani bandyci ograbili magazyn aprowizacyjny górników. Zabili dozorcę. Zaprotrzyli się więc w żywność. Co prawda nie mają dokąd uciec, ale trzeba ich niezwłocznie unieszkodliwić, bo mogą terroryzować wasze oddziały poszukiwawcze i całą ludność miejscową...

— Jeśli nie odnajdziecie ich, majorze, teraz, póki jest śnieg, latem będzie o wiele trudniej. Niełatwa to sprawa odnaleźć w tajdze człowieka.

— Dlatego właśnie proszę was o pomoc. Mam niewielkie rezerwy ludzkie. Wątpię, czy zdołalibyśmy coś zdziałać bez waszych ludzi i bez myśliwych. Jakże więc będzie, dyrektorze?

— Ano, pomożemy wam. Przyślijcie ludzi. My ze swojej strony, poinformujemy naszych towarzyszy o całej sprawie, będą uważać i w razie spotkania przytrzymają bandytów. Dlaczego jednak przypuszczacie, że poszli oni właśnie w stronę białej plamy, czyli akurat tam, dokąd teraz kierujemy nasze oddziały?

— Gdyby się znajdowali w okolicach zamieszkanym, otrzymalibyśmy jakieś wiadomości, a może nawet ściągnęlibyśmy już ich samych. Ale wiadomości nie mamy. A więc, bandyci uciekli na północny wschód, na bezludzie. I to ograbienie magazynu... Magazyny są właśnie na skraju zaludnionej okolicy, gdzieś w pobliżu pierwszych pasm górskich. A zresztą, co im pozostaje? Tylko uciekać jak najdalej od ludzi, gdzie oczy poniosą, najlepiej na wschód, ku granicy, w nadziei przedostania się do obcego kraju.

— Tak! To zrozumiałe!

Obecny przy tej rozmowie Szwec powiedział majorowi, że za cztery dni wyjeżdża do bazy ósmej, skąd za dziesięć dni oddziały wyruszą. Zaproponował przy tym jeszcze jedno spotkanie celem omówienia szczegółów.

Major i Szwec zabierali się już do wyjścia, kiedy dyrektor zaczął opowiadać o wizycie żony i córki Uskowa.

— Za wszelką cenę chcę brać udział w poszukiwaniach...

— No i co? — niemal z przerażeniem zawołali jednocześnie Szwec i major.

— Zgodziłem się. Nie wiedziałem wtenczas o tych bandytach. A teraz wciąż zastanawiam się, co zrobić. Grozi poważne niebezpieczeństwo, a to przecież kobiety...

— Trzeba odmówić. Wyjaśnić powody.

— Wyjaśnienie im nie wystarczy. Pójdą, żeby tam nie wiem co. Nie mogę im zabronić. Ale postarajcie się zastrzymać je w bazie ósmej, żeby nie wyruszyły dalej.

Dyrektor Zjednoczenia Basiuta sam przed kilku laty wędrował po tajdze i górach z młotkiem geologicznym w rękę. Uczeń członka Akademii Fersmana, wprost z instytutu przyjechał na daleką Północ i odtąd praca naukowa w tym mało zbadanym kraju stała się celem jego życia. W okolicach, które ten wysoki, schludny mężczyzna przemierzał swoim równym krokiem, wkrótce wyrastały chatki, rozlegał się stuk siekiery nowego mieszkańca i chrzęst kamieni w skrzynce do

przemywania złotego piasku. Za pierwszymi grupami geologów nadchodzili budowniczy, poszukiwacze złota, robotnicy drogowi; powstawały osiedla i miasteczka robotnicze, kopalnie i szyby; w zapadłej tajdze rozbrzmiewało radio, warczał silnik elektrowni, huczały maszyny. A człowiek, który obudził do życia tę martwą krainę, szedł dalej, przeprawał się przez następne rzeki, znów przedzierał się przez tajgę, a dzięki niemu coraz bardziej kurczyła się na mapie pociągająca urokiem nieznanego, tajemnicza biała plama.

Kiedy mówiono mu o wygodach miejskiego życia, namawiano na osiedlenie się, podnosił tylko ze zdziwieniem brwi. Czyż to nie najpiękniejsza rzecz w życiu siedzieć wieczorem przy ognisku, patrzeć na bystrą rzekę górską, wsłuchiwać się w majestatyczny szum tajemniczego lasu, podziwiać purpurowe błyski słońca kryjącego się za skalnymi szczytami nieznanego pasma gór? Jak radośnie biło mu serce, kiedy po długich poszukiwaniach w jakimś dziwnym wąwozie znajdował odłamek, w którym iskrzył się metal. W takich chwilach miał ochotę śpiewać, krzyczeć z radości, żeby cała tajga i wszystkie góry usłyszały o tym, że odkryto jeszcze jedno złożę i dzięki temu kraj stanie się jeszcze bogatszy i silniejszy...

Ale czas robił swoje. Geolog postarzał się, stał się ociężały. Miał jednak uczniów, których wykształcił i wychował na dzielnych pomocników. Były uczeń jego i asystent, Uskow, stał się przodującym geologiem i kierował badaniami w terenie. Basiuta nie mógł teraz pogodzić się z myślą, że zginął ktoś z jego ekipy, że nieszczęście dotknęło ludzi, którzy powinni byli ostatecznie zakreskować białą plamę na mapie i dokończyć rozpoczętej przez niego pracy. Poszukiwanie grupy numer 14-bis stało się sprawą jego życia.

Żona i córka Uskowa wyjechały jednym z samochodów do bazy ósmej. Tegoż dnia przybyło tam również czterech wojskowych w ciepłych kombinezonach, z karabinami.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Pierwsze dni wędrówki Pieti i spotkanie, którego nie udało się uniknąć

Pietia wyszedł z jaskini koło południa.

Słońce świeciło tak ostro, że nie można było patrzeć na śnieg. Dla, nienawykłych oczu kwietniowe słońce to jednolite lśnienie białej, czerwonej, pomarańczowej, liliowej i fioletowej barwy. Z początku wszystko po prostu miga w oczach, potem oczy zaczynają świerzbieć, ma się ochotę pocierać je, co znowu wywołuje obfite łzawienie i zaczerwienienie, pod powiekami coś przeszkadza, jakby ziarnko piasku. Ale to nie jest ziarnko, lecz pryszczyk. Takie są objawy poważnej choroby, którą może wyleczyć tylko zupełny spokój i ciemność, jeśli przy tym zdoła się zwalczyć nieodpartą chęć pocierania rozpalonych oczu.

Pietia mrużył powieki i z trudem się opanowywał, aby nie zamknąć oczu całkowicie. Odzwyczaił się od śniegu. W kraterze od dawna już się zazieleniło, a tutaj — gdzie spojrzeć — biała, milcząca pustynia i dzikie, posępne skały.

Natychmiast musiał przypiąć narty. Śnieg po trochu tajał i osiadał. Obuwie namiękło, zrobiło się ciężkie, nogi się zapadały.

Na nartach było wygodniej. Pietia przywołał psy i wyszedł z wąwozu drogą, którą kiedyś przebył z Lubimowem. Chciał przed wieczorem dojść do miejsca ich starego obozu i przenocować. Na próżno jednak wypatrywał oczy, nigdzie nie dojrzał nawet śladu dawnego postoju: wszystko okrywał biały całun roziskrzonego śniegu...

Pietia ruszył na południe spoglądając na kompas i sporządzoną przez Uskowa i Lubimowa mapę. Teraz dopiero ocenił pracę przewodnika, który przez całą drogę szkicował trasę.

Mijały godziny. Zmęczone psy nie wybiegały już na przód, lecz wlokły się z trudem. Słońce zaczęło się zniżać, a dokoła wciąż tylko wyglądały spod śniegu dzikie, posępne skały i rozpościerał się biały całun w dolinie. Nieprzenikniona cisza. „Żeby chociaż wrona zakrakęła — pomyślał chłopiec i westchnął smutnie. — Ani gałęzi, ani drzew. Będę się musiał obejść bez ogniska”.

Kiedy zapadł już całkowity mrok, Pietia wybrał zakątek pomiędzy dwiema dużymi skałami, rozgrzebał śnieg i jako tako się usadowił. Wyglądzone psy żałośnie spoglądały na chłopca oczekując kolacji.

— Musicie polować — przekonywająco oświadczył im Pietia i rozwiązał torbę z jedzeniem.

Czyż można jednak przełknąć choćby kęs widząc taki błagalny wzrok! Chłopiec musiał podzielić się z Kawą i Tujem pierogami Łapaj-Muchy. Zaspokoiwszy głód, wsunął się do śpiwora, położył przy sobie strzelbę i zasnął. Psy pokręciły się i wreszcie legły tuż przy chłopcu, skręciwszy się w kłębek.

Noc... Cicha, gwiazdzista noc, mroźna, długa i ciemna. Ani wiaterku, ani szelestu. Leciutko chrząści zamarzający śnieg, migocą bliskie, ogromne gwiazdy i wydaje się, że na całym szerokim świecie wszystko zamarło. Ale Pietia śpi. Obok śpią jego psy, biją trzy serca — malutka komóreczka życia w tym królestwie milczenia.

Jednakże nie udało się Pieti przespać całej nocy. Choć śpiwór jest wygodny, a z boku ogrzewają futrzane kłębki psów, zimno dostaje się do wnętrza, pod ubranie, mrozi plecy, nogi. W dwudziestostopniowy mróz nie można długo uleżeć.

„Lepiej prześpię się później w dzień, na słoneczku” — zdecydował Pietia i wylazł ze śpiwora. Zimno przenikało go coraz dotkliwiej. Szybko skręcił śpiwór, związał rzeczy, wziął strzelbę, przypiął narty i ruszył w drogę. Szedł przed siebie, w ciemną noc marząc jedynie o tym, żeby się jak najprędzej ogrzać.

Stwierdził, że nocą nawet lepiej się idzie. Mróz mocno skuł trochę już roztajały, mokry śnieg. Cienka pokrywa lodowa z łatwością utrzymuje ciężar narciarza... Taka wędrówka na nartach to prawdziwa przyjemność! Deski ślizgają się i pędzą naprzód. Psy także poweselały.

Petia wkrótce ogrzał się i nabrał ducha.

„Czy nie zmyliłem kierunku?” — pomyślał i skrzesał ognia, żeby spojrzeć na kompas. Strzałka wykazywała małe odchylenie. Zatrzymał się więc, ale natychmiast przypomniał sobie o odchyleniu magnetycznym.

„Siedem stopni... Uskow mówił o tym. A więc idę dobrze”.

W nocy skały i urwiska wydawały się zupełnie czarne.

Wszystko było niewiadome, straszne. Nawet psy tuliły się do nóg chłopca. Śnieg bielił się, błyszczał w świetle gwiazd, skrzypiały rzemienie, pobrzękiwał kociołek. Cały zamarły ciemny świat czujnie wsłuchiwał się w te odgłosy.

Strach poganiał chłopca. Pietia słyszał trwożne bicie serca i szedł coraz szybciej. Wreszcie się zmęczył. Stał i przerażony zaczął nasłuchiwać. Nie słyszał nic, oprócz bicia własnego serca... W tej chwili przypomniał sobie, że podobnie wędrowali w swoim czasie Iwanow i Sperański... O ileż gorsza była ich sytuacja. Uśmiechnął się, zsunął czapkę ze spoconego czoła na tył głowy, potrząsnął ramionami, poprawił rzemienne troki przy plecaku i spokojnie ruszył naprzód śpiewając na cały głos:

Kto z pieśnią na ustach idzie życia drogą,
Tego burze i wiatry przeciwne nie zmożą.

Mrok zgęstniał, jak to zwykle bywa przed świtem. Dolina słuchała pieśni, milcząca i posępna.

Noc się skończyła. Na wschodzie, za górami i sopkami poszarzał horyzont. Potem ukazała się wąska, jasna smuga. Stopniowo rozszerzała się, różowiała. Rozpoczynał się pogodny wschód. Niebo powoli traciło swoją ciemnognatową barwę. Światło przybierało na sile, gwiazdy gasły i łagodna czerwona zorza coraz szerzej zalewała horyzont. Ogarnęła już połowę nieba. Pietia szedł prosto na wschód, uśmiechem witając słońce. Zimne, ale jasne, wypłynęło spoza sopek, okryte pomarańczową mgłą, i na śniegu wytrysły miliony brylantowych iskier, tak oślepiających, że chłopiec mimo woli zamknął oczy. A kiedy po chwili znowu je otworzył, dokoła był już dzień: ciemności, strach i posępność znikły bez śladu. Zrobiło się wesoło i lekko.

Spojrzał przez lornetkę.

Gdzieś tam na zakręcie doliny, zarysowała się ciemna smuga lasu.

W południe, kiedy śnieg chrzęszcząc zaczął osiadać pod nartami, z drzew spadały białe kłaczkki, a uwolnione od śniegu gałęzie radośnie wystrzelały w górę, Pietia postanowił zrobić postój. Teraz słońce już nie tylko świeciło, ale i grzało. Chłopiec poczuł zmęczenie w całym ciele. Ogarnęła go nieprzezwyciężona senność.

„Mam prawo odpocząć — tłumaczył się sam przed sobą. — Szedłem przecież pół nocy, teraz więc mam prawo pół dnia odpocząć”.

Zakrzętała się koło suchego wywrotu.

W lesie czuł się jakoś różnie. Chociaż nędzny był ten

wysokogórski las — tu i ówdzie rosły nad brzegiem strumienia karłowate brzoźki i cienkie modrzewie o pniach gęsto pokrytych mchem — ale jednak las. A tam, gdzie jest roślinność, jest też życie.

Z łatwością można nartą rozgrzebać śnieg koło starego drzewa aż do mchu, gdzie jak paciorki wiszą zeszloroczne czerwone borówki i zielenią się ich krzaczki. A potem nakłaść w tym miejscu suchych gałęzi i rozpalić wesołe ognisko, żeby płomień wystrzelił aż w niebo! Para bucha od tającego śniegu i wilgotnej ziemi. Trzeba odsunąć się dalej i zasłonić od żaru, chociaż przemarznięte ciało tak chętnie wchłonęłoby to miłe ciepło. Niech się ognisko dopali. Gorące węgle należy rozrzucić, a kiedy ściemnieją, nakryć ogrzaną ziemię gałązkami choćby nawet modrzewia, rozesać na wierzchu swój worek, zaszyć się w nim, odwrócić się plecami do słońca i spać, długo spać!

Zasypiając już Pietia zobaczył rozmarzony wzrok Tuja. Pies powoli oblizywał się i strącał z nosa biały puszek. Obok spokojnie siedziała Kawa.

— Podjedliście? Pewnie, że dopędzić zająca bielaka po mokrym śniegu to dla was drobiazg. Ale spróbowalibyście tak po śreni...

I zasnął nie dokończywszy zdania.

Obudził się, kiedy słońce już zachodziło, niebo zaczęło ciemnieć, a na wschodzie zapłonęła pierwsza gwiazda. Był rzeński mróz. Wypoczęty wędrowiec ogrzał się, było mu nawet gorąco w przytulnym futrzanym worku. Przeciągnął się i rozejrzał. Obok spały psy. Dokoła było cicho i spokojnie.

Ale nie mógł od razu ruszyć dalej. Śnieg zwilgotniał i osiadał, każdy krok przychodził z trudem.

„Lepiej przeczekać — pomyślał. — Teraz odpocznę, a w nocy, kiedy podmarznie, pójdę dalej”.

Ognisko płonęło. Z pewnością widać je było z daleka — czerwone oczko na ciemnym tle lasu. Pietia roztopił śnieg w kociołku, zaparzył liści czarnych porzeczek, które dał mu na drogę Sperański, i z apetytem napił się tej „herbaty” zagryzając pierogami i czule przy tym wspominając Łapaj-Muchę.

Dopiero koło północy przypiął narty i rzuciwszy poźegnalne spojrzenie na tłące się węgle poszedł doliną, która wiodła na południe.

W nocy nieliczni mieszkańcy milczącego wzgórza znowu usłyszeli pieśń: to śpiewał mknący przez wąską dolinę

samotny chłopiec. Lis nastawił uszu, zając węszył wilgotnym nosem, śpiąca na gałęzi melancholijna sowa na chwilę podniosła swoje białe, błoniste powieki. Cały świat zwierząt słuchał pieśni, która stopniowo cichła, odpływała gdzieś na dół z biegiem strumyka. Dokoła znowu zalegała martwota, ciemność i milczenie...

Minął jeden dzień, drugi, trzeci, czwarty...

Na piąty dzień Pietia musiał skrócić w bok, gdyż dolina, w której mógł znaleźć drzewo na ognisko i pożywienie dla psów, zbaczała na wschód. A Pietia wciąż szedł na południe, prosto na południe przez łagodne sopki i kotliny, grzęznąc w śniegu, brnąc z nartami na ramieniu przez skaliste szczyty, staczając się po stromych brzegach nieznanymi strumyków. Z pewnością niedaleko był już od doliny Szalonej Rzeki, skąd zostałyby mu tylko połowa drogi.

W górach nie mógł iść nocami, bo droga stawała się zbyt trudna i kręta. Zabłądzić w nocy — to koniec...

Im wyżej, tym las stawał się niższy i rzadszy. Ale pomiędzy sopskami, w kotlinach, drzemała stara tajga, pełna połamanych przez burzę drzew i wywrotów. Na nizinie było cieplej. Na południowych stokach parowała ogołociona ziemia, wesoło dźwięczały spadające z urwiska krople, ślady kuropatw, głuszców i jarząbków układały się na śniegu we wzory.

Jednego z takich słonecznych dni Pietia wszedł na szczyt nagiej skalistej sopki i w radosnym zdumieniu podniósł ręce: daleko przed nim, niżej, ciemniała zwarta smuga lasu, a na horyzoncie lśniło tak dobrze mu znane pasmo gór. Była to właśnie dolina Szalonej Rzeki! Tam musi zejść, tam będzie mógł odpocząć i zapolować, żeby z nowymi siłami wykonać jeszcze trudniejszy skok na południe, do swojej bazy geologicznej, do szosy, prowadzącej w stronę Hamadanu.

— A więc w dobrym kierunku idziesz, towarzyszu! — głośno pochwalił się Pietia. — Jazda! — krzyknął na psy i lekko ruszył w dół, na skos przecinając łagodne zbocze.

Las znowu stawał się coraz gęstszy i wyższy. Pietia musiał odpiąć narty i piechotą brnąć przez zarośla. Zasypane śniegiem wywrócone drzewa utrudniały poruszanie się, wszędzie czyhały wyżłobione przez wodę zdradzieckie doły. Setki zajęczych, lisich, a nawet wilczych śladów świadczyły o tym, że kotlina jest zamieszкана i pełna życia.

W miejscu, w którym zwężała się jeszcze bardziej, ota-

czały ją strome, niemal pionowe ściany. Ciemną, wilgotną rozpadlinę wypełniał gęsto podszyty bagnem topolowy las. Gdzieś, niewidoczny pod śnieżnym pagórkiem, szemrał strumień. Powiało grozą.

— Naprzód! — zawołał Pietia na psy, które natychmiast minęły go i pobiegły dalej.

Potem wszystko odbyło się w tempie zwolnionego filmu.

Psy rozpaczliwie zaszczeły. Pietia doświadczone uchem określił, że szczekają na grubego zwierza. Szybko zrzucił z ramion plecak i zdjął dubeltówkę. Zgrzytnęły kurki. Szczekanie ani się nie oddalało, ani przybliżało. Wówczas podszedł kilka kroków naprzód. Ukazała się mała polanka pomiędzy skałami. Na cienkim, suchym drzewie, wczepione w pień szponiastymi łapami, siedziały dwa niedźwiadki i przerażone rozglądały się dokoła. Tuj i Kawa skakały naokoło drzewa, napełniając okolicę nawołującym szczekaniem.

Pieti zaparło dech. Machinalnie przełożył rewolwer z tylnej kieszeni w spodniach do kieszeni kożuszka. „Zaraz tu przyjdzie rozjuszona niedźwiedzica” — przeleciało mu przez głowę. Po bokach wznosiły się strome urwiska, a pod nimi najwidoczniej był barłóg, z którego właśnie psy wypędziły niedźwiadki. Gdzie się podziać? Cofnąć się? Ale właśnie z tyłu rozległ się groźny ryk. Kudłata, sroga niedźwiedzica, z trzaskiem łamiąc krzaki śpieszyła dzieciom na ratunek. Jeśli spokojna kokoszka w obronie kurcząt rzuca się na psa, co może zrobić rozwścieczona niedźwiedzica?!

Psy, zajęte małymi, które, jak im się zdawało, były bardzo łatwą zdobyczą, zobaczyły niedźwiedzicę, kiedy była już zbyt blisko. Akurat na jej drodze stał Pietia. Niedźwiadki, słysząc, że matka się zbliża, zaczęły rozpaczliwie skowyczeć. Oszałała z gniewu niedźwiedzica runęła na Pietię. Huknął strzał. Ucho z kłakiem sierści poleciało gdzieś w bok. Bryznęła krew. Ogłuszony zwierz upadł, natychmiast jednak rzucił się na wroga. Rozległ się drugi strzał z bliska. Tuj przypadł do niedźwiedzicy. Ale za późno skoczył na ratunek swojemu panu! Zwierz uderzeniem łapy przewrócił chłopca, szarpnął jego odzież i podgarnął Pietię pod siebie. Kawa z rozpaczliwą odwagą rzuciła się do walki. Znowu, teraz już pod tuszą niedźwiedzica, huknął strzał — tym razem rewolwerowy.

Kudłata masa drgnęła, osunęła się, przez ciało przeszły śmiertelne drgawki. Dygocące z wściekłości psy szarpały

zwierzę, zachłystywały się i prychały dławiąc się sierścią, która dostawała im się do pysków.

A nad całą doliną w której rozegrała się ta nie trwająca nawet minuty dramatyczna scena, niósł się rozpaczliwy skowyt śmiertelnie przerażonych niedźwiadków, które siedziały na drzewie konwulsyjnie uczone małutkimi ostrymi szponami...

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Wielka wędrówka mrówek. — Strefa śmierci rozszerza się. — Plan ocalenia skarbów

Łas i Dzik nie przyszły do zagrody.

— To niebywały wypadek! — powiedział Sperański do Uskowa, a w głosie jego brzmiał niepokój.

— Widocznie coś im przeszkodziło. Wiecie co, zajrzyjmy do jaskini gazowej.

Nie doszli daleko. Już w odległości pół kilometra od domu zobaczyli pożółkłą trawę, zwiędłe, smutne, jak w zimie, zarośla i uschłe gałęzie niskich drzew. Gaz! Trująca jaskinia wysyłała wciąż nowe dawki trucizny. Wkrótce krater stanie się królestwem śmierci, zatrutą studnią.

— Nie, to nonsens! Czyż nie możemy uratować siebie, ocalić tych ogromnych skarbów: złoża, notatek, muzeum, żywych mamutów! Najohydniejsze uczucie — to uczucie własnej bezsilności! Jak widać, ten gaz jest trwały. Trudno się rozkłada, nie miesza się z powietrzem i rozplywa się na wszystkie strony jak ciecz. Jego ciężar właściwy z pewnością jest o wiele wyższy niż ciężar powietrza.

— Hm... Tak... Jeżeli Pietia nie będzie mógł dotrzeć do ludzi, to... Czasami bardzo mi żal chłopca. Czy nie nazbyt pochopnie wysłaliśmy *go* w tak niebezpieczną podróż? Gdzie jest teraz? Co się z nim dzieje?

— Wydaje mi się, że to chłopak z charakterem. A przy tym sprytny. Dojdzie — odpowiedział Sperański.

— Cała nadzieja w tym, że chyba już na połowie drogi spotka się z ludźmi. Wybraliśmy odpowiednią porę. Teraz rozpoczną się poszukiwania.

— Oczywiście nasze ocalenie i ocalenie krateru zależy od powodzenia tej wyprawy. Musimy jednak sami także się przebijać. Trzeba przygotować się do opuszczenia krateru.

Siedzieli w lesie na powalonym drzewie. W trawie, pod ich nogami coś szeleściło, poruszyło się.

— Patrzcie! — zawołał zdumiony Sperański.

Tutaj wprost roiło się od mrówek. Pracowite mieszkanki lasu przeprowadzały się na nowe miejsca. Dziesiątki tysięcy dużych czarnobrunatnych mrówek szły do góry, w kierunku domu Sperańskiego. Każda niosła jakiś bagaż. Większość dźwigała duże białe jajka, inne wlokły larwy. Robiło to wrażenie zorganizowanej ewakuacji.

— Niedawno, kiedy zbliżał się wróg, ludność w podobny sposób uciekała z naszych miast. Opowiadaliśmy już o wojnie z faszystowskimi zastępami Hitlera — powiedział Uskow. — Prawda?

— Tak. Ciągle myślę o rodzinnym Piotrogradzie...

— Chcecie powiedzieć: o Leningradzie.

— Oczywiście. Nie mogę się jeszcze przyzwycząić. Zostawiłem tam żonę i dwoje dzieci. Chłopczyk Sasza miał pięć lat. Margaryta — osiem. Żona moja, Zofia, ma teraz chyba pięćdziesiąt siedem lat. Rodzina myśli, że nie żyję... — dodał z westchnieniem.

— Cóż to będzie za radość, gdy was zobaczy! — powiedział Uskow. — Ale dlatego właśnie musimy się uratować. Głupio byłoby przeżyć to wszystko, co wyście przeżyli, i kiedy ocalenie jest już tak blisko, zginąć od tego idiotycznego gazu. Właściwie powinniśmy się także ewakuować.

— Ale dokąd?

— Wyżej, tam, dokąd gaz na razie nie ma dostępu. Jeżeli nie ocalimy wszystkiego, co żyje w kraterze, to przynajmniej musimy ocalić to, co najważniejsze. Nawiasem mówiąc, rozumiecie, dlaczego mamuty nie przyszły do domu?

— Teraz się domyślam...

— Instynktownie poczuły niebezpieczeństwo. Ciekawe, gdzie się ulokowały?

Mamuty niedługo jednak wytrzymały z dala od ludzi.

Następnego ranka przyszły do domu i kiwając trąbami stanęły na polance. Na widok ludzi zatrąbiły, przy czym ogonki ich chwiały się wesoło i poruszały się uszy. Kiedy podszedł Sperański z Oroczką, mamuty radośnie potrząsnęły głowami, jak zwykle wyciągnęły trąby, żeby objąć przyjaciół, posadziły ich sobie na grzbiecie i zadowolone z udanego porwania gospodarzy szybko skierowały się w górę, do swego nowego miejsca pobytu.

Nie chciały słuchać perswazji Sperańskiego. Znany głos zmusił je wreszcie, aby się zatrzymały i zsadziły mimowolnych pasażerów na ziemię. A kiedy ludzie poszli w kierunku domu, olbrzymy długo, ze zdziwieniem patrzyły za nimi, najwidoczniej nie rozumiejąc, dlaczego gospodarze krateru nie skorzystali z ich usług, żeby się przesiedlić...

Gdy ludzie kryli się w lesie, mamuty milcząc zawróciły i opuściły okolicę, którą instynkt ich uznał za śmiertelnie niebezpieczną.

W jaskini Sperańskiego pracowano teraz zawzięcie, do ostatecznego wyczerpania. Dwaj spośród sześciu geologów bez przerwy znajdowali się w sztolni: palili ognisko, nosili wodę, kuli łomem niepodatny bazalt. Przebito już szeroki właz na trzy metry w głąb. Pozostało jeszcze około czterech metrów.

— W ciągu miesiąca wybijemy — z przekonaniem mówił Lubimow, który prawie nie wychodził z jaskini.

— Najważniejsze, kto będzie pierwszy: my z naszą robotą czy gaz ze szczeliny. Oto jest pytanie — niewesoła żartował Borys i ze smutkiem oglądał nie znikające już od kilku tygodni odciski na dłoniach.

W chwilach wolnych od pracy Oroczo chodził po lesie i bacznie wypatrywał, jakie zwierzęta jeszcze nie uciekły. Jeśli spotykał głupiego lisa albo nieruchawego borsuka, brał gałąź i gonił je dopóki nie przekonał się, że zwierzęta uciekły do górnej części krateru. Uskow dowcipnie nazwał Oroczkę kierownikiem punktu ewakuacyjnego. Jednocześnie agronom obserwował zasiewy. Wieczorem meldował:

— Jęczmień rozkrzewił się. Kartofle wzeszły, rozsada wygląda normalnie, ale w najbliższych dniach trzeba ją będzie podlać. Co mam teraz robić?

Uskow uśmiechał się i machał ręką. Gaz był o trzysta metrów od ogrodu. Czy warto myśleć teraz o podlewaniu.

Chcąc zabezpieczyć miejsce pracy, geolodzy postanowili zbudować przy wejściu do jaskini szczelną zaporę z kamieni, która obroniłaby ich przed gazem, gdyby objął już cały krater i zagrażał jaskini.

W ten sposób powstało ogrodzone podwóreczko długości trzydziestu i szerokości dziesięciu czy piętnastu metrów. Otwarty pozostawał dotychczas tylko właz. W razie niebezpieczeństwa będą mogli zatkać i zasmarować wejście, zostając w podwóreczku, z którego prosta droga prowadzi do jaskini, a może nawet w szeroki świat.

Geolodzy przede wszystkim przenieśli diamenty. Potem zgromadzili żelazny zapas żywności: suszonego mięsa, ryb i warzyw. Ułożyli stos drzewa, wylepiony gliną basen napełnili wodą. Teraz mogli spokojnie czekać.

Uskow na równi ze wszystkimi pracował w jaskini. Ale po ukończeniu swojej zmiany brał młotek geologiczny i szedł w las. Niezależnie od tego, jaki los czekał grupę geologów, powinni byli pracować, dokładnie poznawać krater. Nawarstwienia skorupy ziemskiej to otwarta księga geologicznej historii ziemi. Można by w niej czytać.

Uskow przede wszystkim szukał kimberlitów. Oprócz tych, które znalazł w pobliżu jaskini Sperańskiego, odkrył również kimberlitową glinę na dnie jeziora, a w pobliskim strumieniu znalazł sześć diamentów wielkości orzechów.

Jednakże błądząc po kraterze wciąż powracał do granicy, poza którą nie było życia. Gaz rozpływał się coraz dalej. Zatrął już mieszkańców rzeki — mnóstwo martwych ryb pływało po powierzchni jeziora; skradał się po nizinach i trupy drobnych zwierząt — zajęcy, jeży, burunduków, które nie zdążyły uciec, zaścieniały jego drogę.

Pewnego razu geolog w towarzystwie Oroczki wybrał się do górnej części krateru, żeby przyjrzeć się podejściu do tarasu, na który zrzuciła ich wszystkich burza przed kilku miesiącami.

— Tu właśnie, do górnej części krateru, przeniosły się teraz zwierzęta z krateru dolnego. Wesoło, hałaśliwie wędrowały po polanach barany, wolno, jakby zatroskane, przechadzały się niedźwiedzie, drobiazg roił się w trawie i zaroślach.

— A oto i nasi przyjaciele! — zawołał Oroczko.

Przyjacielsko kiwając trąbami zbliżały się do ludzi mamuty, spuściwszy głowy jakby w ukłonie.

Uskow i Oroczko wydostali się na taras.

— Jesteśmy prawie na wolności. Jeszcze pięćdziesiąt metrów i szczyt góry. To blisko, prawda? — stwierdził geolog.

— Choć blisko, ale nie sięgniesz!

— Ocalimy zwierzęta i roślinność — powiedział nagle Uskow z głębokim przekonaniem. — Szerokość grobli w najwęższym miejscu, w którym łączą się oba kratery, wynosi nie więcej niż trzysta czy czterysta metrów. A po bokach sterczą pionowe, mocno potrzaskane ściany. Jeśli nie wymyślimy innego sposobu, to gdy tylko wyrwiemy się na zewnątrz i dostaniemy materiał wybuchowy, rozwalimy ściany i odgradzimy się skałami od dolnego krateru. Zachodni zginie. Trudno. Ale ten, ze zwierzętami i lasami, zostanie jako rezerwat.

— Najpierw jednak sami musimy stąd wyjść — delikatnie zauważył Oroczo.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

O tym, jak rozpoczęto poszukiwania i dokąd wyruszyły oddziały ratunkowe Zjednoczenia

W początku kwietnia niezwykle liczny tłum zebrał się na końcowej stacji szosy Południe — Północ, o tysiąc przeszło kilometrów od Hamadanu, na brzegu małej rzeczki w tajdze, gdzie znajdowała się ósma baza geologiczna. Byli tu geolodzy, przewodnicy i wielu robotników. Zwracali uwagę myśliwi jakuccy w swoich miękkich butach — iczigach i skórzanych kurtkach przykrytych kuchlanką — wkładaną przez głowę ciepłą narzutą ze skór młodych jeleni. Zgłosili się jako ochotnicy do akcji poszukiwania zaginionej grupy.

Wszyscy byli uzbrojeni. Każdy Jakut miał na plecach winchester. Geolodzy i robotnicy mieli strzelby myśliwskie i karabiny.

W pobliżu bazy pasły się jelenie. Brzęk ich dzwoneczków rozlegał się w tajdze, gdzie zwierzęta rozgrzebywały śnieg szukając swojego ulubionego pożywienia — mchu reniferowego. Koło domków i składów doświadczeni poganiacze kompletowali uprząż. Do magazynów podjeżdżały wąskie, długie sanie, na których mieszkańcy tajgi wprawnymi rękami układali skrzynie i worki. Niedaleko pochrapywały małe kudłate koniki. W żłobach miały świeże siano i owies — przed długą i ciężką drogą należało je dobrze odżywić.

Psy ułożyły się na najbardziej słonecznym miejscu. Zaprzęgi ich były już dobrane i przeszły próbę. Kudłate łajki, po siedem do jedenastu w zaprzęgu, już zawarły ze sobą znajomość, przestały się denerwować i teraz zwinęte w kłębki obserwowały ruch w obozie.

Ostatnie prace. Wszyscy czyszczą i sprawdzają strzelby, naboje, dopasowują juki, przymierzają obuwie: czy dobrze dobrane, czy będzie wygodne. Obuwie to najważniejsza rzecz w marszu. Z godziny na godzinę obóz oczekuje rozkazu wyruszenia.

Dwie kobiety wychodzą z domku. Wszyscy zwrócili na nie uwagę: to jedyne kobiety w tym odległym obozie. Mają na sobie wypuszczone na ically sportowe spodnie i takież jak wszyscy mężczyźni brezentowe kurtki z pasami na naboje. Przy paskach — noże, na plecach — winchestery. Futrzane czapki z uszami i ciepłe rękawice dopełniają polowego ubrania. Wszystko świadczy o tym, że kobiety również wybierają się w daleką drogę.

Podchodzą właśnie do koni, wprawnie kielznąją i siodłają małe jakuckie wierzchowce, które cofają się i walą kopytami.

— Uwaga! — krzyknęła jedna z kobiet i lekko wskoczyła na siodło.

Druga poszła za jej przykładem.

— Dokąd one jadą?

— Objeżdżają swoje konie. Zuchy! Wiesz, kto to? Żona i córka Uskowa. Ależ uparte. Wczoraj posprzeczały się ze Szwecem. Chciał je zatrzymać tutaj, mówił, że droga jest niebezpieczna i daleka, a do tego jeszcze jacyś bandyci kręcą się po tajdze. Gdzie tam! Nie chciały nawet słuchać. Jak się okazuje, nieraz już brały udział w wyprawach, wiedzą, co to juk i siodło. W ogóle są tutejsze, z tajgi!...

Tego samego dnia odbyło się zebranie przywódców od-

działów ratunkowych u kierującego całą akcją Szweca. Ośmiu mężczyzn pochyliło się nad mapą. Wyraźnie znalazł się na niej czarny punkt — baza ósma. Od tego punktu ołówkiem przeprowadzono strzałki do samego środka białej plamy.

— Zapoznajcie się z trasami, towarzysze. Wszystkie oddziały mają iść równoległymi szlakami do centrum niezbadanego rejonu, robiąc w ciągu dnia po dwadzieścia parę kilometrów. Będą posuwały się w odległości dziesięciu do dwudziestu kilometrów jeden od drugiego. W ten sposób ogarniemy obszar stu kilometrowej szerokości. Łączność pomiędzy oddziałami mają utrzymywać dwa samoloty. Jeśli oddział natrafi na coś ciekawego — grupę Uskowa albo jej ślady — natychmiast powinien sygnalizować samolotom dwoma ogniskami. Inne oddziały mają w takim wypadku również kierować się na ognisko i dążyć na pomoc...

— Trzeba ustalić sygnał, w razie gdyby odkryli tych... — wtrącił major Sidorenko.

— Tak... Jeśli spotkacie obcych ludzi, o których już wspominaliśmy, należy postąpić zgodnie z instrukcją: aresztować i pod konwojem doprowadzić do bazy. Gdyby stawiali opór, wolno skorzystać z prawa obrony. O takim spotkaniu zawiadomić samoloty trzema ogniskami. Po przejściu około dwustu kilometrów wszyscy mają zebrać się, żeby omówić sytuację. Miejsce zbiórki wskażą samoloty zrzucając meldunki ciężarkowe. Dalszą akcję ustalimy zależnie od okoliczności. Może znowu trzeba się będzie rozłączyć. Jeśli chodzi o miejsce zbiórki, poprzednim razem samoloty odkryły za przełęczą ciekawą dolinę z niezamarzającą rzeką, która ginie w bardzo ciasnym wąwozie czy też spływa do ziemi. Ta właśnie dolina będzie nas przede wszystkim interesowała. Uskow wspominał o niej w swoich meldunkach.

— Kiedy wyruszamy? — padło pytanie.

— Jutro wczesnym rankiem. Do oddziału czwartego, który uda się wprost na północ, odkomenderowuję obie kobiety i majora Sidorenkę. Samoloty zaczną patrolować pojutrze. Numery samolotów: 06032 i 05640. Proszę zapamiętać.

Słońce kryło się jeszcze gdzieś daleko za horyzontem, był mroźny wczesny ranek, wygwieżdżony, niczym nie różniący się od nocy, kiedy w bazie zaczął się już ruch. Skrzybiały płozy nart. Skowytały drżące z niecierpliwości

psy. Zwiadowcy siodłając konie rozmawiali półgłosem, aby nie naruszyć nocnej ciszy. W ciemnościach migały latarnie, słychać było przyciszone rozkazy. W pewnej chwili wszystko ucichło. Pierwsi wyszli niskiego wzrostu nariarze w kuchlankach i milcząc, jak widma, przeszli zaśnieżoną rzeczkę. Za nimi pociągnęły zaprzęgi psów. Rozbrzmiały charakterystyczne nawoływania poganiaczy: „choch — choch — choch!” i długa czarna wstęga ludzi, reniferów, psów i objuczonych koni wpełzła do lasu, a tam, niby olbrzymi wachlarz, rozwinęła się w sześć linii.

Ostatnie rozmowy przed rozstaniem, życzenia szczęśliwej drogi — i oddziały poszukiwawcze ruszyły każdą trasą. Na oblodzonej powierzchni śniegu zostały płytkie ślady płóz i wąskie ścieżynki wydeptane włochatymi nogami objuczonych koni.

Baza opustoszała. Pozostał tylko dozorca i radiotelegrafista.

Już trzeciego dnia podróży jeden z myśliwych drugiego oddziału podchodząc na spadzistą sopkę skalną zobaczył drzewo, na którego korze widniało nacięcie w kształcie krzyża.

— Świeży znak — powiedział z przekonaniem. — Żywica jeszcze nie zbielała. Zrobiony siekierą, taką małą siekierką, jaką ma Lubimow. To oni!

W odległości ośmiu kilometrów spostrzeżono takie samo nacięcie. Oddział szedł teraz śladami Lubimowa, nieco zbaczając na wschód od początkowej trasy. Zawiadomiono Szweca. Przyjechał psim zaprzęgiem, obejrzał znaki na drzewach i pochwalił zmianę trasy. Skutkiem tej zmiany drugi i czwarty oddział już na szósty dzień podróży tak się do siebie przybliżyły, że z wierzchołków sopek mogły siebie dojrzeć.

Samoloty latały pomiędzy oddziałami, ale nigdzie nie mogły dostrzec upragnionych dymów.

Na jedenasty dzień oddział czwarty zagłębił się w ciasny wąwóz, przeszedł kilka kilometrów i zatrzymał się. Dalej nie było przejścia. Albo należało zawrócić, albo wąską ścieżynką wdrapać się na górę.

— Karki poskręcamy na tej ścieżce — powiedział przewodnik nie schodząc z konia. — Człowiek nie przejdzie tędy. Musimy zawrócić i obejść wąwóz.

W tej chwili Wiera Uskowa coś zauważyła. Zeskoczyła z konia i schyliła się. Na stwardniałej glinie wyraźnie odcisnęła się ślad podkutego końskiego kopyta.

— Patrzcie!

Wszyscy zeszli z koni, przyjrżeli się. Tak, to były ślady kopyt — zwykle hacele w kształcie litery „H”, jakimi kuto konie w całym Zjednoczeniu. Nie ulegało już wątpliwości, że grupa 14-bis przeszła właśnie tą ścieżką.

— W górach jest tak: gdzie przeleci orzeł, tam przejdzie też jeleń. Gdzie przejdzie jeleń, tam na pewno przedostanie się geolog — zażartował Szwec i oddziałek ruszył wąską ścieżynką. Konie prowadzono za uzdy.

Wiera szła, przyciskając się do skały. Nie wiedziała, że to właśnie tutaj Borys upadł i ocalał tylko dzięki pomocy przewodnika.

Podejście odbyło się pomyślnie. Oddział przyspieszył kroku i szedł wciąż w górę, póki nie ukazała się przepiękna panorama rozległej doliny z polanami już wolnymi od śniegu, z gęstym lasem i bystrą rzeką, która hucząc i szumiąc spadała z góry.

Nikt już nie wątpił, że zaginiona grupa zeszła właśnie do tej doliny. Czyż geolog mógłby obojętnie przejść koło tak ciekawego zakątka przyrody?

Wszyscy jak zaczarowani oglądali z góry rozległą dolinę, otaczającą ją ostre szczyty łańcuchów górskich, czarne szczeliny rozpadlin. I lasy, ogromne lasy pokrywające ten tajemniczy kraj!

„Oni są gdzieś tutaj” — pomyślała Warwara Piotrowna i serce się jej ścisnęło. — „Ale czy żyją?”

Westchnęła ciężko.

Wiera podeszła do matki i objęła ją. Myślała o tym samym.

Major Sidorenko przez lornetkę długo przyglądał się dolinie. Ciekawe miejsce... Przesuwał lornetkę na prawo i na lewo.

Nic nie mąciło pierwotnego spokoju natury. Bezludzie i cisza, i łoskot spadającej wody, do którego ucho przywyka równie szybko jak do tykania zegara w cichym pokoju — tak oto dolina Szalonej Rzeki powitała nowy oddziałek przybyszów. Aż nagle coś błysnęło. Jeszcze raz i jeszcze. Jakiś obcy przedmiot. Co by to mogło być? W żaden sposób nie można dojrzeć. Major irytował się na swoje oczy, na lornetkę i wreszcie zwrócił się do Wiery:

— Proszę spojrzeć! Co tam błyszczy? O tam, nad wodą...

Dziewczyna długo błędziła lornetką po brzegu.

— Wydaje mi się, że puszka od konserw — powiedziała wreszcie. — A wyżej, widzę w krzakach drągi, szkielet namiotu i... trójnóg ogniska.

— W takim razie chodźmy, towarzysze — śpieszył się Szwec. — Będziemy schodzić tędy, prosto do ujścia rzeki.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

w którym na widownię występuje Krzywogęby Anioł

W mroźnym powietrzu głosy rozchodzą się daleko i rozbrzmiewają długo. Nawet, gdy umilknie już dawno źródło głosu, góry wciąż jeszcze zabawiają się i powtarzają echo.

Krzywogęby Anioł ogromnie się zaniepokoił usłyszawszy serię wystrzałów, które nagle huknęły gdzieś w oddali. Strzały były głośne, niekarabinowe. Trochę go to uspokoiło: więc nie straż, nie żołnierze...

Jednakże nadstawił ucha.

Wstał i po cichutku wyszedł z legowiska.

— Dokąd? — sennym głosem zapytał Knysz otwierając jedno oko.

— Nigdzie! — rzucił Anioł i poszedł w kierunku strzałów.

Las w tej okolicy był bardzo gęsty, ciemny, pełen wywrotów — wymarzone miejsce dla dzikich zwierząt. Na brzegu małego strumienia, częściowo już wolnego od śniegu i lodu, w stromym żlebie sterczał wywrót: olbrzymi modrzew, który padając podniósł gruby płat darni i obnażył żółtą glinę i kamienie. Widać, że nad tą jamą kiedyś męczył się pracowity niedźwiedź. Przewrócił kamienie, rozgrzebał glinę i zrobił sobie głęboki, przytulny barłóg. A potem pewno odszedł albo zginął. Barłóg był pusty. Znaleźli go zbiegli bandyci i urządzili tu sobie legowisko.

Miejscowość miała w dodatku i tę zaletę, że dym nawet dużego ogniska nie unosił się ponad wysokim lasem, lecz rozpraszał się między gałęziami — było to dla nich bardzo ważne.

Bandyci przebywali w dolinie Szalonej Rzeki już pra-

wie tygodni. Po długiej wędrówce przez zaśnieżone góry przyszedli tu z zachodu i postanowili pozostać, zachęceni tym, że znaleźli na miejscu drzewo, wodę, a nawet ryby i jagody.

Mieli siekiery, noże, porządny zapas żywności z ograbionego składu.

Mordercy żyli dniem dzisiejszym. Wypać się, zjeść, pochodzić po lesie... Czegóż więcej potrzeba? Dzień do nich należał. Jedyne Krzywogęby Anioł pragnął się wydostać z doliny. Nie zdradzał się zresztą ze swoimi zamiarami wobec towarzyszy, miał bowiem nadzieję, że znajdzie złoto, dużo złota, do morza i ucieknie za granicę z przemytnikami na jakimś szkunerze. Marzyło mu się tam życie bez trosk i obaw.

Pogrążony w rozmyślaniach, Krzywogęby błądził po brzegach rzeczek, ponurym wzrokiem badał kamienie i skały, rzucał się na błyszczące kwarcyty i podejrzliwie oglądał się, czy nie śledzą go przyjaciele.

Ale złota wciąż nie znajdował.

Przyroda zawsze chowa je przed okiem ludzkim, zwłaszcza przed okiem niedoświadczonym. Można chodzić po złocie i nie widzieć go. Krzywogęby miał chwytiliwe, silne ręce. Ręce te dobrze władały nożem fińskim, gardziły zaś łopata...

Brnął więc przez chaszczce, pełzając przeciskał się pomiędzy wywrotami, często przystawał i czujnie rozglądał się dokoła. Gdy doszedł do skraju lasu, schował się za drzewami i wycężył słuch.

Wysoki, kościsty, o długich żylastych rękach, stał oparty o drzewo. Miał delikatne, nawet ładne rysy, małe wypukłe usta, cienkie brwi i niebieskie oczy, z których wycierała pustka. Tak, kiedyś człowiek ten niewątpliwie był piękny. Ale w jakiejś bójce ktoś przejechał nożem po jego twarzy. Blizna przecięła twarz od prawej brwi przez policzek i nos i wykrzywiła małe usta bandyty w lewo. Krzywogęby stał chwilę, potem szerokim krokiem poszedł przez rzadki las chcąc obejść rozpadlinę.

Nagle zapachniało dymem. Z lasu dobiegło szczekanie psów. Sprawa się komplikowała. Psy mogą poczuć obcego... Bandyta postanowił podejść od strony odwietrznej i zajrzeć do rozpadliny z góry...

Teraz musimy się nieco cofnąć.

Zostawiliśmy Pietię w objęciach martwej niedźwiedzicy. Tuj i Kawa szalały usiłując odciągnąć tuszę i uwolnić

chłopca. Wreszcie Pietia sam się obrócił, podkurczył nogi, ostrożnie poruszył ramieniem i ciężko przewalił się na bok. Był zakrwawiony i czuł silny ból w boku... Ranny! Nie wstając wytarł mokrym śniegiem okrwawione ręce i obejrzał się. Żyje! Ale jakże boli ten bok! Piecze jak ogień. Spojrzał — kozuszek i koszula rozdarte, na ciele cztery głębokie krwawe bruzdy — ślad niedźwiedziej łapy. Szybko nałamał gałęzi i rozpałił ogień. Kociołek nad ogniskiem zasyczał, śnieg stopił się. Wówczas rozebrał się drżąc z zimna, przemył rany i mocno obandażował zapasową koszulą. W ten sposób zatamował krew, ale ból nie ustał.

„To nic — pomyślał — zagoi się...”

W tej chwili przypomniał sobie, że jakoby borsucze i niedźwiedzie sadło dobrze goi rany. Zdaje się, że mówił o tym Lubimow. Tak... Podszedł do tuszy i wyciął kawał sadła. Ależ tłusta była ta niedźwiedzica! Musiał zdjąć opatrunek. Roztopił sadło nad ogniem, posmarował sobie bok i znowu zabandażował. Poczul się lepiej. Teraz przynajmniej opatrunek nie przyschnie.

Najedzone mięsem niedźwiedzicy psy ułożyły się. Pietia zaparzył liści czarnych porzeczek, napił się i ogarnęło go takie zmęczenie, że z trudem naciął gałęzi na podściółkę. Sen go morzył. Wsunął się do worka i natychmiast zasnął, jakby się zapadł w próżnię.

Już we śnie poczuł dreszcze, ale nie z zimna. Miał gorączkę...

Nawet psy nie słyszały, jak Krzywogęby podczołgał się do samego brzegu urwiska i odchylił gałąź. Poniżej, w odległości mniej więcej dziesięciu metrów od skały, zobaczył ognisko, dwa kudłate psy i śpiącego chłopca. Trochę dalej leżała zabita niedźwiedzica. Stały narty. Spod śpiwora wystawała kolba dubeltówki.

Widząc to Krzywogęby domyślił się, co zaszło. Ale kimże jest ten młodzieniec z psami? I czemu jest sam? Nikt nawet uzbrojony nie chodzi po tajdze w pojedynkę.

Bandyta wycofał się po cichu i poszedł wyżej, żeby sprawdzić, czy nie ma tam jeszcze kogo. Wkrótce dostrzegł koleiny nart i ślady psów. Sam... Nie ma więcj nikogo!

„Co on tu robi?” — pomyślał.

O zmroku Pietia obudził się i od razu poczuł, że gorączka wzrosła. Policzki mu płonęły, w boku paliło. Męczyło go pragnienie. Podniósł się z trudem i jęcząc z bólu zaczął rąbać suche gałęzie, musiał przecież rozłożyć ogni-

sko. Bez ognia zginąłby na mrozie.

Kiedy ogień zapłonął i zaskwierczało smażone mięso niedźwiedzie, chłopiec poweselał. Dziś i jutro poleży sobie, odpocznie, wyleczy zraniony bok i pójdzie dalej na południe. Ileż to dni jest już w drodze? Dziesięć czy dwanaście?

Postanowił najbliższej nocy pozwolić sobie chociaż na mały odpoczynek. Potem będzie musiał dojść do Szalonej Rzeki, w jej dolnym biegu odszukać dawne miejsce postoju na brzegu ciepłych jezior, spędzić tam parę dni, uzupełnić zapas produktów rybami i dziczyzną, po czym machnąć się przez przełęcz na południe.

Już mu się odechciało spać. Siadł na worku przy ognisku, czyścił strzelbę, oglądał narty i długo badał na mapie swoją marszrutę.

Gdyby podniósł wzrok, zobaczyłby Krzywogębego Anioła.

Bandyta siedział na skale i z uśmiechem przyglądał się chłopcu. Kogoż to spotkał w tajdze? Chłopaczka? Czego tu szuka ten szczeniak? A jednak widać, że odważny, bojowy! Wielkiego zwierza położył.

Uśmiechnął się, poprawił czapkę na głowie i śmiało podszedł do ogniska.

Psy poderwały się. Tuj nawet nie zaszczekał, tylko rzucił się na nieznanomego i natychmiast wczepił mu się w łydkę. Pietia chwycił strzelbę. W ciemności zabrzmiał krzyk:

— Ej, kto tam! Zabierzcie psy!

Pietia z głównią w rękę skoczył w kierunku, skąd dobiegał głos, i dostrzegł tarzającego się na śniegu mężczyznę, który rozpaczliwie wymachiwał nożem opędzając się przed psami.

— Zbliżcie się do ogniska — groźnie powiedział Pietia i nie wypuszczając z ręki strzelby siadł na poprzednim miejscu.

Serce biło mu gwałtownie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

W niewoli u bandytów. — Badanie. — Tratwą po Szalonej Rzece

— Ależ bestie z tych twoich psów — powiedział nieznajomy zamiast przywitania i usiadł naprzeciw Pieti, ze strachem spoglądając spode łba na psy, które nasrożone stały koło swego pana. — W jaki sposób znalazłeś się tutaj, młodzieńcze?

— A kto wy jesteście? — Pietia odpowiedział pytaniem na pytanie przyglądając się przybyszowi, który zjawił się tak niespodziewanie, kładąc strzelbę na kolanach w ten sposób, żeby lufy, niby przypadkiem, skierowane były w pierś nieznajomego.

— Zabierz strzelbę, szczeniaku. Nie myśl, że się ciebie boję, za stary ze mnie wyga. Pytasz, kim jestem? My się tu kręcimy w szurfach. Robotnicy.

— W szurfach? Jest tu oddział poszukiwawczy geologów? Jaki?

— A bo to znasz wszystkie oddziały! No, przypuścimy, że Piotrowskiego. Słyszałeś o takim? Z tego jak mu tam, no... ze Zjednoczenia. Znasz?

— Nie. Gdzie on jest?

— Wolnego, zobaczysz. A tyś kto, czemu nie odpowiadasz?

— Myśliwy. Poluję na niedźwiedzie.

— Sam?

— N-nie... Za mną idą towarzysze. Pięciu...

Krzywogęby roześmiał się. Dostrzegł chorobliwe wypieki na twarzy Pieti i rozrzucone koło ogniska skrwawione gałgany.

— Niedźwiedź zadrapał, czy jak? — zapytał tonem udanego współczucia. — Ciężko samemu, to wiadomo, a ty się stawiasz. Kładź się, będę czuwał.

— Daleko wasz oddział?

— Nad rzeką. Pójdziemy jutro rano. Usłyszałem strzały, chłopcy mówią: idź zobaczyć. No i zobaczyłem ciebie.

— Jakże tak poszliście bez strzelby?

— Niby ja? Ech, tak... — wyciągnął z kieszeni rewolwer i podrzucił na dłoń.

Pietię opanował jeszcze większy strach. Wiedział, że

robotnicy z oddziałów geologicznych nie miewają wojskowych rewolwerów. Coś w tym jest niejasnego. Przypomniały mu się ostrzeżenia Uskowa, że w tajdze można lichowie na kogo się natknąć i nagle z absolutną pewnością zrozumiał: ma przed sobą bandytę. Ogarnęło go przerażenie.

— A ty się nie bój — powiedział nieznajomy widocznie odgadując nastrój Pieti. — Lepiej daj coś do żarcia. Co masz?

Nie wypuszczając z ręki rewolweru Krzywogęby wstał i podszedł do Pieti. Tuj zawył i rzucił się do przodu.

— No, no! Bo... — Krzywogęby skierował rewolwer na psa.

— Schowaj broń! — ostro rozkazał Pietia.

— Widzieliście go... — powiedział bandyta i spokojnie wsunął rewolwer do kieszeni. — Trzymaj zwierzaki, pójde odkroić sobie mięsa.

Wyjął nóż i oglądając się podszedł do tuszy. Pietia zamarł. Co robić? Uciekać? Dokąd uciekać? Zastrzelić włóczęgę? Ale dlaczego? A może to porządny człowiek?

Krzywogęby przyniósł mięsa, pokrajał na kawałki, nadział na kij i zaczął piec.

Zaległo milczenie.

Pietia gorączkowo myślał.

— Wiecie co — zaczął wreszcie — ludzie w tajdze są nieufni. Najlepiej... no... idźcie do swoich, a mnie zostawcie. Jutro spotkamy się i porozmawiamy o wszystkim. Dobrze?

Krzywogęby nie odpowiedział. Miał ochotę dać temu smarkaczowi w ucho, zabrać mu rzeczy — i niech ma zabawę na mrozie. Ale psy! No, i broń! Rewolwer, którym Krzywogęby groził, nie był nabyty.

— Wypędzasz mnie? Jakże pójde w ciemnościach? Zbłądzą i zamarzną. Przenocujmy razem. Nie bój się, przecież cię nie zjem.

Czyż godzi się człowieka odpędzać od ogniska, gdzieś w noc, w las, na śnieg? Nikomu nie wolno odmówić miejsca przy ogniu.

Chłopiec ustąpił.

— Dobrze, przenocujcie tutaj. Jestem... trochę niezdrów. Może więc już sami... Proszę rozpalić większy ogień, narąbać gałęzi i położyć się z tamtej strony.

Krzywogęby milczał. Narąbał gałęzi, przyniósł chrustu i położył się twarzą do ognia, opierając głowę na rękę.

Pietia siedział po przeciwnej stronie ogniska. Mężnie zwalczał senność, z głębokim postanowieniem, że całkiem nie będzie spał.

Rozpoczęła się noc, najdłuższa i najprzykrzejsza w całym życiu Pieti. Ze strzelbą w objęciach pół leżał, schowawszy nogi w śpiworze. Psy uspokoiły się i leżały koło niego. Chłopiec szeroko otwierał oczy, przyglądał się migocącym na niebie gwiazdom, jasnej Mlecznej Drodze. Chwilami wpadał w jakieś zapomnienie, ulatywał ku tym gwiazdzistym szlakom na niebie i zaczynał oddychać równo, spokojnie, jak zwykle oddychają ludzie śpiący. Ale trzask palącej się gałązki czy najmniejszy szmer po drugiej stronie ogniska natychmiast przerywał jego półsen. Jeszcze szerzej otwierał oczy i szybko podnosił głowę, a za jego przykładem psy także podnosiły głowy.

Mijały powolne nocne godziny. Ale nad ranem, chociaż chłopiec starał się nie spać, wszystko mu się pomieszało: gwiazdy, straszne usta bandyty, płomień ogniska, paszcza niedźwiedzia, szczekanie psów i śnieg błyszczący w słońcu. Zasnął.

Wówczas Krzywogęby ostrożnie wyciągnął swoją żyłastą rękę. Palcami namacał lufę strzelby, która leciutko wysliznęła się z osłabłych rąk chłopca, błyskawicznie poderwał się na nogi i zdzieliwszy Pietię gałęzią krzyknął:

— Ej, ty, szczeniaku! Wstawaj!

Pietia zerwał się i wlepił oczy w czarne lufy strzelby, którą bandyta ścisnął w rękę.

— Tuj, Kawa, bierz go! — wrzasnął nieswoim głosem.

Psy rzuciły się na zbója. Natychmiast huknął strzał i pierwsza ofiara Krzywogębego, Kawa, ugodzona kulą potoczyła się, żałośnie skowycząc. Tuj odskoczył w cień i zawył z bezsilnej wściekłości.

— Druga kula dla ciebie, szczeniaku! Jedno słowo a wyślę cię do prababki! Zajmij się ogniskiem, tylko szybko!

Pietię ogarnęła bezsilna złość! Aż łzy wystąpiły mu w oczach. Najbardziej zły był na siebie samego. Gapa! Dostał na co zasłużył! Nie wolno ufać pierwszym lepszym włóczęgom! Nagle przypomniał sobie — rewolwer! Jakże zatłukło mu się serce. Teraz ma prawo trzasnąć bandytę! Ale okazało się, że kieszeń jest pusta. Rewolwer wypadł i leży gdzieś na śniegu.

Wróciwszy do ogniska Pietia zobaczył, że Krzywogęby myszkuje w jego worku. Żywność, naboje, odzież —

wszystko było wyrzucone na śnieg.

— Rozbieraj się, szczeniaku! Mówię: rozbieraj się! Zdejmuj kozuch, wywracaj kieszenie, zobaczymy, co z ciebie za myśliwy...

Bandyta zrewidował kieszenie swego jeńca, wyciągnął i rozpakował owinięte w papier kawałki rudy, które włożył mu Uskow, i głośno gwizdnął: na dłoni leżały trzy błyszczące kamuszki i mały samorodek. Spróbował zębami. Żółty metal poddawał się jak ołów. Złoto... A więc długo oczekiwana zdobycz! Bogactwo, wolność, spokojne życie w obcym kraju!

— Skąd to złoto?

— Stamtąd — Pietia skinął ręką w nieokreślonym kierunku. Jeszcze nie wymyślił nic, co mogłoby brzmieć choć trochę przekonywająco.

— Wiesz co, szczeniaku? Zagrajmy w otwarte karty. Jestem Krzywogęby Anioł. Potrzebne mi jest twoje złoto i będę je miał, choćbym musiał wypruć ci kiszki. Mów wszystko... Coś ty za jeden?

— Należę do ekspedycji. Przechodziliśmy dolinę, szukaliśmy pokładów złota. W odległości stu kilometrów stąd grupa nasza zabłądziła. Wysłano mnie, żebym zawiadomił Zjednoczenie.

— Gdzie znalazłeś złoto?

— Tam... Pod tą górą, gdzie płynie rzeka.

— Na brzegu?

— Po prostu na brzegu. Tam, gdzie rzeczka skręca w bok. Dużo go tam, starczy dla wszystkich...

— Dobrze. Przekonamy się. A te kamyki to co?

— Nic takiego... Spodobały mi się, więc podniosłem.

— Gdzie podniosłeś?

— Na brzegu. Ale to zwykle szkiełka...

Krzywogęby uśmiechnął się:

— Szkiełka? No dobrze, zobaczymy. A teraz jazda do mnie, do domu. Jeszcze cię tam chłopaki pomacają.

Mocno zdziwieni nieobecnością swojego atamana, bandyci uspokoili się ujrawszy go wracającego z wędrowcem. Jeden z bandytów, Knysz, przymknąwszy oko, długo przyglądał się Pieti, następnie podszedł do niego i widocznie zachwycony czapką chłopca zdarł ją, nasadził sobie na głowę, a Pieti cisnął swoją nędzną uszankę.

— No, no, w samą porę! A dla ciebie, mały i ta będzie dosyć dobra!

Pietia pomyślał o zaszytych w czapce dokumentach.

Jakże je odebrać? Bandyci śmieli się jeszcze z zamiany Knysza, kiedy rudy, chuderlawy dryblas, którego przyjaciele nazywali Leńką, nagle energicznie ściągnął z nóg podarte buty z cholewami i jeszcze energiczniej zabrał się do rozzuwania Pieti.

— O, to porządne buty! — powiedział. — Akurat na mnie! Bierz, smarkaczu, moje, będą wygodniejsze. Teraz i tak nie pójdziesz daleko!

Pietia siedział na śniegu w samych tylko futrzanych pończochach. Nie zdjął mu ich bandyta: były za małe. Za ciasny był także kożuszek. Te rzeczy przynajmniej mu pozostawiono.

„Koniec ze mną — pomyślał chłopiec żałośnie. — Sam przeciwko czterem. I do tego bezbronny!”

Przypomniawszy sobie jednak o Sperańskim i Iwanowie. Byli w jeszcze gorszej sytuacji, a jednak się nie załamali... Czy nie za wcześnie wpada w rozpacz? Zawsze trzeba walczyć.

— No, mały, opowiedz towarzyszom o złocie...

Bandyci słuchali opowiadania Pieti z ogromnym zainteresowaniem, w milczeniu. Następnie wyprowadzili chłopca i długo szepotali ze sobą omawiając plan działania.

Rano, zostawiwszy jeńca pod strażą zbója zwanego Talerzem, wyruszyli nad rzekę. Wkrótce dobiegł stamtąd stukot siekier.

— A więc podhandlowujesz złotkiem, co? — Talerz uśmiechnął się przyjacielsko, a jego okrągła twarz jakby rozplynęła się i tak spłaszczyla, że od razu stawało się zrozumiałe, dlaczego takie mu nadano przydomko.

Pietia skinął głową.

— No, pewno! Cóż za życie bez złota i bez forsy... A jak naciulamy po woreczku, to będziemy mieli wszystkiego w bród. Pójdziemy tam...

— Dokąd?

— A tam... machnął ręką w nieokreślonym kierunku. — Tam, gdzie nie ma milicji. I ty pójdziesz z nami. Naturalnie, jeżeli dojdiesz. — Uśmiechnął się znowu i rozkosznie przeciągnął. — Powiedz no, masz tatusia?

— Nie... Co oni tam robią, ci twoi przyjaciele?

— Traktwę. Zaraz popłyniemy w dół rzeki. Ale nie kłamiesz aby o tym złocie?

— Nie. Dlaczego miałbym kłamać? Bierzcie sobie. Nie żałuję wam.

— Pamiętaj, że my nie lubimy żartów. W razie czego,

wiesz?... Zrozumiałeś?

Pietia rozważał. Bandyci zamierzają popłynąć w dół na tratwie. Nie wiedzą, dokąd płynie i jaka jest Szalona Rzeka. Chcą zabrać go ze sobą. To pewna śmierć! Gdy miną zakręt koło mogiły Iwanowa — zginą. Tam już bystry nurt porywa bezlitośnie... Co robić, co im powiedzieć? Nie, nie będzie nic odradzał. Niech płyną! Ale sam musi jakoś się uratować! Przecież w kraterze czekają, liczą na niego!

Widocznie coś wreszcie wymyśliwszy Pietia zdjął ciepłe spodnie i waciak, zwinął i usiadł na nich. Na lekkie ubranie włożył kożuszek.

W dolinie budził się słoneczny dzień. Palące promienie słońca przebijały śnieg, który tajał z minuty na minutę. Pachniało żywicą i naftą, było tak ciepło jak to bywa w kwietniu tylko w bezwietrznych dolinach kontynentalnej Północy. O tej porze roku upalne dni przeplatają się tam z mroźnymi nocami i obfity śnieg znika w ciągu około dwóch tygodni, ustępując miejsca wyrastającej niemal jeszcze pod śniegiem zielonej trawie.

Szalona Rzeka nabierała wiosennej mocy. Na przestrzeni całego jej biegu przez tajgę i kotliny zasilały ją potoki i rzeczki. Przemarznięta na głębokość wielu metrów ziemia nie mogła wchłonąć całej wody, po prostu strząsała ją z siebie i masy roztopionego śniegu spływały do rzek. Dlatego właśnie rzeki północne są tak burzliwe i pełne wody. Wiosną rozszalała woda mknie hucząc, znosi na mielizny kamienie i otoczaki, tu i ówdzie przerywa osady rzeczne w dolinach, tworzy nowe wyspy i kanały, wreszcie uspokaja się, ucisza, do czasu następnej powodzi, do gorącego lipca, kiedy śnieg zaczyna tajać na szczytach gór.

Znowu wzbiorą rzeki, zaszumią potoki, zahuczą wodospady — uważaj wówczas wędrowcze, uciekaj czym prędzej z niebezpiecznych dolin na sopki!...

Pietia patrzył na przepływający w pobliżu potok — mały, wartki, hałaśliwy. Dokąd pędzi? Wpadnie do rzeki, która porwie jego czyste wody, przeniesie przez całą dolinę, koło mogiły Iwanowa, koło jezior i starego obozowiska. Skręci na lewo i pomknie jak opętana tam, na skały, w dół, do huczącego wodospadu. I zginiesz, strumyku, szybko przeżywszy swoje bujne życie...

Wstrząsnął się na myśl o tej krótkiej drodze.

Bandyci wrócili. Milcząc jedli, a potem cisnęli Pieti

napoczętą puszkę konserw. Krzywogęby położył się na worku i zmrużył oczy.

— Naprawdę smarkaczu, nie ma nikogo na dole? — zaczął leniwie. — Nie łzesz? Zaraz tam popłyniemy. Pamiętaj, jeżeli oszukałeś, jeżeli zobaczę na brzegu jakichkolwiek ludzi, łeb ci rozwalę i... do rybek! Lepiej powiedz od razu. Czegoś się nastroszył?

— Nie ma tam nikogo. Moja grupa jest w górach. Byliśmy tu jeszcze w jesieni. Znaleźliśmy złoto i poszliśmy. Możecie być spokojni.

— Pojedziesz z nami.

— Lepiej zostanę. Bok mnie boli, nie mogę się ruszyć.

— Także pomysł! A kto nam pokaże miejsce? Zbieraj się.

Bandytów opanowała już gorączka złota. Pośpiesznie zebrali manatki i wyruszyli. Pietia wsunął w krzaki waciac i ciepłe spodnie, otulił się w kożuszek i w milczeniu poszedł za nimi. Gdybyż miał broń! Ale jego dubeltówka chybotwała się na plecach Krzywogębego.

Tratwa oczekiwała w gęstych zaroślach. Niewymyślna budowa — siedem czy osiem związanych łożą suchych modrzewi i dwie poprzeczki. Gdy taka tratwa wpadnie na pień podwodny, rozleci się jak wiecheć. Pietia siadł na tylnej poprzeczce. Uzbrojeni w długie żerdzie Rudy i Talerz stanęli po bokach. Krzywogęby i Knysz ułożyli żywność i odzież na środku i siedli twarzami w kierunku jazdy.

— Trzymaj się, szczeniaku! — krzyknął Rudy odpychając tratwę.

Wąty stateczek i jego pasażerowie powierzyli swój los rzece.

Pietia patrzył na uciekające do tyłu brzegi i szarpał łożę, którą powiązane były bierwiona. Krzywogęby cały czas wpatrywał się przed siebie, czujnie bacząc zwłaszcza na zakręty rzeki. Pomimo wszystko nie dowierzał chłopcu, obawiał się pułapki. Strzelbę miał na kolanach. Każdy zajęty był swoją pracą. Pietia zaczął powolutku odwijać powrósł. Jedno, drugie, trzecie... Między bierwionami szemrała ciemna, chciwa woda. Jeszcze dwa powrósł... Pietia musiał już rękami trzymać końce łoży, żeby bierwiona się nie rozsunęły.

Minęli mogiłę Iwanowa, przemknęli przez rejon jezior. Ukazał się ostatni zakręt — cypel porośnięty wysokim lasem. Przed nimi — ciemna ściana. Gdy zakręca — koniec,

żadna siła nie wyrwie tratwy z objęć rzeki, której nurt staje się coraz gwałtowniejszy.

Pietia spojrzął na brzeg. Pomędzy krzakami to ukazywała się, to znów ginęła żółta plamka. Dobry, kochany Tuj! Towarzyszy mi,, czeka, nie traci nadziei...

Ogarnęło chłopca uczucie takiego spokoju i pewności, jak by nie miał koło siebie tych ponurych bandytów, i jak by nie śmierć go czekała, lecz wesoła przejażdżka. Bywa tak, kiedy człowiek poweźmie jakieś postanowienie i uwierzy we własne siły.

Wypatrywanie i czujność zmęczyły Krzywogębego. Strzelbę zwróconą lufami w stronę Pieti, położył koło siebie, w odległości metra od chłopca, i zaczął skręcać papierosa. Pietia rzucił okiem na brzeg: jakieś trzydzieści metrów... Za chwilę tratwa wypłynie na największą głębię i pomknie ku nieuniknionej śmierci.

Puścił końce łąy i dolne wiązanie wysunęło się spod tratwy. Talerz z trudem utrzymał się na nogach. Pietia zrzucił kożuszek, wyrwał Krzywogębemu broń spod ręki gwałtownie skoczył do wody tuż koło Knysza. Zabulgotało i strzelba utonęła.

— Dokąd? — wściekle wrzasnął Krzywogęby.

— Trzymaj! Bij! — ryknął Rudy.

Pietia wynurzył się w odległości sześciu metrów. Talerz uderzył żerdzią po wodzie, ale nie dosięgnął chłopca. Już odpłynął. Bandyta pośliznął się, bierwiona rozsunęły się i Talerz wpadł do wody.

Ale Krzywogęby nie stracił głowy. Wyszarpnął rewolwer i krzyknął z wściekłością:

— Zastrzelę! Wracaj!...

Pietia znowu dał nurka. Kiedy głowa jego ukazała się nad powierzchnią, bandyta w bezsilnej złości cisnął w chłopca nieprzydatnym rewolwerem i ugodził go w głowę. Przez chwilę wszystko zakotłowało w oczach Pieti. Znowu dał nurka, zachłysnął się, ale przepłynął jeszcze trzy metry. Spuścił głowę i rozpaczliwie wyrzucał ręce do przodu. Brzeg był coraz bliżej. W zaroślach mignęła żółta plama. Tuj! Jeszcze wysiłek, jeszcze jeden... Tymczasem prąd wciąż znosi tratwę! Trzej bandyci miotają się, a rzeka jakby z nimi igrając to rozłącza, to znowu łączy bierwiona i nieubłagane niesie naprzód.

Zbawienny brzeg! Wreszcie! Pietia czepia się krzaków, wyłazi z wody i kładzie się na brzegu. Tuj cicho skowycząc kręci się koło niego, dotyka pyskiem, oblizuje cie-

pływ chropowatym językiem. Chłopiec z trudem podnosi głowę i ogląda się.

Prąd znosi tratwę na zakręt. Ale widać na niej już tylko dwie postacie. Czyjaś ciemna głowa miga na pół drogi do brzegu. Krzywogęby! Płynie w tę stronę! Strzelba! Ach jakby się teraz przydała!

Pietia zerwał się i pobiegł brzegiem pod górę. Znowu goni go ten straszny człowiek! Nie ma wprawdzie broni, ale ma nóż i okrutnie silne ręce. Pietia też nie ma broni. Ale ma wiernego Tuja.

Chłopiec szybko zrzuca odzież i pędzi po mokrym, kłaskającym mchu w górę, do barłogu, w którym zostawił suche ubranie. Prędzej przebrać się i biegiem do rozpadliny! Tam, gdzieś koło popieliska leży zgubiony rewolwer Uskowa.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Pogoń. — Spotkanie z wilkami. — Znowu Krzywogęby Anioł. — Nocna walka

Drugi i czwarty oddział ratunkowy urządziły popas na brzegu Szalonej Rzeki. Był pogodny dzień słoneczny i wszyscy odpoczywali po ciężkim marszu. Nagle spoza zakrętu ukazała się gwałtownie mknąca tratwa z ludźmi. Wiera zobaczyła ją pierwsza.

Przechadzała się po brzegu i smutnym wzrokiem patrzyła na rzekę, na ciemną tajgę i błękitne niebo; myślała o ojcu, o Borysie, Pieti, o wszystkich, którzy zginęli gdzieś w tych milczących górach. Aż nagle — tratwa! Dziewczyna krzyknęła i dwoma skokami znalazła się koło namiotów. Geolodzy pobiegli na brzeg.

W chwili, gdy tratwa mijała cypel, ktoś zeskoczył do wody i szybko popłynął ku przeciwnemu brzegowi. Reszta miotała się, rozpaczliwie krzycząc.

— Ratujcie! Giniemy! — dobiegło z tratwy.

Ale nie można już było nikogo uratować. Rzeka dokonała swojego dzieła...

Tymczasem major bez przerwy obserwował przez lornetkę zuchwałego pływaka, który walczył z prądem. Znosiło go w dół, uparcie jednak dążył do brzegu i wreszcie dopłynął. Nie oglądając się wyszedł z wody, otrząsnął się i natychmiast zniknął w zaroślach.

— Proszę się uspokoić, to nie są nasi. Dobrze im się przyjrzałem — powiedział do siedzącej jak by w odrętwieniu Uskowej.

— Któż to był w takim razie?

— Ci, których szukamy! Trzech już nie ma. Ale ataman ich, Krzywogęby, ocalał. Teraz już jednak nam nie ucieknie! Jeszcze się z nim rozprawimy!

Tak. Krzywogęby ocalał.

Zaledwie tratwa wypłynęła spoza zakrętu, bandyta zrozumiał, w jaką pułapkę wpędził ich ten malec i czemu sam z narażeniem życia skoczył do wody. To nic, Chłopaczysko jeszcze za to zapłaci!

Prąd niósł bandytę dobry kilometr.

Teraz jednak, gdy znalazł się w lesie, szybko ruszył w górę rzeki, aby dopędzić chłopca i rozprawić się z nim.

Znalazł miejsce, w którym Pietia wyszedł na brzeg i po śladach zorientował się, że chłopak skręcił do barłogu niedźwiedzi. Ruszył w tym kierunku.

W tym czasie prawym brzegiem, niemal równoległe z Krzywogębym jechało już pięciu mężczyzn konno. Zaraz po zatonięciu tratwy opuścili obóz. Chcąc osiągnąć Krzywogębego, musieli przede wszystkim znaleźć przeprawę przez tę okrutną rzekę.

Ciemno już było kiedy Pietia przyszedł do barłogu. Odzież miał już prawie suchą, ale upadał ze zmęczenia. Futrzane pończochy namokły i rozlały się. Trudno było rozpalić ogień, a zaraz po zachodzie słońca bardzo się ochłodziło. Od rzeki ciągnął przenikliwy wiatr.

Pietia spojrzał na miejsce, w którym było przedtem ognisko. Nad popieliskiem unosił się ledwie dostrzegalny dymek. A więc jeszcze się tli!

Szybko rozgrzebał popiół i znalazł gruby, spalony już, ale jeszcze dymiący korzeń. Ach, jakże przydała się nauka Lubimowa! Z łatwością wyszukał suchą gałąź. Przytknął ją do ogieńka, rozdmuchał żar, a kiedy jasny jęczyczek płomienia przeskoczył na żagiew, zawinął ją w suchy mech i ostrożnie zaniósł tam, dokąd cały czas dążył, do rozpadliny, w której z pewnością leży jego rewolwer.

Wreszcie dotarł. Cóż to nagle odskoczyło od tuszy niedźwiedziej? Ach, wilki! Zgrzytają zębami, ale cofają się przed człowiekiem i psem. Są syte, nie chcą rozpoczynać walki. Innym razem...

Nie zwracając już uwagi na drapieżników, Pietia usadowił się przy ognisku i zaczął rozdmuchiwać ogień. Jak to uczył Lubimow? Cienkie szczapki przykryć gałązkami, a na to położyć suche gałęzie. Tak... Po kilku minutach ognisko zapłonęło. Narzucił stos leżaniny. Zrobiło się jasno i wesoło, ciemności znikły i wówczas dojrzał swój rewolwer! Leżał czarny na białym tle, wtopiony w śnieg, niczym wydrukowany.

Zbliż no się teraz, Krzywogęby, to porozmawiamy!... Pietia nie wątpił, że bandyta zaraz się tu zjawi.

Nagle poczuł bezgraniczne zmęczenie. Zaprzagnął odwrócić się plecami do ognia i spać, bez końca spać... Zasnął. Obok zwinął się pies.

Krzywogęby przyszedł do barłogu po trzech godzinach. Nie zdążył ani obeschnąć ani odpocząć. Gdzież jest chłopak? Przypomniał sobie: oczywiście w swojej rozpadlinie! Pomimo pory nocnej, śmiertelnego zmęczenia i wstrząsa-

jących nim dreszczy, zerwał się, wyszarpnął nóż fiński i poszedł śladami Pieti.

Z daleka już zobaczył ognisko. Jakże je rozpałił sprytny chłopak? Zaczął się cicho podkradać. Jest smarkacz! Ten, co wyprowadził w pole jego, starego wilka. Sam? Tak. Śpi? Nie, śpiącego nie zamorduje. Niech spojrzy śmierci w oczy.

Jeden krok, drugi, trzeci. Już jest blisko... Zachrzęściły drobne kamyki pod nogami, a w tej chwili Tuj błyskawicznie skoczył bandycie na piersi i wpił się zębami w gardło. Natychmiast jednak padł z rozciętym brzuchem. Pietia zerwał się. W odległości pięciu metrów stał zakrwawiony, straszny ze swoim uśmiechem, Krzywogęby. W rękę jego błyszczał nóż.

— Kładź się, szczeniaku — wycharczał. — To twoja ostatnia chwila...

W rękę Pieti błysnął rewolwer. Krzywogęby zbladł i z przyzwyczajenia zaczął podnosić ręce.. Pietia nabrał otuchy:

— A, przestraszyłeś się, zbój? Odwróć się plecami! Ręce do tyłu!

Bandyta zrozumiał, że przegrał. A zresztą...

— Słuchaj — przemówił żałośnie. — Jeszcze zdążysz mnie zabić, wiesz? Chcesz, to sobie pójde. Zupełnie pójde, dobrze? Zostań przy ognisku, a ja pójde w tajgę. Rozstaniemy się jak przyjaciele...

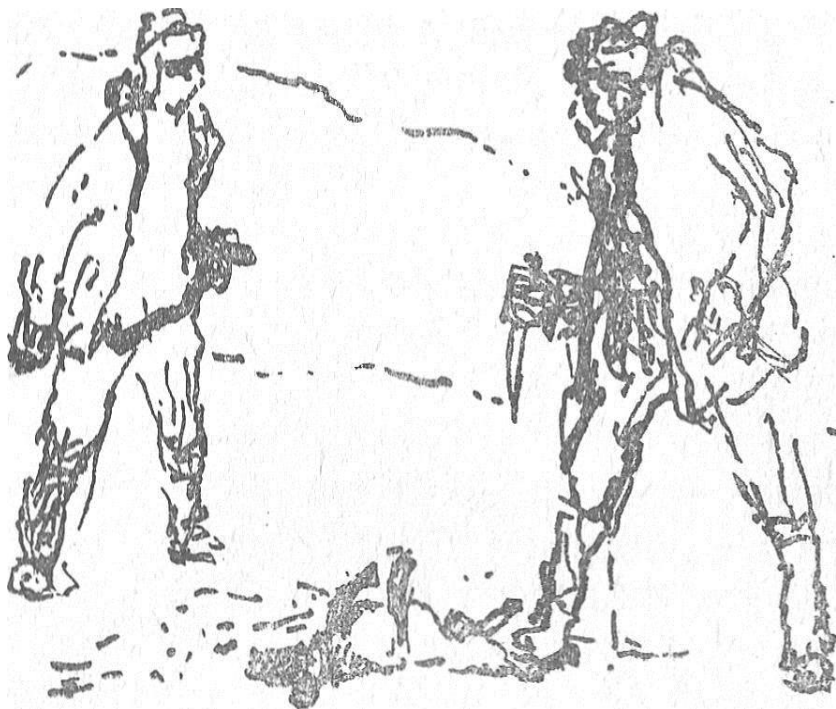
— Jak przyjaciele? Nie, stary zbój, cóż z nas za przyjaciele? Teraz mam prawo cię zastrzelić!...

— No, to strzelaj! Masz — zbój odwrócił się pierśią do chłopca. — Strzelaj do bezbronnego! No!...

Pietia nacisnął spust. Rozległ się tylko cichy szcęk, rewolwer nie wystrzelił: Szarpnął magazynek, łuska wypadła. Nacisnął. Znowu nic.

Bezczelny uśmiech wykrzywił twarz zbója:

— Straszak nawalił? Pokaż no...



I ruszył do Pieti, który wciąż jeszcze usiłował wystrzelić. Ale zdążył zrobić tylko jeden krok. Ze skały, wprost nad głową Pieti, huknął strzał i bezczelny uśmiech bandyty zgasł. Nóż wypuścił z ręki, podniósł oczy, żeby zobaczyć, kto strzelał i natychmiast zwałił się głową naprzód, prawie pod nogi Pieti.

A Pietia stał z rewolwerem w ręku i nic nie rozumiał. Zobczył majora, chciał coś powiedzieć, ale upadł na ręce swoich wybawców.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Helikopter na horyzoncie. — Dziwne urojenia Pieti

Nad doliną Szalonej Rzeki wystrzeliło jednocześnie pięć słupów dymu: paliło się pięć ognisk. Lotnicy ze zdziwieniem wzruszyli ramionami. Czemu pięć? Czyżby znaleziono wszystkich na raz — i grupę Uskowa i bandytów?

Na wszelki wypadek obserwatorzy jeszcze raz przeliczyli ogniska. Tak, tu dwa i w pobliżu jeszcze trzy. A zatem istotnie znaleziono wszystkich! Z góry widać, jak na polanie biegają ludzie, jak machają rękami w stronę szosy. Łatwo się domyślić, że proszą, aby lotnicy wylądowali.

Ale mimo całej umiejętności i najlepszej woli pilotów, lądowanie w tej okolicy było niepodobieństwem, zwłaszcza o tej porze roku. Samoloty miały płozy, a tu śnieg prawie zniknął, obnażyły się kępki i doły, w dolinach stoi dobrze widoczna z góry woda. Lotnikom nie pozostawało nic innego, jak przelecieć nisko ponad namiotami i wziąć kurs na południe, na bazę ósmą, gdzie jest odpowiednie miejsce do lądowania.

Z bazy natychmiast nadano do Zjednoczenia dwie depesze radiowe o wynikach poszukiwań.

— Dolina niezamarzającej rzeki?... Ogromnie ciekawe miejsce. Współrzędne?... Tak, zaznaczymy. Prawie w środku białej plamy... Dobrze, sprawdzimy!

Basiuta wezwał lotników i kazał przygotować helikopter.

Helikopterem tym wylecieli do bazy ósmej dyrektor Zjednoczenia i naczelny geolog.

Nazajutrz, po uzupełnieniu paliwa, polecili na północ, nad przełęczami, do miejsca postoju drugiego i czwartego oddziału ratunkowego.

Tegoż dnia wylądowali o sto metrów od obozu ratowników na małej polance, otoczonej krzakami czeremchy i głogu rozwijającego już swoje lepkie pączuszki.

Ludzie przywitali samolot okrzykami zachwytu. Konie natomiast usłyszawszy głuchy warkot silnika spłoszyły się i uciekły w las, a jelenie pochylły ozdobione rogami głowy i pomknęły w takie gąszcza, że odnaleziono je z wielkim trudem.

— Potrzeba nam tu lekarza — powiedział Szwec na

wstępie.

— Lekarza? Co się stało?

— Znaleźliśmy dotąd tylko jednego z towarzyszy Uskowa, jego siostrzeńca. W niezwykle dziwnych warunkach. Jest rozebrany, bez butów, ranny. Spotkaliśmy go w chwili, gdy walczył z bandytą. Jeśli zaś chodzi o pozostałych, to nie ma dotąd żadnych śladów. Tu, gdzie teraz stoimy, było przedtem miejsce postoju Uskowa. Sądząc ze szczątków namiotu wyruszył stąd prawie rok temu.

— Czemu nie wypytacie chłopca?

— Jest chory i wciąż majączy. Ma ranę szarpaną boku. W rozpadlinie, gdzieśmy go znaleźli, leżał zabity niedźwiedź. Widocznie chłopak stoczył pojedynek ze zwierzem. Były tam również dwa martwe psy z grupy terenowej. To wszystko. Chłopcu potrzebny lekarz. Myślą, że tu nawet nie tyle chodzi o ranę, ile o poważny wstrząs nerwowy...

— Chodźmy do niego.

Pietia nie odzyskał przytomności od chwili, gdy upadł na ręce majora. Na domiar wszystkiego, co przeżył, strachu i wstrząsu, dostał zapalenia płuc. Pływał w zimnej rzece i prawie dobę spędził na nogach w mokrej odzieży, bez obuwia. Musiał to przechorować. Major przyniósł go w nocy do obozu i oddał pod opiekę żonie i córce Uskowa.

Żadna matka nie pielęgnowałaby tak własnego syna, jak kobiety te pielęgnowały Pietię, a jednak cztery dni walczył ze śmiercią. Nikogo nie poznawał, mówił coś bez związku, chwilami wykrzykiwał jakieś dziwne wyrazy, usiłował zerwać się, biec, rzucał się, płakał, kogoś wołał i z kimś walczył.

Basiuta wszedłszy do namiotu zastał chłopca właśnie w takim stanie.

Przez kilka minut słuchał jego majaczenia, po czym wstał i wyszedł. Był bardzo zaniepokojony.

— Musicie — zwrócił się do pilota — zaraz lecieć do miasta. Oddajcie moją kartkę kierownikowi służby zdrowia. Weźcie doktora i lekarstwa i natychmiast wracajcie. Czekamy...

Helikopter odleciał zabrawszy również majora i zabitego bandytę.

Basiuta jakiś czas jeszcze spędził przy chorym, a potem zawołał Wierę i wydał jej bardzo dziwne na pierwszy rzut oka polecenie:

— W tym, co mówi chory, są czasem wyrazy, które mogą naprowadzić nas na ślad. Proszę wziąć ołówek i papier,

usiąść i spróbować zapisać dosłownie wszystko, co szepcze lub krzyczy. Nie trzeba mu przeszkadzać ani przerywać. Niech mówi. A potem tę zapisaną kartkę proszę mi pokazać. Dobrze?

Wiera przez całą noc nie zmrużyła oka. Rano oddała kartki dyrektorowi:

— Mówi tyle dziwnych rzeczy. Wątpię, czy coś zrozumiecie.

Wczytując się z napięciem w notatkę Basiuta ściągnął brwi.

Nie, nie, nie trzeba... Kto z pieśnią na ustach idzie życia drogą... Tuj, bierz go! Niech uciekają do górnego krateru... Przebiją... Włodzimierzu Iwanowiczu!... On mnie zadusi! Gaz, wszędzie gaz... Nie, Krzywogęby, teraz ty!... Boję się! Czarna woda... Bierz go!... Mama nic nie wie... Zastrzelę... Mam prawo! Rzuć nóż! W kraterze wszystko zginie... Łas, do mnie! A on nie gryzie? Żeby tak wejść... Balon czy samolot... Boisz się, zbójcu, aha! Nie umrę? Borys, Borys! Ty nie przeleziesz, a moglibyśmy razem... Wyjście z krateru przebite... Naprzód! Jaki smaczny chleb... Wstanę, puśćcie... Żeby tak amonał... Gdzie wilki?... Mikołaju Nikanorowiczu! Wujku Wasia! Oj! Jak duszno... Kawa, bierz go! A, Rudy, wpadłeś! Muzeum!... Nie, ja pójdę...

Dyrektor zamyślił się.

— Kto to jest, Włodzimierz Iwanowicz? Często go woła. Jeśli się nie mylę, w grupie czternastej nie ma nikogo takiego.

— Może to krewny?

— W naszej rodzinie nie ma Włodzimierza Iwanowicza — wtrąciła Uskowa.

— To ciekawe. Dalej. Jeszcze jeden wyraz. Powtarza się cztery razy: „krater”... Hm... To nie jest przypadek. Krater, krater... Gdzie tu może być krater? Słuchajcie, kolego, a podczas poprzedniej wyprawy nie lataliście nad tą oto górką? O tą, w białej czapie?

— Nad Erszotem? Nie, nie latałem. Nad Erszotem zawsze są chmury.

— A może to dym?

— Możliwe. W każdym razie samoloty zawsze musiały omijać szczyt góry.

— Krater! To ciekawe! No, dobrze, pomyślimy. A dalej... „Wyjście z krateru przebite”. Też ciekawe zdanie. Krater. Wyjście. Wąwóz. Borys nie przelezie. A któż przelezie? Tylko ktoś mniejszy od Borysa? Tak? A mniejszy od Borysa jest tylko Pietia... W tych słowach tkwi

rozwiązanie zagadki! Co to za Łas? Co za Dzik?

— Ależ on majaczy. Czy to jest ważne, co chory mówi w malignie?

— A mnie się zdaje, że trzeba zwrócić szczególną uwagę na Erszot. Krater! Polecimy helikopterem, Andrzeju Iwanowiczu, nad Erszot i przekonamy się, czy ten jego wierzchołek nie parzy, zgoda?

Tymczasem w całej dolinie szukano zaginionych. Myśliwi odkryli grób Iwanowa. Deszcze i zamiecie częściowo zatarły napis, ale po długich usiłowaniach można go było odczytać. „Nikita Iwanow... pochowany 10 czerwca 1947 roku. Czternasta grupa geologiczna Zjednoczenia »Siewstroj«.”

Kto to jest Iwanow?

Ale mniejsza z tym, czyż potrzeba więcej dowodów na to, że grupa Uskowa była tutaj! Gdzież się podziała?

Niepokój wzrósł, jak gdyby otrzymano pierwszą wiadomość o zniknięciu sześciu geologów.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Helikopter w kraterze. — Śmierć mamutów. — Gdzie jest Uskow i jego oddział?

Helikopter, przypominający dużą, dziwacznie ubarwioną wążkę, znowu wylądował na porośniętej czeremchą polance. Kabina otworzyła się. Wyszedł z niej lekarz, starszy mężczyzna z walizeczką. Zbadawszy chorego orzekł, że niebezpieczeństwo nie zagraża jego życiu. Chłopiec jest silny, wyzdrowieje. Wszyscy odetchnęli z ulgą i postanowili rozpocząć teraz energiczną akcję w celu ratowania pozostałych członków grupy.

Tego wiosennego dnia nad całym światem, nawet nad dalekim północnym krajem niebo było błękitne i zupełnie bezchmurne. Sroki skrzeczały po naroślach jak nakręcone, śnieguły, niby różowe kuleczki, przelatywały z krzaka na krzak. Na jeziorach kaczki urządziły jarmark. Ogłuszająco kwakały, nurkowały, albo ospale siedziały na brzegu, czyszcząc swoje i tak czyste piórka. Coś roilo się w trawie: to bawiły się burunduki, od czasu do czasu piszcząc i stając „na bacność”, żeby rozejrzeć się wokoło i mrugnąć okrągłymi dużymi oczami. Czarne głuszce niezdarne przelatywały z drzewa na drzewo. Mruczały coś w swoim belkotliwym narzeczu mieszkańców lasu i od czasu do czasu atakowały krzaki głogu, na których jeszcze od ubiegłego roku zachowały się przejrzałe czerwone owoce, albo zręcznie obrywały pękające już pączki drzew. Od budzącej się przyrody i radosnego dnia odcinał się posępny Erszot w otoczeniu niskich gór i sopek, jak władca wśród poddanych. Jego ponure zbocza i teraz, tak jak zimą, okrywała dziewicza biel śniegu. Zdawało się, że Erszot odrzucał ciepło słoneczne i radość życia. Nad wierzchołkiem jego kłębiła się poszarpana szarosrebrzysta mgła; samotna, zabłąkana chmura zaczepiła o ostre iglice Erszotu i utknęła na szczycie, całkiem zadowolona ze swego posępnego przytułku.

Helikopter wzleciał ponad nią i zatoczył koło. Dyrektor i jego zastępca Szwec uważnie przyglądali się ponuremu masywowi i robili zdjęcia.

— Jaka wysokość?

— Tysiąc trzysta pięćdziesiąt metrów. Jesteśmy o sto

pięćdziesiąt metrów nad wierzchołkiem. Góra więc ma prawdopodobnie tysiąc dwieście metrów wysokości...

— Spróbujcie przelecieć na poziomie chmury.

Samolot minął chmurę unikając zetknięcia z białą watą, która czepiała się śmigi.

— Ho, ho! Bagatela! Obwód wierzchołka wynosi ponad piętnaście kilometrów. Ciekawy szczyt! Jest o wiele większy niż Kilimandżaro! — zawołał Basiuta.

— Wulkan afrykański nie ma wierzchołka, tylko ogromny krater — przypomniał Szwec.

— Krater? A czemu nie mielibyśmy przypuszczać, że Erszot nie ma wierzchołka, lecz wgłębienie i że to wgłębienie jest kraterem wygasłego wulkanu? — zapytał Basiuta..

— Tak sądzicie? — Szwec dopiero teraz zrozumiał, co dyrektor miał na myśli. — Czy nie powinniśmy wobec tego spróbować zanurzyć się w tej białej kaszy? Albo spokojnie wylądujemy na skale, albo... albo znajdziemy się znowu nad wgłębieniem. Zaczynajcie podchodzić do lądowania...

Lotnik wyraźnie sposępniał, ale spełnił polecenie. Helikopter wpłynął w chmurę i ostrożnie posunął się w kierunku jej przypuszczalnego środka. Mokra mgła otuliła samolot. Widoczność ograniczyła się do dwóch czy trzech metrów. W kabinie natychmiast zrobiło się wilgotno i zimno, jak w pochmurny dzień listopadowy. Pasażerowie umilkli.

— Ach, do diabła! — zaklął Szwec. — Jak pięknie wyglądało z daleka, a jakież to paskudne z bliska!

— A moim zdaniem nie jest to normalna chmura — wtrącił dyrektor. — Raczej jakieś wyziewy zagęszczające się nad wierzchołkiem.

— Ale wyziewy powstają tylko wtedy, gdy istnieje źródło ciepła.

— Właśnie... Coraz bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że Erszot ma krater.

— Jesteśmy na poziomie góry... — powiedział lotnik ze zdziwieniem i odwróciwszy się niepewnie spoglądał to na jednego to na drugiego pasażera.

Zdziwienie było całkiem zrozumiałe. Wypuszczone przez ostrożność podwozie samolotu powinno już było dotknąć skały. Wszyscy trzej z napięciem patrzyli w dół. Gdzież jest ten wierzchołek?

Helikopter zastygł na miejscu. Śruby obracały się

z ogromną szybkością.

— Ano, zniżmy się jeszcze bardziej!

Helikopter opuścił się trochę niżej. Znowu ta przekłeta mgła.

— Tysiąc sto czterdzieści!

— Jeszcze niżej...

— Dziewięćset trzydzieści!

— Czy przebijemy wreszcie tę chmurę?

— Dziewięćset dziesięć. O dwieście dziewięćdziesiąt metrów poniżej wierzchołka.

Szwec odwrócił się od szyby i spojrzał na uśmiechniętego Basiutę.

— Zniżamy się do krateru. Rozumiesz?

— Bardzo dobrze. Każdy krater ma dno. Jak sądzicie? Lećmy na dół...

Dziewięćset... osiemset siedemdziesiąt... Osemset dwadzieścia... Siedemset... Nie ma kresu ta otulająca ich wilgotnoszara masa. Sześćset dziesięć... W dole coś prześwituje... Jeszcze kilka metrów. Samolot przebił otoczkę mgły! Wszyscy naraz wydali okrzyk zdziwienia: pod helikopterem rozciągał się malowniczy las, błyszcząły jeziora, potoki urozmaicały letni krajobraz. A dokoła tajemniczego wgłębienia, gdzie wzrok sięgał, wznosiły się, jak czarne bastiony, pionowe ściany skalne.

...Mamuty spokojnie pasły się na skraju lasu, we wschodniej części krateru; wyciągały trąby do gałęzi drzew, zginały je, obłamywały cienkie gałązki i energicznie wpychały sobie do paszczy. Posuwając się skrajem lasu doszły do jeziora, nad którym agronom zobaczył kiedyś niedźwiedzia. Nogi olbrzymów grzęzły w błocie. Mamuty zatrzymały się. Wiedziały, że zdradziecka i złudna jest miękka ziemia nad wodą. Rozważny Dzik uwolnił już przednie nogi z grzęzawiska, ale Łas postanowił zerwać pęczek słodkiej trzciny i wyciągnął trąbę po zdobycz. Tak był pochłonięty swoim zajęciem, że później niż Dzik usłyszał i zobaczył to, co wkrótce miało go zgubić.

Przerażenie ogarnęło wszystkie zwierzęta, kiedy nieznaną ptak zaczął krążyć nad lasem, szukając miejsca, żeby usiąść. Warkot silnika był w kraterze wielokrotnie spotęgowany skutkiem echa, które przetaczało się od ściany do ściany, uderzało o skały i wstrząsało powietrzem.

Stado baranów rzuciło się przez kamienie i głazy w stronę lasu szukając ucieczki przed groźnym ptakiem. Bure niedźwiedzie ryczały ze strachu. Lisy i enoty, zające i ry-

sie, nawet powolne jeże i ciekawe burunduki uciekały jak szalone, skakały, pełzły.

A ptak opuszczał się coraz niżej i huczał napędzając stracha wszystkimu, co żyje.

Dzik skoczył w gęstwinię. Głośno prychając i rozgładając się, wpadł w głąb lasu. Dreszcze wstrząsały skórą olbrzyma, a w oczach błyszczało szaleństwo.

Chwilę dreptał po polanie, ale właśnie w tej chwili czerwony ptak przeleciał całkiem blisko i Dzik znowu poderwał się z miejsca. Łamał i niszczył drzewa i krzaki, pędził na oślep, aby tylko uciec przed wiszącą nad nim grozą. Jak burza pomknął w dół, wdarł się do zachodniego krateru, rycząc przebiegł koło domu Sperańskiego, wpadł do wysokiego lasu, przebiegł go i utknął wśród wysokich skał, koło samej ściany krateru. Wszystko tam było martwe, ale też prawie nie było słyhać przerażających odgłosów.

Olbrzym uspokoił się. Spuścił głowę, trąba bezwładnie zwisała do samej ziemi. Rozejrzał się zmęczonymi oczami. Zobaczył żółte, zwiędłe zioła, uschnięte drzewa, martwe zwierzęta. I nagle zrozumiał, gdzie się znalazł. W pobliżu czernił się otwór groźnej jaskini. Instynkt samoobrony ostrzegał: uciekaj, szybko! Ale już nie mógł. Chciał podnieść trąbę. Niestety. I to się nie udało. Po raz ostatni nad doliną rozległ się głos trąby, nabrzmiały rozpaczą i bólem. Nikt mu nie odpowiedział. W oczach Dzika jeszcze tliło się życie, ale olbrzymie ciało odmówiło już posłuszeństwa, stało się ciężkie i obce. Nogi podkurczyły się. Mamut padł na kolana, jak jego przodkowie padali na swoim cmentarzu w usypiskach skalnych, tam, skąd uciekł. Ogromne cielsko zachwiało się i Dzik runął. Mgła śmierci powlekła smutne oczy olbrzyma.

Los Łasa był jeszcze bardziej okrutny. Ukazanie się nieznanego ptaka obudziło w nim instynktowne przerażenie. Łas podniósł w górę kły, skoczył naprzód pchnięty nieprawdopodobną siłą swego ogromnego ciała i wpadł do wody. Woda i błoto wystrzeliły jak fontanna. Był to ostatni skok ostatniego na ziemi mamuta. Łas znalazł się niemal w środku jeziora. Szlam ulegle rozstąpił się i głębia powoli wchłonęła wielotonowe cielsko przedhistorycznego zwierza. Przez parę minut widać jeszcze było nad wodą ogromny łeb. Jeszcze chęć życia płonęła w wytrzeszczonych z przerażenia oczach; jeszcze huczał nad doliną głos trąby wzywający na ratunek, ale chciwe bagno coraz

bardziej wciągało mamuta. Oto już tylko kły sterczą nad wodą. Zabułgotała woda, na powierzchni ukazały się pęcherzyki. I wszystko ucichło...

— O, tam wylądujemy, nad jeziorem. Widzicie dom? Na zielonej polanie.

Helikopter ostrożnie opuścił się koło domu Sperańskiego. Trzej podróżni szybko wyskoczyli. Prawie biegiem pośpieszyli ku domowi, szeroko otworzyli drzwi. Pusto!

— Co to jest? Gdzie są ludzie? Patrzenie, najwyraźniej widać, że tu ktoś mieszka. Pościel, strzelby. Nawet obiad! O! Jaki pyszny obiad!

Basiuta odkrył jeden ze stojących koło ogniska glinianych garnków. Smakowicie zapachniał najprawdziwszy zawieszisty barszcz ukraiński, trochę kwaskowaty, oleistobursztynowy. Gdyby Łuka Łukicz zobaczył w tej chwili pełen zachwytu wyraz twarzy przybyłych, niewątpliwie wpadłby w dumę i natychmiast posadził ich przy stole. Ale nie było w domu tego najlepszego kucharza północnoazjatyckiej części Związku Radzieckiego.

— Gdzie są mieszkańcy? Chodźmy ich poszukać!

Szwec parę razy wystrzelił z rewolweru w powietrze. Echo głośno, wielokrotnie powtórzyło strzał. I znów zaległa cisza, jakby dolina, las, oba kratery, dom i smakowity barszcz należały do zaczarowanego królestwa dziecinnej bajki.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

w którym następują spotkania tak nieoczekiwane, że Łapaj-Mucha przypala cebulę

Trudno byłoby znaleźć mieszkańców krateru, nawet gdyby się przeszukało każdy krzak i zajrzało za każdy kamień.

Już dwa dni nie wychodzą z jaskini przebijając ostatni metr wylotu. Tylko Łapaj-Mucha pobiegł do domu, żeby przyrządzić obiad, ale też na króciutko.

Chodziło o to, że chmura gazu coraz bardziej zbliżała się do domu Sperańskiego. Groziło niebezpieczeństwo odcięcia od jaskini, w której pracowano. Nadszedł dzień, kiedy wszyscy, nie wyłączając Łuki Łukicza, przenieśli się do jaskini i zamurowali na glucho ścianę ochronną, żeby zabezpieczyć miejsce pracy od przenikania gazu.

— Podejrzane odludzie! — powiedział Basiuta z wahaniem. — Wiecie, przelećmy nad całym kraterem. Albo my zobaczymy ludzi, albo oni nas zobaczą.

— Czy jesteście pewni, że to właśnie ci, których szukamy?

— Najzupełniej. Patrzcie. Oto śpiwór ze stempelkiem „G. 14-bis”, mapnik i strzelby z takimi samymi stempelkami. Łapaj-Mucha to najporządniejszy kierownik gospodarczy, wszystko poznał. Zupełnie tylko nie rozumiem, kiedy zdążyli zaorać i obsiać pole i zbudować ten dom. Można przypuszczać, że w kraterze przebywał ktoś przed nadejściem naszych geologów. To zagadkowe!

Helikopter przeleciał wzdłuż zboczy, następnie przeciął krater w dwóch kierunkach, ale ludzi nadal nie było widać.

Zbliżał się zachód słońca. Czy mają tu nocować? Ale wówczas niepokojono by się o nich w obozie.

— Wracajmy na razie do obozu — powiedział dyrektor. — Jutro rano musimy tu znów przylecieć i wszystko dokładnie przemyśleć. W każdym razie tajemnica zaczyna się po trochu wyjaśniać. Uskow i jego towarzysze niewątpliwie są gdzieś tu, w kraterze. Ale gdzie? I w jaki sposób tutaj się dostali?

Ostatnie promienie słońca prześliznęły się po dolinie,

odprowadziły czerwonego ptaka do miejsca, gdzie zapadł, zatrzymały się na krótką chwilę na stokach sopek i zgasty unosząc z sobą miniony dzień. Od razu zapadła ciemność.

Geolodzy zasiedli przy ognisku.

Pietia obudził się. w nocy, otworzył oczy i po raz pierwszy w ciągu ostatnich, ciężkich dni rozejrzał się dokoła uważnie. Brezent namiotu, latarka „nietoperz”, stolik na nóżkach wkopany wprost w ziemię, buteleczki z lekarskami! Ale najdziwniejsza jest obecność Wiery. Długo przecierał oczy, zanim upewnił się, że to właśnie ona śpi na przykrytych skórami skrzyniach przy jego łóżku.

— Wiera, Wiera! — zawołał szeptem.

Dziewczyna ani drgnęła. Twarz jej, oparta na dłoni, robiła wrażenie tak zmęczonej, że Pieti żal było ją budzić. Ale ciekawość wzrastała.

— Ku-zyn-ko! — wyskandował trochę głośniej i Wiera natychmiast otworzyła oczy, zamrugła, westchnęła i myśląc, że pewno jej się przewidziało, znowu zmrużyła powieki. — Wiera, obudź się!

— Ach, to ty, Pietia? — Zerwała się. — Nie śpisz? Dać ci coś? Zaraz zawołam mamę...

— Zaczekaj. Gdzie ja jestem?

— W domu... Właściwie niezupełnie w domu, w obozie, ale to wszystko jedno. Jest tu mama i Andrzej Iwanowicz, i dyrektor, i nawet doktor. Tylko teraz położył się spać.

— A gdzie wujek Wasia? I wszyscy inni?

Wiera spuściła oczy.

— Nie wiem. Szukamy was. Ciebie znaleźliśmy, ale reszty jeszcze nie. Może ty wiesz, gdzie są?

— Wiem. Oczywiście, że wiem! Zawołaj tu wszystkich, opowiem. Ale nie płacz, czego płaczesz?

— A możesz opowiadać? Nie, lepiej najpierw poproszę doktora...

Wybiegła i wkrótce Pietia usłyszał stłumione głosy, potem błysnęła latarka i zaspany doktor wszedł do namiotu, po drodze wkładając fartuch i okulary.

— Obudził się nasz młodzieniec? No, dzień dobry, dzień dobry. Tętno? Tak, doskonale! Temperatura? W porządku. Teraz trzeba jeść. Teraz twoje zdrowie — na dnie talerza... Wieroczka, daj mu coś do zjedzenia.

— Doktorze, chciałem opowiedzieć...

— Najpierw zjemy.

Jeszcze była głęboka noc, kiedy przy łóżku Pieti zebrali się: Basiuta, Szwec, żona i córka Uskowa, geolodzy i dok-

tor. Pietia opowiedział wszystko półgłosem, bez pośpiechu, żeby nie opuścić czegoś ważnego. Opowiedział o losie grupy 14-bis, o Iwanowie i Sperańskim, o nosorożcu, diamentach i złocie, o mamutach i gazie. Od czasu do czasu doktor napotykał wzrok Basiuty, który oczami pytał, czy chory znowu nie majaczy. Ale doktor przecząco kręcił głową. Uskowa cichutko płakała z radości, a Wiera szepcem ją uspokajała:

— Widzisz, mówiłam, że wszystko będzie dobrze! Jutro zobaczymy tatusia. Wyobrażasz sobie jaka broda mu wyrosła? Istny Robinson.

A Pietia mówił:

— Wiecie, co dla nich jest teraz najważniejsze? Amonal. Żeby jak najszybciej przebić wylot z krateru. I maski przeciwgazowe. Trzeba stwierdzić, skąd wychodzi gaz i zatkać szczeliny, bo wszystko w kraterze zginie. Szkoda! Tam jest Dzik i Łas... A dostać się tam można w ciągu kilku dni, jeżeli końmi. Szedłem prawie dwa tygodnie, ale dlatego że piechotą...

Po chwili dodał:

— Sperański ma w kraterze dużo złota. I całą górę diamentów. Przydałaby się ciężarówka.

— Jutro tam będziemy, Pietia. Byłem już dziś.

— Jak to? — Pietia aż podniósł się ze zdziwienia.

— Mamy tu helikopter. Dolecieliśmy i wylądowaliśmy. Nikogo jednak nie zastaliśmy w kraterze.

— Wszyscy są w jaskini. Oczywiście. A widzieliście mamuty?

— Wyobraź sobie, że nie. Ale teraz pośpij jeszcze, odpocznij. Długa rozmowa może ci zaszkodzić.

W czesnym rankiem obóz został niemal całkowicie zwinęty; geolodzy śpiesznie wyruszyli w kierunku źródła Szalonej Rzeki, a stamtąd do wąwozu i jaskini Sperańskiego. Jedna grupa dostała polecenie natychmiastowego zajęcia się poszukiwaniem metalu w odkrytym przez Sperańskiego i Iwanowa Złotym Potoku. Na miejscu pozostawiono tylko dwa namioty: w jednym leżał Pietia, w drugim mieszkała rodzina Uskowa. Teraz na brzegu rzeki zakładano bazę przeładunkową, do której należało przewieźć wszystkich więźniów krateru i ładunek.

Helikopter znowu wzniósł się w górę, poleciał znaną trasą w stronę Erszotu i śmiało zagłębił się w chmurę mgły tak troskliwie i długo ochraniającą tajemniczy wulkan.

— Jak myślisz, Andrzeju Iwanowiczu, czy opowiadanie

chłopca o mamutach i innych osobliwościach to fantazja czy prawda?

— Sądzę, że to jednak majaczenie. Chłopiec jeszcze niezupełnie wrócił do zdrowia. Skądże te żywe mamuty w naszych czasach?

— Zdaje się, że wczoraj dosyć dokładnie obejrzelśmy krater. Po prostu niemożliwością byłoby nie zauważyć takich olbrzymów. Widocznie chłopiec jeszcze majaczy... Ale jeśli chodzi o diamenty i złoto, to całkiem prawdopodobne. W takich miejscowościach często bywają wychodnie żyły rudy. Sperański to dzielny człowiek. Tyle lat przeżył samotnie i cały czas pracował w nadziei, że wyzwolenie nadejdzie! Prawdziwy człowiek! Przez duże „C”!

Helikopter z łatwością przeleciał poprzez mgłę i po kilku minutach wylądował na zasianej roli.

Basiuta i Szwec udali się od razu do jaskini drogą, którą wskazał im Pietia. Gdy minęli rzadki las, oczom ich ukazał się wstrząsający obraz śmierci. Łąki porośnięte wiciokrzewem, głógiem i kaliną stały się szarozółtą, ponurą pustynią. Śmiercią i rozkładem ziało od zwiędłych ziół i uschniętych krzaków.

— Tak! — zawołał dyrektor. — Widocznie Pietia mówił prawdę. Gazy! Musimy czym prędzej zamknąć im dostęp do krateru. Jeszcze dzisiaj należy polecieć do bazy ósmej a stamtąd samolotem do miasta i przywieźć tu tlen i wszystko, czego potrzeba.

Ostrożnie weszli na zatrutą łąkę. Płomień zapalniczki wskazał, że gaz ściele się nad ziemią do wysokości metra. Na razie ludzie mogli przejść bez niebezpieczeństwa dla życia.

U wejścia do jaskini wznosiła się ściana niby bastion obronny nieznanego wojska.

— Podsadź mnie — poprosił Basiuta i przy pomocy Szweca uchwycił się kamieni na górze.

Przed ogniskiem, na podwóreczku, krzątał się Łuka Łukicz. Coś bulgotało w zawieszonym na trójnogu kociołku, a kucharz podsmażał nad ogniem słoninę z cebulą — tę niezastąpioną przyprawę barszczu, bez którego życie poszukiwaczy bogactw naturalnych w głębi ziemi stałoby się nudne i jałowe.

Postawiwszy patelnię z cebulą na kamieniu, kucharz zaczął mieszać w kotle.

— Uważaj no, żebyś nie przypalił cebuli!... — rozległ się głos.

Łapaj Mucha machinalnie chwycił patelnię. Jednocześnie ze zdziwienia wytrzeszczył oczy i rozejrzał się z otwartymi ustami. Gdy zobaczył dyrektora, dosłownie siadł na ziemi, zdumiony i zaskoczony.

— Czy to wy naprawdę? — zapytał półgłosem.

— Witaj gości, gospodarzu!

Basiuta wdrapał się na górę i pomógł Szwecowi. Obaj zwiastuni wyzwolenia zeskoczyli na podwórko. Łuka Łukicz znalazł się w ich objęciach.

— Gdzie są wszyscy? Żyją? Gdzie jest Uskow? — popytały się pytania.

A Łuka Łukicz tylko prznosił wzrok z jednego przybysza na drugiego i jakby całkiem oniemiał. Oczy mu zwilgotniały i dwie łzy stoczyły się po policzkach.

— Może znaleźliście naszego Pietię?

— Pietia żyje. Jest teraz w dolinie o czterdzieści kilometrów stąd. Przesyła ci pozdrowienia.

— A wy skąd tutaj, z nieba?

— Tak. Przylecieliśmy. Samolot stoi na polu koło domu. Prowadźcie nas teraz do swoich podziemi.

Nagie Łuka Łukicz zerwał się i parząc sobie ręce wyciągnął patelnię z ognia. Za późno! Gdy coś oderwie uwagę kucharza — gotowe nieszczęście! Słonina i cebula paliły się już niebieskawym płomieniem.

— Chodźmy, chodźmy, towarzysze! A to dopiero będzie radość!

...W ciągu ostatnich dni pracowano w sztolni w ten sposób: jeden z członków wyprawy leżał w przejściu i łomem kuł skałę. Drugi usuwał odłamki i odbijał wystające nierówności w tunelu. Zmieniali się co godzinę. Trzy pary. Każda para pracowała godzinę, a potem dwie godziny odpoczywała. Kuli przez całą dobę. Spali na miejscu, na sianie. Łuka Łukicz gotował jedzenie podczas swojego odpoczynku. W miarę zbliżania się do celu, pracowali z coraz większym uporem i zawziętością. Wszyscy zapuścili brody, wszyscy byli zakurzeni, zakopceni i wychudli, ale nic nie osłabiało zaciętej energii tych upartych ludzi.

W chwili gdy wszedł dyrektor ze swoim zastępcą, w sztolni znajdował się Borys i Oroczo. Uskow i Spekański spali. Lubimow robił świece.

Basiuta, Szwec i Łuka Łukicz podeszli do światła. Łuka Łukicz promieniał z radości i szczęścia.

— Dzień dobry! — głośno powiedział Basiuta.

Lubimow upuścił knoty. Uskow obudził się i w pierw-

szej chwili nie mógł zrozumieć, co się stało. Sperański usiadł, zakrył twarz rękami...

— To wy, Fiodorze Pawłowiczu, naprawdę? Odpowiedzcie! — wyszeptał Uskow.

— Tak, to ja! No chodźże, chodź, niech cię uścisnę!...

Posypały się okrzyki powitania, uściski.

— Was także już znamy, drogi Włodzimierzu Iwanowiczu — zwrócił się Szwec do Sperańskiego. — Pietia jeszcze wczoraj wszystko nam opowiedział.

— Więc jednak doszedł? Zuch chłopak! Opowiedzcie nam dokładnie.

— To cała historia, może później!... A gdzie jest Oroczo i Borys?

— Tam... — Uskow wskazał czarny otwór jaskini. — Zaraz ich wyciągniemy.

Łuka Łukicz bohatersko wlaźł do sztolni, bez słowa złapał Borysa za nogi i wyciągnął, nie zwracając uwagi na jego protesty:

— Jeszcze nie jestem głodny! Zbrzydłeś mi ze swoim barszczem! Puść!

W tej chwili dostrzegł przybyszów.

— Dzień dobry — Szwec zbliżył się do niego. — Wstańże, przywitajmy się.

— Jak to? Co to jest? — wymamrotał Borys. — W jaki sposób dostaliście się tutaj? Przecież to jest krater!

Po chwili trochę się uspokoił.

— A co u was słychać? Jak się czuje Wiera? — spytał.

— Ach, Wiera? — żartobliwie odpowiedział Basiuta. — Wkrótce ją zobaczycie. Ciesz się, Wasiliju Michajłowiczu. Żona twoja i córka czekają na ciebie w pobliżu. No, wyciągajcie ostatniego Robinsona. Gdzie tam ugrzązł?...

— Aleksandrze Aleksiejewiczu, wylaź! — krzyknął Lubiniów. — Mamy do ciebie interes!

W odpowiedzi dobiegły z tunelu przygłuszone dźwięki i niechętnie pomruki. Słów nie można było zrozumieć, z tonu łatwo dało się jednak wywnioskować, że ten uczestnik wyprawy nie ma ochoty wyjść. Wówczas Łapaj-Mucha zabrał się do dzieła. Trudno pojąć, jak to się stało, ale zmieszany Łuka Łukicz wyciągnął z tunelu najpierw same buty agronoma, potem spodnie z brezentowego worka, które Oroczo wkładał do roboty.

— Poczekajcie, kochani! Cóż to takiego? — dziwił się Łuka Łukicz. — Zaczepił się i ze spodni wylaź!

Wreszcie, po wielu namowach, agronom wyczołgał się z

tunelu. Najpierw ukazały się bosa pięty, potem nogi, wreszcie tułów. Twarz, która wyjrzała w końcu, była zeszpecona gniewem. Zdawało się, że agronom trzepnie Łukę Łukicza po głowie. Ale nasz kandydat nauk agronomicznych natychmiast zrozumiał, co zaszło w kraterze, i skoczył, żeby uścisnąć właśnie przede wszystkim Łukę Łukicza, a później Basiutę, Szweca i pozostałych.

Kiedy wszyscy trochę się uspokoili, Basiuta oznajmił, że jeszcze tego dnia członkowie wyprawy Uskowa mogą opuścić swoje więzienie.

— Helikopter stoi przed domem i czeka na was, jak taksówka — powiedział.

Ale Sperański także miał coś do pokazania przybyłym.

— A widzieliście już nasze mamuty? — spytał.

Basiuta zamienił spojrzenie ze Szwecem.

— Co?

— Mamuty, mamuty. Czyż byście ich nie spotkali po drodze? To dziwne. A Pietia nie opowiadał?

— Tak, ale...

— Ach, nie uwierzyliście mu? A jednak naprawdę w kraterze zachowały się dwa mamuty.

— Jak my obaj. Nazywają się Łas i Dzik. To nasi wierni przyjaciele. Ale gdzież one są?

Oroczo zaniepokoił się. Sperański również rozglądał się niecierpliwie.

W tej chwili Uskow zawołał:

— Włodzimierzu Iwanowiczu, pokażcie, proszę, dyrektorowi wasze znaleziska.

— Proszę bardzo — Sperański otworzył tajemnicze podziemie.

Dyrektor i jego zastępca byli doświadczonymi geologami. Niejedno w życiu widzieli i trudno byłoby ich zadziwić. Ale i oni dosłownie oniemieli, gdy zobaczyli zgromadzony tam stos złota i diamentów.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

z którego wynika, że najdziwniejsze przygody miewają całkiem zwyczajne zakończenie

Czasem trudno zrozumieć ludzi. Póki nie było wyjścia z krateru, wszyscy tylko o tym myśleli, w jaki sposób wydostać się jak najszybciej. A z chwilą, gdy nadeszło wyzwolenie, zareagowali w sposób zupełnie nieoczekiwany.

— Dlaczego właśnie już dzisiaj miałbym odlecieć? — zapytał Oroczo. — Rozpocząłem tu bardzo ciekawą pracę. Przecież teraz jest sezon rolniczy!

— Ja także zostanę — oświadczył Lubimow. — Niech nam tylko przywiozą aparaty z tlenem i materiał wybuchowy... Trzeba unieszkodliwić ten diabelski gaz, zanim zniszczy wszystko, co żyje.

Łapaj-Mucha przerwał pakowanie rzeczy i w milczeniu usiadł na ławce, z miną człowieka, który nigdy nie zamierzał opuścić miejsca stałego zamieszkania.

Dyrektor spojrział na jednego, potem na drugiego i roześmiał się:

— Ach, to tak? Wobec tego wyjeżdżamy i wrócimy za dziesięć lat. Dobrze? Może i ty, Uskow, zostaniesz?

— Polecę z wami. Chcę odwiedzić rodzinę. A potem... Potem grupa 14-bis będzie nadal prowadzić tu swoje prace. Chwilowo z przyczyn od nas niezależnych musieliśmy przerwać poszukiwania. Teraz zostaną wznowione. Trzeba nadrobić opóźnienie.

— A Borys?

— Właściwie... chciałbym pojechać chociaż na jeden dzień... i wrócić.

— No, cóż, nie mogę protestować. My obaj z Andrzejem Iwanyczem nie opuścimy rejonu krateru, póki nie upewnimy się, że wszystko już w porządku i nie grozi wam niebezpieczeństwo. Zaraz odlatujemy. Uskow, Borys i my obaj. Helikopter z obozu poleci do bazy ósmej po paliwo. Odwiezie też kosztowności. Andrzej Iwanycz zarządzi wysłanie samolotów. Wrócimy za trzy dni. Mam nadzieję, że tymczasem nawiąże się z kraterem komunikacja nie tylko powietrzna, ale i terenowa.

Szczególnie dziwne było to, że Sperański również nie śpieszył się z odlotem. Został. Ale szczerze mówiąc, bał

się trochę powrotu do szerokiego świata, co właściwie jest tak zrozumiałe, że nawet nie warto tego wyjaśniać.

Udał się wraz z Oroczką do krateru wschodniego. Dłuższy czas szli w milczeniu, każdy myślał o własnych sprawach.

— Co się mogło stać z mamutami? — odezwał się wreszcie agronom. — Gdzie się ukryły?

— To mądre zwierzęta, ale coś mogło je wytrącić z równowagi. Na przykład warkot helikoptera. Mamuty są niezwykle płochliwe.

W kraterze wschodnim panowała cisza. Zwierzęta ukryły się w ustronnych zakątkach. Oroczko i Sperański długo, lecz nadaremnie wołali Łasa i Dzika. Na wołanie czasami przychodziły niedźwiedzie i barany, ale mamuty nie odzywały się.

Wreszcie znaleźli ich ślady. Prowadziły do jeziora i wówczas wyjaśniło się, co tu niedawno zaszło. Łas wszedł w trzęsawisko. Gdy poczuł grząski grunt pod nogami, ogarnął go przestraszony, rzucił się naprzód i utonął.

Nazajutrz oglądając miejsca zagazowane, Oroczko dostrzegł drugiego mamuta. Dzik leżał martwy w samym środku zagazowanej strefy.

Był to wielki cios dla Sperańskiego — tak się przywiązał do olbrzymów... Ale nie było rady. Należało zbierać się do odjazdu, zaczął więc pakować swoje zielniki i muzeum paleontologiczne.

Helikopter wylądował na brzegu Szalonej Rzeki i zostawiwszy Uskowa, Borysa i Basiutę, po chwili odleciał ze Szwecem w kierunku Złotego Wąwozu. Na polanie stali trzej podróżni, od strony obozu biegły na ich spotkanie dwie kobiety.

— Tatusiu! — zawołała Wiera i zawisła ojcu na szyi. Łzy toczyły się jej po twarzy, gdy przytulona do ojca wciąż powtarzała:

— Tatuś! Mój tatuś!

Warwara Piotrowna podeszła do męża głęboko wzruszona. Geolog wziął ją w ramiona. Nie powiedziała ani słowa, tylko schyliła mu głowę na pierś.

Borys i Fiodor Pawłowicz stali z boku. Borys zagryzł usta, żeby nie płakać. Basiuta głośno wycierał nos i ciągle wzdychał. Życie geologa obfituje w niewiarygodne, niebezpieczne przygody i zawsze, do samego końca, składa się ze smutnych rozstań i radosnych powitań. Dyrektor znał to życie dokładnie.

Po chwili Wiera zwróciła się do Borysa. Trudno by powiedzieć, które z nich było bardziej uradowane i bardziej wzruszone. Borys wyciągnął do Wiery rękę. Ucisnęła ją i rzuciwszy okiem na twarz chłopca natychmiast spuściła oczy.

Borys zaczerwienił się. Nagle zainteresował go las, zaczął przyglądać się górcom, nie wiedział gdzie podziąć ręce i na co zwrócić oczy, ale uśmiech pełen szczęścia zdradzał go całkowicie.

— Nie wyjedziesz stąd od razu, Wiera?

— Nie. Chciałabym jeszcze zobaczyć krater. Ale, chodźmy przecież do Pieti. Tęsknił bardzo za wami, nie mógł się wprost doczekać. Tak chce ciebie zobaczyć, tatusiu!

Pietia oczekiwał Uskowa i denerwował się. Z napięciem wsłuchiwał się w dobiegające z zewnątrz urywki rozmów. Czemu wszyscy tam stoją? Kto przyleciał z Uskowem? Czy wujek Wasia jest z niego zadowolony? Co słychać w kraterze? Czy prędko przebiją?

Wreszcie Uskow wszedł. Pietia uniósł się na posłaniu, usiłując się uśmiechnąć.

— No, chłopcze, zachowałeś się jak prawdziwy mężczyzna. Oto moja ręka! Dziękuję za pomoc i przyjacielską przysługę!

Mocno ucisnął rękę chłopca, a potem objął go i ucałował. Ale na to Pietia już nie zwrócił uwagi — czuł tylko mocny, męski uścisk dłoni i słyszał pochwałę surowego, oszczędnego w słowach wuja.

— Napisz do matki, niech się ucieszy. Jak wyzdrowiejesz, to pojedziesz do domu...

Cień przebiegł po twarzy chłopca.

— A wy? — spytał drżącym głosem.

— My? My nadal będziemy prowadzić poszukiwania. Wkrótce rozpocznie się tu praca!

— Wiesz co, wujku? Chcę zostać z wami. Przecież wakacje już blisko. A potem pojedę do szkoły razem z Borysem. Dobrze?

— Tymczasem leż spokojnie i wracaj do zdrowia. Potem porozmawiamy...

— Dobrze, będę leżał! Doktor powiedział, że już za pięć dni pozwoli mi pójść na ryby.

Pod jednym względem tylko Uskow pozostał nieubłagany. Chciał, żeby żona i córka wyjechały do miasta i oczekiwały na powrót ekspedycji w jesieni. Pomimo próśb obu kobiet i namów Borysa, który nie miał ochoty

tak szybko rozstawać się z Wierą, nic nie pomogło.

Trzeba było ustąpić i wkrótce obie kobiety odleciały najpierw do bazy ósmej, a stamtąd do domu. Teraz zresztą były już spokojne o los najbliższych.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY ***Krater rozbrzmiewa wybuchami. — Ostatni*** ***atak na twierdzę Erszotu***

Uskow i Borys powrócili do krateru. Helikopter wylądował na łączce koło domu Sperańskiego.

Lotnik z zachowaniem wszelkich ostrożności wylądował skrzynie z materiałem wybuchowym, jakieś zwoje i duże balony, szybko pożegnał się i zniknął w kłębach mgły. Więcej go nie widziano.

— Stało się nieszczęście — powiedział Sperański. — Mamuty zginęły.

Bardzo go to zmartwiło. Mamuty były jego przyjaciółmi przez długie lata samotności...

Widocznie nie było sądzone, aby ludzie dwudziestego wieku ujrzeli żywych przedstawicieli prehistorycznych epok. Marzenie, aby przywieźć mamuty do stolicy — nie spełniło się.

Po paru godzinach Uskow i Lubimow, zaopatrzeni w maski

przeciwgazowe, zagłębili się w chmurę gazu, doszli aż do szczeliny, z której gaz się rozchodził, i znaleźli się w przybytku śmierci.

Na dnie rozpadliny leżały nieżywe niedźwiedzie. Tusze ich nie uległy rozkładowi, bo gaz zabijając zwierzęta zabił też bakterie gnilne. Panował tu tajemniczy, groźny półmrok. Rozpadlina była dosyć płytka, miała zaledwie czterdzieści metrów głębokości. Geolodzy przeszli do końca i zawrócili. Gdzież jest ujście gazu?

W ziemi widać było nieduże szczeliny. Bez wątplenia stamtąd właśnie napływał gaz. Lubimow nastawił dłoń. Sprężysty ciepły strumień dotkliwie uderzył w rękę. Może замуrować otwór? Gdybyż to była tylko jedna szczelina! Ale całe dno jest potrzaskane.

Z niecierpliwością i zrozumiałym niepokojem oczekiwano powrotu Uskowa i Lubimowa, którzy poszli przecież do siedliska śmierci. Na widok wracających wszyscy odetchnęli z ulgą.

— Jest rada — powiedział Uskow. — Zamkniemy jaskinię. Mamy trzy skrzynie amonalu. To chyba wystarczy.

— Na co wystarczy? — zapytał Borys.

— Aby całkowicie ją zawalić. Jeśli rozwalimy ścianę, strop nie wytrzyma i wszystko runie. Szczeliny, z których uchodzi gaz, zatkamy tysiącami ton odłamków.

Oroczo ze zdziwieniem pokręcił głową.

— Pomimo to, gaz będzie się przesączać — powiedział. — Między odłamkami powstaną szpary. Przecież gaz przebił sobie ujście z głębiny...

Uskow podrapał się w głowę.

— Trzeba będzie włożyć dużo pracy — wtrącił się do rozmowy Lubimow.

Dwa dni trwała niezwykła praca: Oroczo, Borys, Łuka Łukicz i Sperański, w spodniach zawiniętych po kolana, nogami miesili glinę.

W tym czasie w kraterze była piękna pogoda.

Cudnie kwitły głogi, czeremchy i kaliny. Na zielonych łapach sekwoi złociły się pączki zwinięte na kształt łuseczek. Czerwonookie głuszce — zawsze łase na świeże pączki — łopocząc skrzydłami przelatywały z gałęzi na gałąź. Topole pachniały wiosną. Setki dzięciołów gniewnie wystukiwały na drzewach swój hymn pracy, śpiewały drozdy, wrzeszczały nieznośnie sroki, skrzeczały kurki wodne, starczym głosem bełkotały coś jarząbki o wypukłych oczach. Las rozbrzmiewał wiosennym dzwoniem.

Tylko przy samej ziemi była zdumiewająca cisza i spokój. Nie przebiegał szybki zajac, nie przemykał się chytry lis, nie szedł przewalając się z nogi na nogę rozważny niedźwiedz — gospodarz. Życie przeniosło się wyżej, do krateru wschodniego.

Uskow i Lubimow, obaj w maskach przeciwigazowych, dźwigali do jaskini miękką glinę i starannie zasmarowywali uprzednio zasypane odłamkami szczeliny na dnie. Pod koniec drugiego dnia pracy, wszystkie zostały zapełnione gliną. Wówczas geolog i przewodnik założyli, amonal, ostrożnie wyszli z jaskini i włączyli zapłon.

Pozostawmy ich na chwilę i wróćmy do Złotego Wąwozu. Po długiej przerwie znowu zabrzmiały tam głosy ludzkie, rozległo się chrapanie zmęczonych koni, szczekanie psów. To nowa pomocnicza grupa poszukiwawcza zatrzymała się u zewnętrznego wylotu jaskini Sperańskiego. Przybysze, rezygnując z zasłużonego wypoczynku, niezwłocznie zabrali się do pracy.

W jaskini nie rozlegał się teraz cichy stuk młotka geologicznego; doświadczony miner wesoło pogwizdując piosenkę wyborował otwory, założył ładunki i wmontował zapłon.

- Gotowe?
- Gotowe.
- Opuścić jaskinię!
- W tył zwrot!
- W tył!

Nawoływanie oddalało się. Kiedy ostatni z pracujących był już w bezpiecznej odległości, strzałowy sam sobie wydał rozkaz:

- Włączyć!

Gdzieś w głębi góry huknęło; po paru sekundach z wnętrza jaskini wystrzelił żółtawy kłęb pyłu i rozszedł się po wąwozie. W godzinę potem, ledwie dym się rozwiął, geolodzy podeszli do wyrwy. Blok granitu rozpadł się na setki części. Pył uchodził z czarnej szczeliny, przez którą kiedyś Pietia wydostał się z krateru. Znowu zastukały świdy, przyszedł wesoły miner z kablami i znowu rozległo się: „Włączyć!”

W ten sposób skały zaczęły się coraz bardziej rozstępować i czarna sztolnia stawała się coraz szersza. Wreszcie miner doświadczonym okiem obejrzał ścianę, wlaźł do szczeliny i obmacał kamienie:

- Dosyć. Teraz weźmiemy ją z dołu.

Przydźwigano pięć skrzyń amonalu i wąż zadrżał. Kotliny rozbrzmiały łoskotem. Spłoszone konie zastrzygły uszami, psy przycichły, gdzieś daleko poderwały się przeżalone barany i jak wichry pomknęły dalej od niebezpiecznego miejsca. Grzmot przetoczył się, echo go powtórzyło i ucichło pochłonięte przez wieczyste milczenie północnych gór. A kiedy ludzie znów weszli do jaskini i latarnie oświetliły pole walki, nie było już ściany skalnej. Leżały tylko odłamki, pachniało krzemienym pyłem i czadem, a w głębi ziała czarna otchłań.

Lekko pochyleni poszukiwacze odważnie posuwali się naprzód, z podziwem oglądając czarne sklepienie, z którego zwisały frędzle kopcia pozostałego po wielu ogniskach. Wciąż przyspieszali kroku, niecierpliwi i zaciekawieni.

Gdy wyszli z jaskini i przekroczyli zagrodę, stanęli zdumieni. Oczom ich ukazał się zupełnie inny świat. Zielone drzewa, lśniące jeziora, świeże łąki... Ale pełna podziwu kontemplacja nie trwała długo, w pobliżu nastąpił nowy potężny wybuch. Odwieczne zbocza krateru drgnęły. Potoczyły się odłamki, zatrzeszczały połamane drzewa, chmura pyłu uniosła się i zawisała jak dymna zasłona. To działał Uskow.

Natychmiast, gdzieś niedaleko, rozległ się strzał karabinowy. Był zresztą tak cichy w porównaniu z głośnym wybuchem, że Uskow nie zwróciłby uwagi, gdyby nie Lubiniów. Przewodnik odwróciwszy się zobaczył kilku nieznanym, którzy prawie biegli w ich stronę wprost przez zakażoną łąkę.

— Wracajcie! — krzyknął zapominając, że ma na twarzy maskę.

Guma stłumiła słowa.

Wówczas Lubimow i Uskow pobiegli na spotkanie przybyszów, którzy zobaczywszy dwóch mężczyzn w dziwnych ubraniach przestraszyli się. W tajdze wyraża się to zwykle w ten sposób, że ludzie chwytają karabiny i zaczynają trzaskać zamkami. Tak się też stało i tym razem. Na szczęście Uskow przypomniał sobie, że w tym miejscu gaz pełźnie nisko przy ziemi i zerwał maskę. Wówczas go poznano.

— O co chodzi? — padło pytanie.

— Uciekać natychmiast! Gaz!

Przybysze czym prędzej wycofali się na bezpieczne miejsce.

- W jaki sposób dostaliście się tutaj? — spytał Uskow.
- Przez jaskinię.
- Przebiliście otwór?
- Przebiliśmy.
- Dziękuję, towarzysze!

Minęło kilka dni i chmura śmierci zniknęła bez śladu. Teraz życie rozpoczęło potężną ofensywę. Zazieleniły się zrudziałe łąki, trawa zaczęła szybko wyrastać, na młodych pędach rozwinęły się pączki. Dzień, w którym zahuczały wybuchy, stał się zwrotnym w dziejach krateru.

Na tym można by właściwie zakończyć naszą opowieść o dzielnych ludziach, którzy zwyciężyli przyrodę.

Ale jak ułożył się dalszy los bohaterów? Co się stało ze Sperańskim? Z Pietią? Z Borysem? Co się dzieje w kraterze obecnie? Czy prowadzi się badania odkrytych tam złóż złota i diamentów?

Może czytelnik zechce się zdobyć na cierpliwość i towarzyszyć nam w wędrówce przez ostatnie strony opowieści.

EPILOG

Minęło osiem długich lat.

Po bezkresnej szarej drodze jechał lśniący samochód osobowy, ZIM. Opony cicho szeleściły na żwirze, kilometry mknęły za szybą odwiatrznika.

Hamadan pozostał daleko w tyle.

Miasto ogromnie się zmieniło w ciągu tego czasu. Rozrosło się na długość i wysokość; całą przestrzeń pomiędzy zatoką i rzeką zappełniły wielopiętrowe domy, których białe mury wznoszą się teraz nad starymi dzielnicami. Zazieleniło się wiele skwerów i ogrodów. Rosną małe topólki i łożyny; nawet brzoźki — tak wybredne i wrażliwe — zgodziły się wreszcie na stałe zamieszkanie w mieście. Teraz białe pnie brzoź i wąskie zaostrome listeczki nie są już rzadkością w ogrodach i na skraju chodników.

Minęło osiem surowych zim od owych pamiętnych dni, kiedy północne miasto uroczyście witało zaginionych bez wieści członków sławnej wyprawy geologicznej Uskowa. Wówczas mieszkańcy miasta po raz pierwszy też zobaczyli wysokiego siwobrodego starca, który trzydzieści lat przeżył w zagubionym kraterze, w całkowitej samotności. Ludzie radzicy powitali go ogromnie życzliwie i serdecznie, otoczyli troskliwością i szacunkiem, zrobili wszystko, aby doktor Sperański możliwie szybko znalazł sobie miejsce w nowym życiu.

W przeddzień opisywanego dnia, w którym statek „Azja” o napędzie diesel-elektrycznym zbliżał się do przystani, Sperański, obecnie członek rzeczywisty Akademii Nauk ZSRR, ze zdziwieniem spoglądał z pokładu statku na miasto i zadawał sobie pytanie: „Czy naprawdę minęło tylko osiem lat?” Ileż zmian zaszło w ciągu tego czasu: osiedlenie się w Moskwie,

spotkanie z córką — jedynym żyjącym członkiem rodziny, wybór do Akademii, wielka praca naukowa...

Ale zmieniło się nie tylko miasto.

Zaledwie Sperański wszedł na przystań, wpadł w objęcia tęgiego mężczyzny z twarzą i uśmiechem tegoż Uskowa, który ongiś w kraterze pierwszy uściśnął mu rękę.

— Wasilij Michajłowicz! — zawołał Sperański. — Czyż można tak, przyjacielu! Aleście się roztyli! Teraz to już chyba nie możecie nawet wyruszyć na dalszą wyprawę. Pora wycofać się z grupy poszukiwaczy!

— Już zostałem wycofany.

— Ach tak?

— Tak. Od czterech lat jestem dyrektorem Zjednoczenia. Pamiętacie Basiutę? Poszedł na emeryturę. A jakże wasze sprawy? Słyszałem o was, drogi członku Akademii, czytałem wasze dzieła. Doskonale wyglądacie, wcale nie znać lat, jakoś was omijają...

Uskow z żartobliwą powagą splunął za siebie, żeby swoją pochwałą nie „urzec” Sperańskiego.

Sperański, teraz już prawie osiemdziesięcioletni starzec, istotnie mało się zmienił. Chyba tylko jeszcze bardziej zbielała jego starannie przystrzyżona bródka i lekko przygarbiły się plecy. Opierając się na dereniowej lasce, szedł mocnym krokiem, a pełne życia oczy połyskiwały spod krzaczastych brwi; głęboki bas zachował aksamitne brzmienie, które zwykle charakteryzuje głos ludzi bardzo zdrowych. Wiek nie przeszkodził mu w dalekiej podróży na Północ.

Wkrótce po wygłoszeniu w Akademii Nauk referatu o badaniach w kraterze Erszotu, Sperański został wybrany na członka honorowego Akademii i dalszymi swymi pracami zdobył uznanie całego świata naukowego. Ale największa radość spotkała go w roku 1949.

Wiosną tego roku w jednej z sal wspaniałego gmachu, którego kopułę zdobi czerwony sztandar państwowy, wręczono Sperańskiemu najwyższe odznaczenia państwowe — Złotą Gwiazdę Bohatera Związku Radzieckiego i order Lenina.

Czekała go jeszcze jedna radość. Komitet Centralny Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego uważał za słuszne nie tylko uznać Sperańskiego za członka Partii, ale całkowicie zatwierdził jego staż partyjny od roku 1912.

Żywe usposobienie badacza sprawiło, że starzec ponownie się udał na Północ. Chciał zobaczyć okolice, w których spędził tyle lat, zobaczyć, co się stało z kraterem

Erszotu i z całym tym odległym krajem, odwiedzić przyjaciół i grób zmarłego towarzysza.

Znowu więc Sperański znalazł się na Północy.

Droga, łącząca Hamadan z dziesiątkami rozrzuconych po bezkresnych przestrzeniach górskiego kraju kopalń, przedsiębiorstw i jakuckich kolchozów, wygląda teraz porządnie, jak każda szanująca się magistrała. Żwirowaną wstęgę szosy obrzeżają po obu stronach słupy, znaki drogowe uprzedzają o zakrętach, spadkach i wzniesieniach. Solidne mosty betonowe i budki dróżników urozmaicają trasę. Przeciętnie co sto kilometrów stoją stacje benzynowe, gospody i zajazdy dla kierowców i podróżnych. Wszystko zbudowane mocno, porządnie i ładnie. Droga wraz z całym wyposażeniem wrosła całkowicie w miejscowy krajobraz, którego nie można już sobie teraz wyobrazić bez szarej wstęgi szosy.

Samochód dyrektora Zjednoczenia zatrzymał się koło stacji benzynowej nad małą rzeczką. Porastający oba brzegi posępny, tajemniczy las odbijał się w wodzie. Za rzeką droga przez wąską przesiekę biegła dalej w tajgę.

— Poznacie tę okolicę? — spytał Uskow.

Sperański, zmieszany, rozglądał się i wzruszał ramionami.

— Baza ósma! Wówczas była tu stacja końcowa mariniutki szosy. Tu przylatywaliśmy helikopterem, o, na tamto lotnisko.

— Nie, nie poznaję — przyznał się Sperański. — W jaki sposób dostaniemy się stąd do Erszotu... końmi chyba czy ciągnikiem?

— Ale skądże! Od czego mamy ZIM-a? Baza ósma dawno już nie jest stacją końcową. Szosę doprowadzono do doliny Szalonej Rzeki i Złotego Wąwozu i... Zresztą, wkrótce sami zobaczycie.

— Jeśli się nie mylę, w Złotym Wąwozie pracują teraz płuczki?

— W tym roku otwarto kopalnię. Złóża, jak się okazało są bardzo obiecujące. W rejonie Erszotu jest nie tylko kopalnia, ale także cały zarząd.

W ciągu godziny samochód dobrą drogą przejechał przestrzeń, na której przebycie grupy geologiczne musiały dawniej poświęcić dwie albo trzy doby i z trudem przedzierać się przez bagna i tajgę. Pod wieczór zakurzony ZIM wjechał na wysoką przełęcz i zatrzymał się.

Słońce już zaszło. Głęboki cień okrył zakątki leśne,

leżąca poniżej dolina zatoneła w mroku, jakby po brzegi napełniona liliowym zmierzchem. Dokoła tłoczyły się czarne góry. Pierścień ich otaczał dolinę ze wszystkich stron, strzegąc jej nocnego spokoju.

Uskow i Sperański wyszli z samochodu i stanęli nad urwiskiem. Milczeli. Sperański dojrzał na tle przedwieczornego nieba chmurną czapę Erszotu i ogarnęła go powódź wspomnień. Tu właśnie, na brzegu rzeki, niewyraźnie migocącej teraz w oddali, znalazł swój ostatni przytułek jego wierny towarzysz, Nikita Iwanow.

A dalej, za ciemnymi masywami skał, kryje się krater, cichutko szepczą olbrzymie sekwoje, pasą się stada baranów górskich, błyszczą jeziora, ciemnieją głębokie jaskinie...

Sperański westchnął.

W tej chwili nad brzegiem rzeki, w lesie, buchnęły jaskrawe ognie. Najpierw w jednym miejscu, potem w drugim, rozbiegły się rzędem coraz dalej, przebiegły przez las na stoki gór, zabłysły gdzieś w kotlinach i cała ciemna dolina — ponura dolina leśna — nagle utraciła swą tajemniczość i ukazała się oczom ludzkim jako zwykły, uprzemysłowiony kraj. Był to widok bardzo teraz częsty w północnych rejonach.

Uskow spojrział na Sperańskiego. Obaj roześmieli się.

— Zmieniło się coś niecoś?

Po krótkim odpoczynku w hotelu, przed kolacją Uskow zadzwonił do zarządu.

— Proszę poprosić inżyniera Odincowa. Pietia... Przyjdź zaraz do nas, do hotelu, ktoś się tu o ciebie pyta... Sam zobaczysz... A gdzie Borys? U siebie? To dobrze, jutro do niego wpadniemy po drodze.

Kiedy Uskow i Sperański usiedli przy stole, drzwi nagle otworzyły się i do jadalni wszedł młodzieniec. Wysoka, silna postać w brezentowym płaszczu, buty terenowe i czapka z odrzuconą do tyłu zasłoną przeciw komarom — wszystko zdradzało geologa pracującego w terenie, mocno zżytego z namiotem, ogniskiem i gwiaździstym niebem nad głową. Gdy zobaczył siedzących w pokoju, jego szczerą opaloną twarz radośnie rozjaśniła się, oczy zabłysły. Szeroko rozłożył ręce i zbliżył się do stołu:

— Włodzimierz Iwanowicz!

— Pietia, kochany chłopcze!...

Rano goście wyruszyli w dalszą podróż.

Droga pobiegła w górę rzeki, to zbliżając się do samego brzegu, to zawracając w las.

Oto i stare jakuckie obozowisko. Brzeg Szalonej Rzeki obsunął się jeszcze bardziej, cofnął się w głąb tajgi i mętne wody po dawnemu wściekle wałę o zmarznięte kamienie. Samochód zwolnił. Droga skręcała w lewo, omijając pagórek, na który biegła osypana piaskiem dróżka.

Podróźni wysiedli z samochodu i z odsłoniętymi głowami skierowali się na ten pagórek. Za żelaznym ogrodzeniem stał kamienny obelisk. W szary granit wmontowana była marmurowa płyta:

NIKITA PIOTROWICZ IWANOW

wierny syn Partii Bolszewików i klasy robotniczej 1876—1917

Postali chwilę nad grobem starego bolszewika, u stóp obelisku złożyli wieniec.

Na zakręcie stał drogowskaz. Na nim dużymi literami napis: „Do kopalni im. Iwanowa 29 kilometrów”.

Sperański pytająco spojrzął na towarzysza.

— Tak, kopalnia imienia Iwanowa. To ta w Żłotym Wąwozie...

Wkrótce stanęli przed domem dyrektora kopalni. Przy drzwiach powitała ich młoda kobieta. Za nią widać było kędzierzawą główkę.

— Dzień dobry, tatusiu! — zawołała. — O, i Włodzimierz Iwanowicz! Poznajecie mnie?

— Teraz poznaję! Wieroczka? A to czyje?

— Tak! Moje i Bori. A tatko jest już wobec tego dziadkiem. Oczywiście nie przyznał się, prawda?

...Dalej więc, dalej... Opowiadanie nasze dobiega końca i chcielibyśmy jak najszybciej oprowadzić czytelnika po znanych miejscowościach, w których przed tylu laty wydarzyły się te dziwne wypadki...

Samochód minął odkrywki nowej kopalni, przejechał koło szumiących płuczek i gruchoczących buldożerów i szybko pomknął w górę, wzdłuż znanej doliny, w której ongi rozegrała się dramatyczna walka z polarnymi wilkami. Po pewnym czasie droga zbiegła do głębokiego wąwozu i utknęła koło małego domku z przybitą na drzwiach tabliczką: „Zarząd Uzdrawiska «Gorące źródło»”. Musieli się tu zatrzymać.

Dziewczyna w białym fartuchu zakręciła korbę telefonu i zdjęła słuchawkę.

— Drugi? Droga wolna? Puszczam do tunelu samochód...

Nad półokrągłym otworem jaskini zapaliło się zielone światelko. Droga wolna. Gdzieś tam, na końcu tunelu, równocześnie zapaliło się światelko czerwone: droga zajęta, samochód jedzie!

Wjechali do sławnej jaskini... Jakże wiele ludzie zdołali tu dokonać! Ściany obciosane i umocnione betonem. Jaskinia w wielu miejscach wyrównana i rozszerzona tak, że swobodnie przejeżdża przez nią ciągnik. Drogę oświetla girlanda lampek. Samochód, bez trudu, szybko jedzie pod górę. Pasażerowie milczą, przejęci tą podziemną podróżą.

Ostatni zakręt. Zielone światelko sygnału. Biała plama światła dziennego. Znowu są w kraterze Erszotu.

Z górnego tarasu przed jaskinią doskonale widać cały krater zachodni. Nietknięte lasy. Różnobarwne, bogate łąki, lśniące jeziora i dość wąska rzeczka o powierzchni migocącej mnóstwem słonecznych błysków. Las ciągnie się po wysoką ścianę północną i przez wąski przesmyk uchodzi do wschodniej części krateru.

— Co to? — pyta Sperański wskazując wesołe domki i wieżę dźwigu nad brzegiem jeziora, tam, gdzie niegdyś był drewniany domek samotnika i otoczony szarą zagrodą wygon dla mamutów.

— Kopalnia diamentowa, fabryka aglomeracyjna i budynki stacji doświadczalnej filii Akademii Nauk. Teraz jest to rezerwat. Od czasu, gdy wyjechaliśmy stąd, w kraterze nie zrąbano ani jednego drzewa, nie zabito ani jednego zwierza. Flora i fauna krateru są pod opieką państwa. Wiecie, kto jest starszym strzelcem? Nasz szanowny Mikołaj Nikaronowicz Lubimow. Tak pokochał tę miejscowość, że postanowił osiedlić się tu na zawsze. Jego kierownik... Ach, prawda, jeszcze przecież nie wiecie?...

— O czym nie wiem?...

— Kto jest kierownikiem rezerwatu. A więc, jest nim doktor nauk rolniczych Oroczo.

Samochód zatrzymał się przed kantorem. Dwupiętrowy budynek stał na brzegu jeziora. Zdawało się, że Sperański szuka czegoś wzrokiem. Uskow zrozumiał i poprowadził go za sobą. Za budynkiem, w zielonym gąszczu leszczyzny ujrzeli stary domek. Cały! Troskliwie otoczony zagrodą, zachował się bez zmian od czasu, gdy zbudował go niegdyś mimowolny więzień krateru.

Nie będziemy mówić o pełnym radości spotkaniu starych przyjaciół. Kto był najszcześniejszy — agronom, prze-

wodnik czy uczony — trudno powiedzieć. Wieczorem, przy szklance wina każdy miał o czym opowiadać, co wspominać.

— Przepraszam — zaniepokoił się nagle Sperański — przed wejściem do jaskini widziałem tabliczkę z napisem: „Uzdrowisko «Gorące Źródło»”. Czyba się nie mylę? Gdzież to jest?

— Jak to, gdzie? Pamiętacie waszą łaźnię? Strumyczek wypływający ze skały? Balneolodzy odkryli, że ma duże własności lecznicze. Zbudowaliśmy tu uzdrowisko, kąpiele. Teraz wszyscy górnicy z naszego Zjednoczenia, ludność miejscowa, rybacy i myśliwi przywożą tu swoje dolegliwości i muszą przyznać, że tu je zostawiają. Prawda, Mikołaju Nikaronowiczu?

— Przekonałem się na sobie!

— Pewno więc ja również zawdzięczam zdrowie tej wodzie leczniczej. Pomyślcie: trzydzieści lat. A każdy rok ma pięćdziesiąt dwa tygodnie. Wątpię, czy znalazłby się ktoś, kto wziął w życiu tyle kąpiele mineralnych...

— Jutro obejrzymy zabudowania uzdrowiskowe. Są w lesie, w pobliżu miejsca, z którego kiedyś wypływał gaz.

— A jak z zasiewami?

— No cóż. Mamy tu gospodarstwo państwowe. Rezerwat i stacja doświadczalna służą nie tylko „czystej” nauce. Uprawiamy warzywa, jagody a nawet założyliśmy sad owocowy. To pierwszy na świecie sad na tak dalekiej Północy. Zbudowaliśmy inspekty i cieplarnie na gorących źródłach i zaopatrujemy nasze uzdrowisko w świeżą zieleninę.

— Kopalnie też coś z tego otrzymują — wtrącił Uskow. — Nie bądźcie za skromni, kolego. Jedliśmy w mieście świeże pomidory, prawda? To właśnie stąd, z krateru.

— A więc — Sperański wesoło spojrzął na przyjaciół — widzę, że nasz krater jest nie tylko niezwykle ciekawym odkryciem dla nauki, ale też czymś więcej. Stał się dużym ośrodkiem przemysłowym i kulturalnym, daje diamenty, leczy, zaopatruje w warzywa ogromny rejon...

Następnego dnia goście udali się do sanatorium. Po zwiedzeniu go, zasiedli w jadalni. W chwilę potem wszedł uśmiechnięty szef kuchni. Gdy zobaczył starych przyjaciół, jego rudawe wąsy zwycięsko podskoczyły w górę, a pulchną twarz opromieniła taka radość, jaką widzi się tylko na twarzach ludzi bardzo dobrych, z natury wesołych i serdecznych.

— Łuka Łukicz! Także tutaj? Niechże cię uścisnę!
Sperański serdecznie ucałował Łapaj-Muchę w jego rude wesołe wąsy.

Szef kuchni ręką strzepnął łzę i uciekł do kuchni, nie mogąc opanować wzruszenia. Wkrótce wrócił z dużą wagą.

— Proszę spróbować barszczu, Włodzimierzu Iwanowiczu! Nie wiem, czy smaczny, ale że gorący — za to ręczę!

Nocą, kiedy pogodne niebo zamigotało łagodnie tysiącami gwiazd i w całej rozległej krainie ucichł zgiełk dzienny, Sperański wyszedł na balkon i usiadł w fotelu.

Wznosił się przed nim ciemny masyw ściany północnej. Niżej, w ciemnościach kryły się milczące lasy, błyszcząca woda w jeziorze, na brzegach rozpościerała się łąka okryta perełkami rosy. Panowała całkowita cisza, która żywo przypomniła starcowi lata jego ciężkiej samotności w kraterze... Nasłuchiwał. Dokoła żadnego dźwięku... Z lasu napływały mury przeszłości. Serce ścisnęło się boleśnie. Tak bardzo zapragnął usłyszeć niski, potężny niby podziemny huk, głos kochanego Łasa, wiernego długoletniego przyjaciela. Niestety! Ufne olbrzymy, zabytki odległej przeszłości, Łaskawy i Dziki, tylko przypadkiem znalazły się w naszej erze i przypadkiem zginęły. Ich krótkie życie splotło się z życiem człowieka. Pamięć o wiernych przyjaciółach na zawsze została w sercu Sperańskiego.

Zamknął oczy. Coś słonego stoczyło się na jego siwe wąsy. Wstał, spojrzął jeszcze raz na ciemny, milczący las i wolno wszedł do pokoju. Noc bezszelestnie stąpała po bezkresnych obszarach Północy.

Krater spał.

1955—1957

Stаница Динская Земли Краснодарской

SPIS TREŚCI

Część pierwsza

BIAŁA PLAMA NA MAPIE

Rozdział pierwszy

bez którego czytelnik nie zrozumiałby wielu szczegółów w dalszym opowiadaniu .

Rozdział drugi

w którym czytelnik poznaje bohaterów powieści i wyrusza z nimi w drogę .

Rozdział trzeci

Pierwsze przygody geologów. — Dziwne jeziora. Ryś gotuje się do skoku

Rozdział czwarty

Zawierający jakie takie wiadomości o wiecznej marzłoci i o tajemniczym odkryciu Pieti

Rozdział piąty

w którym czytelnik poznaje treść znalezionej zeszytu

Rozdział szósty

Nowa trasa wyprawy

Rozdział siódmy

z którego wynika, że drzewo może czasami służyć za źródło ważnej informacji

Rozdział ósmy

Złoty wąwóz. — Jaskinia Sperańskiego

Rozdział dziewiąty

w którym rozpoczynają się najważniejsze przygody tej powieści.

— Tabun zniknął. — Wilki. — Początek katastrofy

Rozdział dziesiąty

Huragan. — Grupa 14-bis spada w przepaść

Rozdział jedenasty przenosi czytelnika do Hamadanu. Grupa 14-bis zniknęła bez śladu. — Początek poszukiwań

Część druga

KRATER ERSZOTU

Rozdział dwunasty

w którym rozpoczyna się właściwy opis tego, co spotkało geologów, kiedy runęli w przepaść

Rozdział trzynasty

Skalna pułapka. Więźniowie Erszotu mają tylko jedną drogę — na dno krateru!

Rozdział czternasty

Zdumiewające odkrycia. — Gościnny niedźwiedź. —
Przedhistoryczny las. — Tajemnicze odgłosy

Rozdział piętnasty

poświęcony autentycznemu spotkaniu, które nawet autor uważa
za niemal fantastyczne

Rozdział szesnasty

Początek znajomości, — Nauka o życiu współczesny — Dzik i
Łas

Rozdział siedemnasty

który przenosi czytelnika do wydarzeń sprzed lat trzydziestu

Rozdział osiemnasty

w którym Sperański kontynuuje swoje zadziwiające
opowiadanie

Rozdział dziewiętnasty

zawierający krótkie wiadomości o Sperańskim i jego
gospodarstwie

Rozdział dwudziesty

z którego wynika, że sytuacja nie jest tak beznadziejna jak sądził
Sperański .

Rozdział dwudziesty pierwszy

Ogień i woda przeciw skałom. — Skarby w drewnianej skrzyni.

— Dziwne zrzeczenie rybackie Łuki Łukicza. — Jaskinia
śmierci

Rozdział dwudziesty drugi

Pietia Odincow przebija się naprzód. —

Sam jeden w skalnej klatce. — Dlaczego stary przewodnik
płacze

Rozdział dwudziesty trzeci

Gaz atakuje. — Nocna ucieczka. — Bohaterska walka z
masywem skalnym .

Rozdział dwudziesty czwarty

w którym wszystko wskazuje na to, że członkowie wyprawy i
doktor Sperański muszą zginąć. — Plan Pieti zostaje wpro-
wadzony w życie

Część trzecia

WALKA O ŻYCIE

Rozdział dwudziesty piąty

z którego dowiadujemy się o dalszej akcji Zjednoczenia

Rozdział dwudziesty szósty

Pierwsze dni wędrówki Pieti i spotkanie, którego nie udało się
uniknąć

Rozdział dwudziesty siódmy

Wielka wędrówka mrówek. — Strefa śmierci rozszerza się. —
Plan ocalenia
skarbów
Rozdział dwudziesty ósmy
O tym, jak rozpoczęto poszukiwania i dokąd wyruszyły oddziały
ratunkowe Zjednoczenia
Rozdział dwudziesty dziewiąty
w którym na widownię występuje Krzywogęby Anioł
Rozdział trzydziesty
W niewoli u bandytów. — Badanie. — Tratwą po Szalonej
Rzece
Rozdział trzydziesty pierwszy
Pogoń. — Spotkanie z wilkami. — Znowu Krzywogęby Anioł.
— Nocna walka .
Rozdział trzydziesty drugi
Helikopter na horyzoncie. — Dziwne urojenia Pieti
Rozdział trzydziesty trzeci Helikopter w kraterze.
— Śmierć mamutów. — Gdzie jest Uskow i jego oddział?
Rozdział trzydziesty czwarty w którym następują spotkania tak
nieoczekwane, że Łapaj Mucha
przypala cebulę
Rozdział trzydziesty piąty
z którego wynika, że najdziwniejsze przygody miewają całkiem
zwyčajne zakończenie
Rozdział trzydziesty szósty
Krater rozbrzmiewa wybuchami. — Ostatni atak na twierdzę
Erszotu .
Epilog